

Cornell
WOOLRICH



**PANNA MŁODA
W ŻAŁOBIE**

Woolrich Cornell

Panna młoda w żałobie

"Julie, co ja ci mogę powiedzieć? Po prostu: zegnaj. Cóż innego można powiedzieć komukolwiek i kiedykolwiek... W tym życiu?"

Tak wyglądało pożegnanie z przyjaciółką, po którym Julie wsiadła do pociągu. I wysiadła. Na kolejnej stacji. Po to, by zacząć odwiedzać kolejnych mężczyzn. I... Mordować ich! "Nie mamy żadnej wskazówki co do tego, kim była, skąd się zjawiała, dokąd poszła. Ani dlaczego to zrobiła" - zanotował w raporcie dla przełożonego Lew Wagner. Z dopiskiem: "Sprawa nierozwiązana". I tak było za każdym razem. Aż...

Zabijać, bowiem, to wielkie prawo ustanowione przez naturę w sercu egzystencji!

Nie ma nic piękniejszego ni szlachetniejszego niż zabijanie!

Guy de Maupassant

Część pierwsza

BLISS

*Widziałeś,
Księżycu smutny,
samotną tak mnie,
Pustkę w mym sercu,
miłości kres.
I znałeś już,
Księżycu smutny, zamiar mój...*

Rodgers i Hart

Rozdział 1

Kobieta

„Julie. Moja Julie...” Słowa te nie opuszczały kobiety, gdy pokonywała w dół cztery kondygnacje klatki schodowej. Był to najcichszy szept, najtwardsze żądanie, jakie z ust ludzkich wyjść mogą. Nie zawahała się jednak ani nie zwolniła. Tylko twarz miała bladą jak ściana, kiedy wyszła na światło dnia, nic więcej.

Dziewczyna czekająca z walizką przy wejściu od ulicy obróciła się i spojrzała niemal z niedowierzaniem, gdy do niej dołączyła, jak gdyby zastanawiała się, gdzie kobieta znalazła na to siły. Ta, jakby czytając w jej myślach, odpowiedziała na nie zadane pytanie:

— Mnie to pożegnanie przyszło tak samo trudno jak im, tylko że ja w przeciwieństwie do nich zdążyłam się do tej myśli przyzwyczaić. Mam za sobą tak wiele długich nocy, w czasie których mogłam się przygotować. Oni przeszli przez to tylko raz; ja musiałam przechodzić tysiące razy. — Po czym nie zmieniając tonu, rzekła: — Lepiej zawołam taksówkę. O, właśnie jedzie.

Dziewczyna spojrzała na nią pytająco, kiedy już samochód podjechał do miejsca, gdzie stały.

— Tak, możesz ze mną pojechać, jeśli chcesz. Na dworzec Grand Central, panie kierowco.

Nie obejrzała się na dom, na ulicę, z której wyjeżdżały. Nie zerknęła też na wiele innych dobrze pamiętanych ulic, które mijały, a które składały się na jej miasto, to, w którym zawsze mieszkała. Musiały poczekać chwilę przy kasie, bo ktoś przed nimi też kupował bilet. Dziewczyna stała bezradnie u jej boku.

— Dokąd jedziesz?

— Nie wiem, nawet w tej chwili jeszcze tego nie wiem. W ogóle się nad tym nie zastanawiałam.

Otworzyła torebkę, wyjęła z niej zwitek banknotów, podzieliła na dwie nierówne części, mniejszą zatrzymując w dłoni. Przysunęła się do okienka i położyła pieniądze.

— Dokąd mogę za to zajechać drugą klasą?

— Do Chicago. I będzie dziewięćdziesiąt centów reszty.

— Więc poproszę bilet w jedną stronę. — Obróciła się do dziewczyny u swego boku: — Teraz możesz tam wrócić i przynajmniej *to* im powiedzieć.

— Nie powiem, jeśli nie chcesz, Julie.

— Wszystko mi jedno. Jakie znaczenie może mieć nazwa miejsca, kiedy odchodzi się w zapomnienie? Siedziały przez chwilę w poczekalni. Niebawem jednak zeszły na niższy poziom dworca i stanęły przy drzwiach do wagonu.

— Pocałujmy się tak, jak na przyjaciółki z dzieciństwa przystało. — Ich usta spotkały się na krótko. — No, już. — Julie, co ja ci mogę powiedzieć?

— Po prostu żegnaj. Cóż innego można powiedzieć komukolwiek i kiedykolwiek... w tym życiu?

— Julie, mam tylko nadzieję, że któregoś dnia jeszcze się spotkamy.

— Nie. Już nigdy mnie nie zobaczysz.

Peron szybko został w tyle. Pociąg przemknął długim tunelem. Wyłonił się znowu w świetle dnia, by wspiąć się na estakadę i mknąć na poziomie wyższych kondygnacji kamienic, mijając krzyżujące się ulice, migające jak szpary między sztachetami w płocie. Zaczął znowu zwalniać, jeszcze zanim zdążył nabrać pełnego rozpędu. — Dwudziesta Piąta Ulica — zapiszczał w wagonie konduktor.

Kobieta, która wyjechała na zawsze, złapała swą walizkę, wstała i ruszyła przejściem, jak gdyby był to już koniec podróży, a nie dopiero jej początek.

Stała przy drzwiach w gotowości, gdy pociąg hamował. Wysiadła, przeszła peronem do wyjścia i wspięła się po schodach na poziom ulicy. W kiosku w poczekalni kupiła gazetę, usiadła na jednej z ławek, przewertowała strony do tych końcowych, gdzie drukowano ogłoszenia drobne. Złożyła gazetę na poręczną szerokość i palcem śledziła kolumnę POKOJE DO WYNAJĘCIA.

Palec zatrzymał się niemal przypadkowo, nie bacząc na szczegóły oferty, na której spoczął. Wbiła paznokiec w miękki papier, zaznaczając ogłoszenie. Wetknęła gazetę pod pachę, po raz kolejny podniosła walizkę i wyszła na zewnątrz, by złapać taksówkę.

— Proszę mnie zawieźć pod ten adres, tutaj — rzekła, pokazując kierowcy gazetę.

Właścicielka pensjonatu z umeblowanymi pokojami do wynajęcia stała potem z tyłu, czekając na jej werdykt przy otwartych drzwiach.

Kobieta obróciła się. — Tak, to mi w zupełności wystarczy. Zapłacę pani teraz za pierwsze dwa tygodnie.

Właścicielka przeliczyła pieniądze, zaczęła wypisywać rachunek.

— Pani nazwisko? — spytała, podnosząc wzrok.

Wzrok kobiety przemknął po jej własnej walizce ze złotymi niegdyś inicjałami „J.B.”, które słabo, ale jednak były widoczne pomiędzy dwoma zatrzaskami. — Josephine Bailey.

— Oto pani pokwitowanie, panno Bailey. Mam nadzieję, że będzie się tu pani dobrze czuć. Łazienka jest w korytarzu za ledwie dwoje drzwi stąd po pani... — Dziękuję już, znajdę ją sama.

Zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. Zdjęła kapelusz i płaszcz, otworzyła walizkę, tak niedawno spakowaną przed podróżą do innej dzielnicy — a może na koniec życia...

Nad umywalką wisiała niewielka, upstrzona korozją blaszana szafka. Podeszła i otworzyła ją, wspinając się na palce, jakby czegoś szukała. Na najwyższej półce, tak jak się tego poniekąd spodziewała, znalazła zardzewiałą żyletkę pozostawioną przez jakiegoś dawno już zapomnianego lokatora tego pokoju. Podeszła z nią z powrotem do walizki, wycięła niewielki obły kształt wokół inicjałów na pokrywie i zdarła wierzchnią warstwę tektury, usuwając je całkowicie. Następnie zaczęła wyciągać zawartość swej podróźnej torby, tnąc bieliznę, koszulę nocną, bluzkę — usuwając te dwie litery, które kiedyś oznaczały ją samą, ze wszystkiego, na czym tylko się znalazły.

Gdy już pozbyła się swej poprzedniczki, wyrzuciła żyletkę do kosza i dokładnie otrzepała koniuszki palców.

W kieszeni pod pokrywą walizy znalazła zdjęcie mężczyzny. Wyjęła je i trzymała przed oczami, wpatrując się przez długi czas. Zwyczajny młody człowiek, nic szczególnego. Nie był z niego żaden wyjątkowy przystojniak: zwykle oczy i usta, i nos, jak u każdego. Patrzyła na niego bardzo, bardzo długo.

Wreszcie znalazła w torebce pudełko zapalek i zaniósła zdjęcie nad umywalkę. Przytknęła płonąca zapalną do jednego rogu fotografii i trzymała fotkę tak długo, jak długo w ogóle było co trzymać. — Żegnaj — westchnęła cicho.

Puściła do umywalki strumień wody i wróciła do walizki. W kieszeni pod klapą został już tylko skrawek papieru z wypisanym ołówkiem nazwiskiem. Wiele czasu zajęło jego zdobycie. Kobieta zajrzała głębiej i wyjęła jeszcze cztery podobne karteczki.

Wyciągnęła je wszystkie, lecz nie spaliła od razu. Bawiła się nimi z początku, jakby znudzona, nie zainteresowana. Położyła wszystkie na wierzchu toaletki odwrócone tyłem. Pomieszała je czubkami palców. Potem wybrała jedną i zerknęła pod spód. W końcu zebrała wszystkie raz jeszcze i spaliła całą piątkę nad umywalką.

Wtedy to podeszła do okna; stała tam i wyglądała — z dłońmi ściskającymi krańce szorstkiego parapetu. Zdawała się *wisiec* nad miastem widocznym na zewnątrz jak coś nieuchronnego, coś, co zaraz mu się przydarzy.

Rozdział 2

Bliss

Taksówka zahamowała przed wejściem do kamienicy Blissa tak gwałtownie, że ten poleciał nieco do przodu. Alkohol w jego żołądku zachlupotał od wstrząsu. Nie dlatego, że było go w nim tak dużo, ale dlatego, że tak niedawno został spożyty.

Wysiadł, a górna część samochodowych drzwi przekrzywiła mu na głowie kapelusz. Wyprostował go, wygrzebał z kieszeni drobne, upuszczając jedną dziesięciocentówkę na chodnik. Nie był w sztok pijany, nigdy się do takiego stanu nie doprowadzał. Był świadom wszystkiego, co do niego mówiono i co sam mówił, i czuł się przy tym wybornie. Wypił nie za dużo i nie za mało. No i przez cały czas nie opuszczały go myśli o Marge — wyglądało na to, że w tej kwestii coś wreszcie osiągnął. A takich myśli człowiek nie chciał przecież topić w trunku.

Charlie, pełniący nocny dyżur przy drzwiach, wyszedł do niego, gdy płacił taksówkarzowi. Spóźnił się nieco ze swym powitalnym rytuałem, bo zasiedział się na ławce w przedsionku, kończąc czytanie ostatniego akapitu wiadomości sportowych w jakimś brukowcu. Ale była już druga trzydzieści nad ranem, no i nikt nie jest przecież doskonały.

Bliss odwrócił się i rzekł: — Się masz, Charlie.

Charlie odparł: — Dobry wieczór, panie Bliss.

Otworzył przed nim drzwi do kamienicy i Bliss wszedł do środka. Charlie podążył za nim, dopełniwszy w miarę zadowalająco swego obowiązku. Ziewnął, a Bliss się od niego zaraził, nie widząc nawet, jak portier to robi, i zrobił to samo — zbieżność zachowań godna zainteresowania jakiegoś metafizyka.

Na jednej ze ścian holu wisiało lustro; Bliss podszedł do niego, jak zwykle, żeby się przejrzeć. Znał dwa typy własnego spojrzenia. „Rany, czuję się kapitalnie, ciekawe, co się dziś wieczór zdarzy.” To było spojrzenie przed wyjściem. Typ drugi to: „Boże, czuję się okropnie, dobrze, że zaraz znajdę się w łóżku”. Tak było, kiedy wracał.

Bliss ujrzał patrzącego na siebie dwudziestosiedmioletniego mężczyznę o krótko obciętych piaskowych włosach — w rzeczy samej tak krótkich, że po bokach wyglądały jak srebrzysty meszek. Brązowe oczy, szczupła sylwetka, słuszny wzrost, choć nie za wysoki. Ujrzał patrzącego na siebie człowieka, który wiedział o nim wszystko — ujrzał Blissa. Nie był przystojny, ale kto tam, u diabła, chciałby być przystojny? Nawet Marge Elliot nie obchodziło to, czy był przystojny, czy nie. „Tak długo — jak sama to ujęła — jak jesteś po prostu Kenem.”

Westchnął, pstryknął kciukiem w wymięty biały kwiat wciąż tkwiący w butonierce, aż ten się rozsypał. Wyjął pogniecioną paczkę papierosów, poczęstował się i zaczął uważnie badać otwór w prawym górnym rogu pudełka. Zobaczył, że został mu jeszcze jeden, i zaproponował go Charliemu. — Znaj me dobre serce — powiedział.

Charlie wziął papierosa, dochodząc pewnie do wniosku, że już nikt tej nocy nie przyjdzie. Odźwierny był wielki i mocno zaokrąglony w pasie. Przez to nie był może najlepszy w pucowaniu dolnych partii słupów podtrzymujących zadaszenie przed wejściem, za to część środkowa i góra zawsze lśniły jak diamenty, a przy tym Charlie potrafił poradzić sobie z rozrabiającymi pijakami dwa razy cięższymi niż on sam. Był nocnym portierem, odkąd tylko Bliss się tu wprowadził. Bliss go lubił. A Charlie lubił Blissa. Bliss dawał mu zawsze dwa dolary na Gwiazdkę i kolejne dwa podzielone na drobniejsze sumy w ciągu roku. Jednak nie o to chodziło; Charlie go po prostu lubił.

Bliss zapalił swojego papierosa i podał ogień odźwiernemu. Odwrócił się i pokonał dwa płaskie stopnie do samoobsługowej windy.

— Aha, byłbym zapomniał, panie Bliss — odezwał się Charlie. — Dziś wieczór chciała się z panem zobaczyć jakaś młoda kobieta.

— Taa? Jak się nazywała? — rzucił Bliss bez zainteresowania.
Nie mogła to być Marge, więc taka wizyta w zasadzie go nie obchodziła — już nie. Przystanął i tylko nieznacznie obrócił głowę, by przyjąć odpowiedź.
— Nie zostawiła nazwiska — odparł Charlie. — Nie mogłem go z niej wyciągnąć. Pytałem dwa czy trzy razy, ale... — Wzruszył ramionami. — Najwyraźniej nie miała zamiaru się przedstawić.
— Nic się nie stało — rzekł Bliss. Bo naprawdę *nic* się nie stało.
— Najwyraźniej bardzo chciała pójść na górę i poczekać na pana w mieszkaniu — dodał Charlie.
— O, co to, to nie. Nigdy na to nie pozwalaj — powiedział z werwą Bliss. — Te czasy już się skończyły. — Wiem, panie Bliss. Skądże, nigdy bym się na to nie zgodził, może się pan nie martwić...
— zapewnił Charlie nad wyraz szczerze. I zaraz dodał, ledwo zauważalnie kręcąc głową: — Chociaż muszę powiedzieć, że jej naprawdę okropnie zależało. Sposób, w jaki to powiedział, wzbudził ciekawość Bliss. — Co to ma znaczyć? Opuścił jedną stopę z powrotem na niższy schodek, obrócił głowę i ramiona już bardziej wyraźnie w stronę Charliego.
— No cóż... Stała tu ze mną, nieco z boku, koło lustra, po tym, jak już do pana zadzwoniłem i nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Zapytała: „Czy mogę pójść na górę i poczekać?” Powiedziałem: „No, nie wiem, proszę pani, nie wolno mi...” Rozumie pan, próbowałem ją grzecznie spławić. A wtedy ona otworzyła tę swoją torebkę, wieczorową kopertę, którą cały czas mocno ścisnęła, i zaczęła grzebać, jakby szukała szminki czy czegoś takiego. Raptem na samiuśkim wierzchu zobaczyłem studolarowy banknot. Może mi pan nie wierzyć, panie Bliss, ale widziałem go na własne oczy.
Bliss zachichotał z dobroduszną kpina. — I uważasz, że chciała ci go dać, żebyś wpuścił ją na górę, tak? Daj spokój, Charlie... — Szturchnął go żartobliwie łokciem. Nic nie było w stanie stłumić żarliwości Charliego, który ze zboląłą miną i wielkimi oczami mówił dalej:
— Ja *wiem*, że ten banknot był dla mnie, panie Bliss. Zachowywała się tak, że było to oczywiste. Otworzyła torebkę szeroko i grzebała w niej palcami, omijając studolarówkę tak, żeby jej nie poruszyć. Stówka leżała, widzi pan, rozprostowana na samiuteńkim

wierzchu. Popatrzyła na banknot, a potem na mnie — prosto w oczy. Nawet wyciągnęła rękę z torebką lekko w moją stronę. Nie prosto pod nos, rozumie pan, ale na tyle, żebym pokapował, o co jej chodzi. Niech pan posłucha, pracuję jako portier dostatecznie długo, żeby umieć rozpoznać takie znaki, żeby nie mieć co do nich wątpliwości.

Bliss w zamyśleniu podrapał się w kąciку ust paznokciem kciuka. Jakby chciał się upewnić, że w tym szczególnie jego fizjonomii nie zaszła żadna zmiana.

— Jesteś pewien, że to nie była po prostu dziesiątka, Charlie? Głos Charliego zabrzmiał niemal jak falset ze zdenerwowania, gdy obstawał przy swoim.

— Panie Bliss, *widziałem* po dwa okrągłutkie zera w obu górnych rogach!

Bliss wciągnął wargę między zęby i przygryzł ją. — A niech mnie licho! — Zwrócił się wreszcie ku Charliemu całym ciałem, jakby zamierzał ciągnąć tę rozmowę, dopóki jego ciekawość nie zostanie całkowicie zaspokojona. Charlie zdawał się rozumieć tę potrzebę konwersacji. Tymczasem rzucił tylko: — Zaraz do pana wracam, panie Bliss — gdyż dobiegł do nich odgłos podjeżdżającej do wejścia taksówki. Charlie wyszedł, dopełnił swego obowiązku przy drzwiach i wrócił w ślad za mężczyzną i kobietą w wieczorowych strojach, którzy o dwudziestej trzydzięci wyglądali zapewne bardzo elegancko. Teraz po ich szyku nie został nawet ślad.

Przechodząc, ukłonili się zdawkowo Blissowi, a on odpowiedział im tym samym, z chłodem typowym dla sąsiadów będących mieszkańcami wielkiej metropolii. Wsiedli do windy i pojechali na górę.

Gdy tylko szybka w drzwiach kabiny znikła, Charlie i Bliss podjęli rozmowę tam, gdzie ją przerwali. — Powiedz mi, jak ona wyglądała? Widywałeś ją tu wcześniej? Znasz większość towarzystwa, które kiedyś u mnie bywało, i to całkiem nieźle.

— To prawda — przyznał Charlie. — Ale jej nie pamiętam. Jestem pewien, że jej nigdy wcześniej nie widziałem. Za to mogę panu powiedzieć, panie Bliss, że była z niej naprawdę ślicznotka. Taka ślicznotka że ho ho!

— W porządku, więc była z niej ślicznotka — rzekł Bliss — ale jak wyglądała?

— No cóż, była blondynką. — Charlie podniósł ręce, by przemówić gestem, gdy obudził się w nim artysta. Pokazał, tak mu się przynajmniej wydawało, masę przepięknych włosów. — Ale taką *prawdziwą* blondynką, wie pan, jakby aż żółtą... Nie taką srebrną-wą, wypłowiałą, po farbowaniu. Ta była autentyczna.

— Autentyczna blondynka — powtórzył cierpliwie Bliss.

— I te jej błękitne oczy... No wie pan, takie, co to się zawsze śmieją, nawet gdy są poważne. Była gdzieś takiego wzrostu, brodą sięgała do drugiego szewronu na moim rękawie. Rozumie pan. Przy tym... hm... nie za gruba, ale chuda też bym jej nie nazwał; taka akurat.

Bliss wpatrywał się w odległy kąt pod sufitem, słuchając opisu.

— Nie — powtarzał — nie. — Jakby w myślach przeglądał jakiś rejestr osób, odrzucając kolejne możliwości. — Jedyne znajoma, jaka przychodzi mi do głowy, to Helen Raymond, ale...

— Nie, pannę Raymond to ja pamiętam — rzekł stanowczo Charlie. — To nie była ona. Mnóstwo razy wzywałem przecież dla niej taksówkę. — Po chwili dodał: — Zresztą wie pan, czemu jestem całkiem pewien, że pan jej nie zna? Bo ona sama też pana nie znała.

— *Co?* — zdumiał się Bliss. — Więc czegoż, u licha, chciała, wypytać tu o mnie i próbując dostać się do mego mieszkania? Charlie wciąż zdawał się pozostawać tuż za nim w kręgach, jakie zataczała ta rozmowa. — Nie znała pana, jak tu stoję — powtórzył z naciskiem. — Sprawdziłem ją po drodze na górę... — Ach, więc jednak *zamierzała* ją wpuścić. To znaczy, że to na pewno była setka.

Charlie chrząknął nieśmiało, uświadamiając sobie, że popełnił gafę.

— Nie, panie Bliss, skądże — zaprzeczył skwapliwie. — Przecież zna mnie pan na tyle; nie miałem takiego zamiaru. Wsiadłem z nią jednak do windy i zachowywałem się tak, jakbym chciał to zrobić. Pomyślałem, że w ten sposób chyba najłatwiej będzie się jej pozbyć, *udając*, że chcę ją wpuścić, a w ostatniej chwili...

— Tak, tak, wiem — rzekł chłodno Bliss.

— A więc ruszyliśmy razem windą na czwarte piętro, a po drodze przypomniało mi się to włamanie, które mieliśmy tu w zeszłym roku, pamięta pan, i stwierdziłem, że lepiej nie ryzykować. No więc zacząłem jej podsuwać fałszywy opis pana osoby, coś zupełnie odwrotnego, żeby ją wypróbować. Powiedziałem: „To ten rudy, prawda? Dosyć wysoki, jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu? Pracuję tu od niedawna. Chcę się upewnić, czy wiozę panią na właściwe piętro; mamy tylu lokatorów w tym budynku.” I dała się nabrać jak ryba na podbierak. „Oczywiście”, odparła. „To on.” Bez wahania, jakby się bała, że ją przyłapię na tym, iż pierwszy raz w życiu słyszy, jak pan wygląda.

— A niech to weźmie jasna... — uciał Bliss. Dokończył myśl na głos i powiedział, co też jasnego ma to wszystko wziąć.

— To mi wystarczyło, oczywiście — zapewnił go mężnie Charlie. — Już było po niej. Gdy to usłyszałem, pomyślałem sobie: „Nic z tego. Na mojej zmianie się tam paniusiu nie dostaniesz”. Ale nie powiedziałem jej tego, bo... cóż, była ubrana całkiem elegancko, no i w ogóle nie należała do tego typu ludzi, z którymi można się nie cackać. Zbyłem ją więc delikatnie; zacząłem otwierać pańskie drzwi złym kluczem, a gdy nic z tego nie wyszło, udawałem, że innego nie mam i nie dam rady jej wpuścić. Zjechaliśmy z powrotem na dół, a ona tylko wzruszyła ramionami, jakby nie przejęła się tym, że się nie dostała, jakby nie miało to dla niej znaczenia, bo prędzej czy później kiedyś jej się to uda. Uśmiechnęła się i powiedziała: „Może innym razem”, po czym odeszła ulicą tak samo, jak tu przyszła, na piechotę. To też było dziwne, biorąc pod uwagę, jak była ubrana. Obserwowałem ją aż do zakrętu i nie widziałem, żeby wezwała taksówkę ani nic takiego, tylko szła sobie zwyczajnie, jakby to była dziesiąta przed południem. Wreszcie skręciła za róg i znikła. O'Connor, ten policjant, minął ją po drodze i widziałem nawet, jak się ogląda. Ależ to była ślicznotka...

— Całkiem jak statek, który przepływa i znika w ciemną noc — zauważył Bliss. — Cóż, jedno jest pewne: coś tutaj nie gra. Skoro jej nie znam — a sądząc z twojego opisu, nie znam — i ona nie znała mnie, to, o co jej, u licha, szło? Może mnie z kimś pomyliła.

— Nie. Znała pańskie nazwisko, a nawet imię. Jak tylko weszła, zapytała o pana Kena Bliss.

— I mówisz, że nie przyjechała taksówką?

— Nie, zwyczajnie przyszła, nie wiadomo skąd, i tak samo potem odeszła. To najdziwniejsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek zdarzyła.

Rozmawiali tak jeszcze chwilę dłużej, jak mężczyzna z mężczyzną, z poufałością typową dla spotkań o drugiej trzydziści nad ranem.

— Och, wiadomo, że takie dziwaczne rzeczy się zdarzają od czasu do czasu, gdy się mieszka w wielkim mieście. Muszą się zdarzać. Ja to wiem, panie Bliss, sam dość już takich widziałem, pracując w moim zawodzie. Pełno jest pomyleńców, którym się zdaje, że człowieka znają, że kochają, albo takich, którym się wydaje, że zaznali od człowieka jakiejś krzywdy... Zdziwiłby się pan, gdyby pan wiedział, jakie to pijawki i różni szaleńcy płaczą się po ulicach...

— Więc może teraz taka pijawka przyssała się właśnie do mnie. Cóż za urocza myśl przed pójściem do łóżka. — Bliss się skrzywił.

Odwrócił się i wcisnął guzik windy. Kiedy już wsiadł, uśmiechnął się do Charliego z udawanym lękiem, i nim drzwi kabiny się zamknęły, powiedział:

— Co za czasy nastały, że młody mężczyzna nie może już czuć się bezpiecznie, mieszkając w pojedynkę. Chyba trzeba się ożenić i w ten sposób zapewnić sobie ochronę!

Nim dotarł do swego mieszkania, myślał już tylko o Marjorie — o nikim więcej.

Corey pojawił się u niego o wpół do dziewiątej wieczorem, jeszcze zanim Bliss w ogóle zaczął przygotowywać się do przyjęcia z okazji swych zaręczyn z Marjorie.

— Co jest? — rzucił, otwierając drzwi, z udawanym niezadowoleniem, jakie okazuje się tylko najbliższemu przyjacielowi. — Dopiero co wstałem od kolacji. Nie zdążyłem się nawet ogolić.

— O wpół do piątej dzwoniłem do ciebie do biura. Gdzieś ty się, u diabła, podziewał? — odgryzł mu się Corey z taką samą przyjacielską szorstkością.

Wszedł i rozsiadł się w najlepszym fotelu, przerzucając jedną nogę przez jego boczne oparcie. Zdjął kapelusz, próbując trafić nim

na parapet. Nie trafił, ale nakrycie głowy zatrzymało się na niewielkiej półce z książkami pod oknem. Corey był dość przystojnym, choć nie rzucającym się w oczy mężczyzną. Był wyższy od Blissa, nieco szczuplejszy — a może tak się tylko wydawało przez ten wzrost — miał ciemnobrązowe włosy i grube brwi. Starał się uchodzić za wzór dżentelmena z miasta według standardów magazynu *Esquire*, jednak była to tylko fasada, za którą, można powiedzieć, że krył się człowiek absolutnie bezwzględny. Od czasu do czasu na tej fasadzie rysowała się szczelina i dało się przez nią dostrzec przerażającą dżunglę. Fasada czy nie, ciężko nad nią pracował. Na jakie przyjęcie by się nie poszło, on tam był, stał, podpierając framugę drzwi, grzejąc w dłoniach kieliszek. Przy jakiej dziewczynie by się o nim nie wspomniało, każda go znała — albo chociaż miała przyjaciółkę, która się do takiej znajomości przyznawała. Jego ulubioną techniką był bezpośredni atak, *Blitzkrieg*, który kończył się sukcesem nawet w najbardziej nieprawdopodobnych przypadkach. Najbardziej wyniosłe, najbardziej dumne damy kładły się przed nim pokotem, jeśli tylko prawdą było to, co mówił.

Zaczął zacierać ręce, udając złośliwą uciechę.

— A zatem dziś wieczór dasz się zakuć w kajdany! Dziś wieczór wyrzekniesz się wolności! Nie kusi cię, żeby jeszcze uciec? Jasne, że tak! Aż się cały trzęsiesz...

— Myślisz, że jestem taki jak ty?

Corey trzykrotnie dźgnął się kciukiem w pierś. — Powinieneś być taki jak ja. Bo tylko taki facet jak ja nie da się zniewolić żadną oficjalną przysięgą!

— Gdybyś się częściej kąpał, może miałbyś ku temu więcej okazji — Bliss mruknął z pogardą.

— Za to im byłoby mnie trudniej znaleźć w ciemności, a to by nie było fair. No więc gdzie byłeś dziś po południu? Chciałem pójść z tobą coś zjeść.

— Szukałem świcidelka. A niby gdzie miałbym być... — Otworzył szufladę toaletki, wyjął małe pudełeczko i otworzył pokrywkę. — Co o tym sądzisz?

Corey wyłuskał pierścionek z pluszowej otoczki i zagwizdał z podziwu. — Niezły kamyczek!

— Musi być niezły, kosztował mnie for-r-tunę. — Bliss z doskonale udawaną obojętnością wrzucił puzderko z powrotem do szuflady i zaczął odpinać szelki. — Idę wziąć prysznic. Ty poczęstuj się szkocką, wiesz, gdzie stoi.

Wrócił po jakichś dwudziestu minutach gotowy do wyjścia, nawet z zawiązaną muchą.

— Ciekawe, kto to był? — spytał niedbale Corey, zerkając znad gazety.

— Niby kto?

— Gdy byłeś w łazience, zadzwonił telefon i spytała o ciebie jakaś dziewczyna. Sądząc po tym, jak mówiła, nie była to żadna z twoich starych kumpelek. „Czy to mieszkanie pana Kennetha Bliss’a?” Powiedziałem jej, że jesteś zajęty, i zapytałem, czy mógłbym coś dla niej zrobić. Nie odezwała się ani słowem, tylko odłożyła słuchawkę.

— Dziwne.

Corey zamieszał alkohol w szklance. — Może to była któraś z tych dziennikarek pisujących dla kroniki towarzyskiej, może chciała dowiedzieć się czegoś na temat twoich zaręczyn.

— Nie, dziennikarze zwykle atakują od strony dziewczyny. Rodzina Marjorie zresztą powiedziała im już wszystko, co było do powiedzenia. Ciekawe, czy to nie była *ona* — rzekł po chwili namysłu.

— Co za *ona*? Bliss wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Nie mówiłem ci, ale mam chyba cichą wielbicielek. Niedawno miała miejsce zabawna sytuacja. Jednego wieczora, gdy nie było mnie w domu, jakaś piękna dziewczyna za wszelką cenę chciała dostać się tu, do mieszkania. Kiedy wróciłem, powiedział mi o tym portier. Nie chciała zostawić nazwiska ani nic takiego. Charlie zna większość towarzystwa, z którym przestaję — wiesz, jak to po pewnym czasie jest ze wszystkimi odźwiernymi — ale stanowczo twierdził, że tej pani nigdy wcześniej nie widział. Ubrana była wieczorowo i na jego wprawne oko wyglądała jak jedna z tych naprawdę nadzianych damulek. Ale nie podjechała pod drzwi żadnym samochodem, i to było najdziwniejsze; przyszła pieszo ulicą nie wiadomo skąd, odstrojona jak na bal. Charlie opowiedział mi, jak to otworzyła torebkę i udawała, że szuka szminki w taki sposób, by on mógł

wyraźnie zobaczyć studolarowy banknot na samym wierzchu. Zachowywała się tak, by jasno zrozumiał, że stówka będzie jego, jeśli tylko otworzy jej drzwi zapasowym kluczem i wpuści do mojego mieszkania.

Corey popatrzył sceptycznie. — Chcesz mi powiedzieć, że portier nie skorzystałby z okazji, by w tak prosty sposób zarobić sto dolarów? Chyba cię nabiera.

— Nie wiem. Sama kwota wydaje się tak niewiarygodna, że aż prawdziwa. Gdyby to sobie wymyślił, podałby raczej dziesięć czy dwadzieścia dolarów.

— No i co w końcu zrobił? Wpuścił ją?

— Z tego, co mówił, wynikało, że ta stowa w zasadzie go skusiła; wiozł ją już na górę i miał pewnie tutaj wpuścić. Pomyślał tylko, że lepiej ją najpierw sprawdzić, przekonać się, czy naprawdę mnie zna, zanim otworzy przed nią drzwi mego mieszkania. Podpuścił ją więc, podając fałszywy rysopis, przedstawiając mnie dokładnie takim, jakim nie jestem, a ona dała się nabrać, powiedziała, że tak, właśnie o tego mężczyznę jej chodzi, czym dowiodła, że w życiu mnie przedtem nie widziała. To oczywiście zakończyło sprawę. Charlie bał się zaryzykować. Zaczął udawać, że nie ma klucza czy coś w tym stylu i spławił ją najtaktowniej, jak się tylko dało. Była według niego zbyt dobrze ubrana, żeby się z nią szarpać. Kiedy zrozumiała, że z jej planu nici, uśmiechnęła się tylko, wzruszyła ramionami i odeszła spokojnie ulicą. Corey, wyraźnie zainteresowany, pochylił się do przodu. — I masz pewność, że opis portiera nikogo ci nie przypomina?

— Absolutnie. Zresztą powiedziałem ci przecież, że ona też nie wie, jak wyglądam.

— Ciekawe, o co jej chodziło?

— Na pewno nie przyszła obrobić mi mieszkania, bo zamierzała zapłacić stowę za samą możliwość wejścia, a każdy, kto zdołałby stąd wynieść równowartość stu dolarów, musiałby być czarodziejem. Corey pokiwał tylko skwapliwie głową na znak, że się zgadza.

Bliss wstał. — Chodźmy. — Uśmiechnął się nerwowo. — W małżeństwie podoba mi się wszystko poza tymi procedurami, które do niego prowadzą, takimi jak ta dzisiejszego wieczora.

— Mnie najbardziej podoba się w nim to — odparł Corey — że wcale nie trzeba go zawierać. Czekali potem na korytarzu na windę, gdy za jednymi z pobliskich drzwi rozległo się płaczliwe brzęczenie.

Bliss nastawił wprawne ucha. — Tonacja g-mol. To u mnie. Lepiej skoczę odebrać, to może być Marge. Za minutę jestem z powrotem.

Wrócił do drzwi, wygrzebał z kieszeni klucz, upuścił go jednak i musiał się schylić, żeby go podnieść. Corey wystawił nogę z kabiny, żeby zatrzymać dla nich windę.

— Pospiesz się, zanim ktoś nam ją ściągnie — ponaglił.

Bliss otworzył drzwi. Ciche zawroźnienie wybrzmiało pełnią głosu, po czym jak na złość umilkło i już się nie powtórzyło. Bliss wycofał się i zamknął za sobą drzwi.

— Za późno. Komuś znudziło się próbować.

Gdy jechali windą w dół, Corey zasugerował: — Może to znów była ta tajemnicza pani.

— Jeśli tak — mruknął Bliss — to czegokolwiek chce, strasznie jej na tym zależy.

Sam na sam z Marge, w zakątku pokoju z dala od gości, Bliss drapał się po karku, udając konsternację. — Zaraz, zaraz, jak to się robi? Widziałem tyle filmów, powinienem już to wiedzieć. No dobrze, wybieram wersję z zamkniętymi oczami, tak będzie najbezpieczniej. Zamknij oczy i wystaw palec. Bez namysłu wyciągnęła w jego stronę zgięty kciuk. Pacnął go, usuwając z drogi. — Nie ten. Pomóżże człowiekowi. Jestem taki zdenerwowany, że...

— Nie ten palec? Powinieneś mówić bardziej konkretnie. Skąd mogłam wiedzieć, że nie chcesz go, na przykład, schrupać...?

Pierścionek zabłysnął. Ich głowy zbliżyły się, gdy mu się przyglądali; splekli swe cztery dłonie w miłosny węzeł i wydawali z siebie pozbawione sensu pomruki, gruchanie i inne dźwięki, które w ich pojęciu mogły uchodzić za język. Nagle oboje uświadomili sobie obecność pary oczu wpatrujących się w nich bez mrugnięcia i oboje jednocześnie obrócili głowy w stronę wejścia. Ujrzeni damską postać, tak nieruchomą, jakby zapuściła korzenie pod podłogę.

Miała na sobie szeroką u dołu, rozkloszowaną czarną suknię, z której wyłaniały się kremowe ramiona nie zeszepeczone żadnymi ramiączkami. Szyfonowy czarny kwef, połyskujący gagatem, spoczywał na włosach tak niewiarygodnie żółtych, że wydawały się posypane kukurydzianą mąką.

Dołeczek przy kąciku ust, który mógł oznaczać współczucie — a może drwinę — znikł, zanim zdążyli mu się przyjrzeć i nabrać jakiegokolwiek pewności.

— Przepraszam — rzekła cicho i poszła dalej.

— Co za niezwykła dziewczyna! — wykrzyknęła mimowolnie Marjorie, wpatrując się w puste przejście jak zahipnotyzowana.

— Kim ona jest?

— Nie wiem. Zdaje się, że przyszła razem z Fredem Sterlingiem i jego znajomymi, lecz jeśli nawet została przedstawiona, to nie pamiętam jej nazwiska.

Raz jeszcze spojrzeli na pierścionek. Jednak czar prysł, nastrój się zmienił, a oni nie byli w stanie już go przywrócić. Pokój nie wydawał się już tak ciepły jak przedtem. Jak gdyby to spojrzenie z wejścia go ostudziło. Marjorie zadrżała i rzekła: — Chodź, wracajmy do gości.

Przyjęcie dobiegało końca, a oni wciąż tańczyli: lekkie półobroty i drobne kroczyki pozwalały prowadzić w tłumie intymną konwersację-

On: — Cóż, może jednak wynajmijmy to mieszkanie na Osiemdziesiątej Czwartej Ulicy. Ostatecznie jeśli właściciel obniży nam miesięczny czynsz o pięć dolarów, tak jak obiecał... Z tymi wszystkimi meblami, jakie mamy otrzymać w prezencie ślubnym, zrobimy z tych czterech kątów prawdziwe cacko...
Ona: — Ta dziewczyna w czerni nie spuszcza z ciebie wzroku. Za każdym razem, gdy spojrzę, wpatruje się w ciebie z całych sił. Gdyby miało to miejsce jakiegoś innego wieczora, chyba zaczęłabym się niepokoić.

Obrócił głowę. — Wcale na mnie nie patrzy.

— Patrzyła, dopóki ci o tym nie powiedziałam.

— Kim ona właściwie jest?

Wzruszyła ramionami. — Przez cały czas myślałam, że przyszła z Fredem Sterlingiem i jego znajomymi. Wiesz, że on nigdzie nie rusza się bez swojej świty. Jednak Fred wyszedł już jakiś czas temu, a ona wciąż tu jest. Może sama postanowiła jeszcze zostać. Kimkolwiek jest, podoba mi się to, jak się nosi. Nie ma w niej żadnej krzykliwej tandety. Przyglądałam się jej przez cały wieczór, biedactwo nie ma ani chwili spokoju. Gdy tylko próbuje wymknąć się na taras, trzech albo czterech mężczyzn odczytuje to błędnie jako sygnał i podąża za nią. Nie minie nawet minuta, kiedy wchodzi z powrotem, zwykle bocznymi drzwiami, zawsze sama. Co robi, by spławić ich tak szybko — nie mam pojęcia, ale musi mieć jakąś technikę opracowaną do perfekcji. Po chwili oni też skradają się do pokoju, każdy z osobna, z tą głupkowatą miną, jaką zwykle mają mężczyźni po otrzymaniu kosza. Całe to przedstawienie powtarza się regularnie jak w zegarku.

Delikatnie położyła mu dłoń na klapie marynarki, dając znak, by stanęli.

— Jacyś ludzie znowu wychodzą, będę musiała się pożegnać. Zaraz wracam, kochanie. Tymczasem tęsknij za mną. Przyglądał się, jak odchodzi, stercząc jak maszt, na którym nagle opuszczono flagę. Kiedy jasnoblękitna sukienka znikła na drugim końcu pokoju, odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę, na taras, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Czuł, że kołnierz klei mu się lekko do szyi; w tańcu zawsze robiło mu się gorąco.

Światła miasta rozciągały się pod nim jak błyszczące szprychy zwichrowanego koła. Niewyraźnie zarysowany perlisty księżyc zdawał się tonąć w niebiosach jak grudka jarzącej się tapioki rzucona w ciemność przez kosmicznego kłowna. Korzystając z okazji i czekając na powrót narzeczonej, zapalił swego zasłużonego tańcem papierosa. Czuł się wspaniale, patrząc z góry na miasto, które kiedyś omal go nie zniszczyło. „Teraz jestem ustawiony”, pomyślał. „Jestem młody. Zdobyłem miłość. Usunąłem ze swej drogi wszelkie przeszkody. Przede mną sielanka.”

Taras ciągnął się wzdłuż całego mieszkania. Na jednym końcu zakręcał wokół rogu penthouse'u. Tam blask księżycy już nie sięgał i balkon tonął w mroku. Nie było wysokich okien, tylko rzadko używane boczne drzwi z litego drewna, które nie przepuszczały światła.

Bliss schował się za narożnikiem, bo na drugim końcu tarasu stała jakaś para, a on nie chciał przeszkadzać. Stanął dokładnie na rogu i miał teraz widok na miasto w dwóch kierunkach. Ni stąd, ni zowąd — wymknęła się pewnie niezauważona bocznymi drzwiami i podeszła do niego z tamtej strony — znalazła się na tarasie i stała może pół metra od niego ta wszechobecna dziewczyna w czerni, wpatrując się w przestrzeń w tym samym kierunku co on. Wyglądała niesamowicie, jak marmurowe popiersie unoszące się w powietrzu bez piedestału, bo czerń sukni została wchłonięta przez mrok zakątka, w którym oboje stali.

— Wspaniały widok, nieprawdaż? — zagadnął. Ostatecznie bawili się na tym samym przyjęciu. Wyraźnie nie miała ochoty o tym rozmawiać czy może widok wcale nie wydawał się jej wspaniały. W tej samej chwili zjawił się Corey, gotowy do podboju. Zapewne miał ją na oku już od dłuższego czasu, lecz dopiero teraz los się do niego uśmiechnął, następcząc okazję. Obecność Blissa nie zniechęciła go w najmniejszym stopniu.

— Ty wracaj do środka — nakazał władczo. — Zachowuj się przyzwoicie, jesteś zaręczony.

Dziewczyna odezwała się, przerywając szybko: — Czy byłby pan tak miły...?

— Jasne, że będę miły.

— Więc proszę mi przynieść wielką, bąbelkującą whisky z wodą sodową.

Wskazał kciukiem na Bliss. — On to robi znacznie lepiej ode mnie.

— Ale z pańskich rąk będzie mi lepiej smakowała. Nie było to zbyt wyszukane, lecz zadziałało.

Corey wrócił z drinkiem. Dziewczyna wzięła go, podniosła nad balustradę, powoli przechyliła i opróżniła szklanekę, przytrzymując ją do góry dnem. Po czym z powagą oddała ją swemu adoratorowi.

— Teraz proszę mi przynieść jeszcze jedną.

Corey zrozumiał aluzję. Zresztą trudno jej było nie pojąć. Powłoka uprzejmości wielkomiejskiego dżentelmena pękła natychmiast, a w szparze ukazała się wspomniana wcześniej dżungla. I to wcale nie taka, o jakiej czyta się w powieściach podróżniczych. Twarz po-

bielała mu na moment, a ściągnięte usta wyglądały, jakby odpłynęła z nich cała krew. Postąpił krok naprzód i wyciągnął ręce do szyi dziewczyny — bez słowa, zdecydowanie.

— Hejże! Spokojnie!

Bliss zareagował szybko, powstrzymując go, zanim dłonie dosięgły swego celu, i przytrzymując mu ręce w górze. Gdy je opuścił, Corey już nad sobą panował. Wepchnął je do kieszeni, być może po to, by mieć pewność, że mu się znowu nie wyrwą. Werbalnie wyraził swą niechęć z opóźnieniem, dopiero po tym, jak powstrzymano go przed czynem.

— Jeśli tej zdzirze wydaje się, że może robić ze mnie osła, to... — Obrócił się na pięcie i poszedł dumnie tam, skąd przyszedł. Bliss odwrócił się, by ruszyć za nim. Ostatecznie kim była dla niego ta kobieta? Jej dłoń mignęła w powietrzu i przytrzymała go na miejscu.

— Proszę nie odchodzić. Chcę z panem porozmawiać.

Ręka opadła, gdy tylko dziewczyna się przekonała, że osiągnęła swój cel.

Zamienił się w słuch i czekał.

— Pan mnie nie zna, prawda?

— Przez cały wieczór usiłowałem się dowiedzieć, kim pani jest.

To nieprawda; poświęcił jej mniej uwagi niż którykolwiek z obecnych na przyjęciu mężczyzn. Taka odpowiedź wydawała mu się po prostu szarmancka, nic więcej.

— Widział mnie pan raz już wcześniej, tylko pan nie pamięta. Aja owszem: jechał pan samochodem z czwórką innych... — Często jeździłem samochodem z innymi osobami, tak często, że naprawdę nie mogę... — Numer rejestracyjny tego samochodu to D3827. — Nie mam pamięci do cyferek.

— Był trzymany na parkingu przy Exterior Avenue w Bronksie. Po tamtym wydarzeniu nikt się już nigdy po niego nie zgłosił. Czy to nie dziwne? Pewnie nadal tam stoi, zżarty przez rdzę...

— Nic z tego nie pamiętam — powiedział skonsternowany. — Ale proszę mi powiedzieć, kim pani w ogóle jest? Jest w pani coś elektryzującego...

— Zbyt dużo tego czegoś może spowodować spięcie.

Odsunęła się od niego o krok albo dwa, jakby powiedziawszy, co miała do powiedzenia, zupełnie przestała się nim interesować. Zdjęła z głowy usiany dżetami szal i rozciągnęła go przed sobą w rozstawionych rękach, pozwalając, by trzepotał na wietrze.

Nagle wydała króciutki okrzyk. Szal znikł. Jej wyciągnięte ręce wciąż odmierzały jego długość. Z fasady pod balustradą dokładnie pod nią sterczała antena, przymocowana do ściany przy pomocy małej, izolującej ceramicznej gałki. Posłała mu spojrzenie pełne zaskoczenia, doprawionego odrobiną komizmu, po czym pochyliła się, patrząc w dół.

— O, tam jest! Zaczepił się na tym czymś białym... — Wyciągnęła jedną rękę, starając się sięgnąć jak najniżej. Po chwili wyprostowała się z uśmiechem frustracji. — Już go prawie miałam. Może pan będzie miał większe szczęście, pewnie ma pan dłuższe ręce.

Wszedł na balustradę i kucając, chwycił się jedną dłonią za jej wewnętrzną krawędź, by nie wychylić się za daleko. Odwrócił od niej głowę, szukając szala.

Ona stanęła za nim, wyciągając przed siebie dłonie z rozstawionymi palcami, jakby świętoszkowato się przed czymś wzbraniała. Błyskawicznie je cofnęła, a wraz z lekkim pchnięciem dobył się z niej syczący oddech, dźwięk, który stanowił wyjaśnienie, przekleństwo i pokutę zarazem.

— NickKilleen!

Na pewno to usłyszał. Musiało to być jak iskra w zachodzącym mrokiem umyśle przez moment, który przeminął równie szybko jak on sam.

Taras był pusty. Należał tylko do nocy i do niej. Przez okna za rogiem wypływała w pulsującym rytmie nadawana w radio rumba, towarzyszył jej śmiech i głosy. Raptem jeden głośniejszy od pozostałych krzyknął: — I tak trzymaj! Już jest twój!

Marjorie zagadnęła ją po drodze w chwilę później: — Szukam mojego narzeczonego... —

Wypowiedziała to słowo z dumą posiadaczki, jednocześnie z niezamierzoną ostentacją dotykając pierścionka. — Nie wie pani, czy jest może na tarasie?

Dziewczyna w czerni uśmiechnęła się uprzejmie. — Był tam, gdy go ostatnio widziałam.

Ruszyła dalej przez długi pokój, zwawo, choć bez pośpiechu, przyciągając po drodze spojrzenie niejednego mężczyzny.

Służąca i lokaj nie pełnili już dyżuru w szatni przy wejściu, tylko przychodzili na wezwanie. Akurat w chwili, gdy drzwi wejściowe zamykały się za osobą, która wołała ich nie niepokoić, rozdzwonił się telefon połączony bezpośrednią linią z portiernią na dole budynku. Przez dłuższy czas nikt go nie odbierał.

Marjorie weszła z tarasu z powrotem do pokoju, zwracając się do stojących najbliżej gości:

— Dziwne, zdaje się, że go tam nie ma.

Jej matka, która w końcu poczuła się zmuszona odebrać lekceważony telefon osobiście, krzyknęła przeraźliwie — gdzieś od strony wejścia, tylko raz. Po chwili przyjęcie dobiegło końca.

Rozdział 3

Po śmierci Blima

Lew Wanger wysiadł z taksówki, pozostawiając jej rozbujaane drzwi szeroko otwarte, i łokciami torował sobie drogę wśród niewielkiego zgromadzenia oniemiałych gapiów.

— Co tu mamy? — zapytał mundurowego policjanta, pokazując mu coś, co wyciągnął z kieszonki kamizelki.

— Trupa. — Mundurowy wskazał niemal pionowo nad siebie. — Wypadł stamtąd.

Jakaś gazeta — nocne wydanie jutrzejszego dziennika — została odebrana właścicielowi, rozłożona, a jej płachty rozpostarte potem na podłużnym garbie na ziemi. W jednym rogu spod papieru sterczał elegancki skórzany pantofel.

— Zdaje się, że mają tam na górze balangę. Wypił pewnie o jednego za dużo, za bardzo się wychylił i stracił równowagę. — Policjant uniósł róg gazety, żeby Wanger mógł spojrzeć.

Jeden z gapiów, który nie spodziewając się tego, stanął całkiem blisko, odwrócił teraz głowę, zakrywając na wszelki wypadek dłonią usta, i wycofał się w pośpiechu.

— A czegoś pan się spodziewał: fiołków? — zawołał za nim wrogo nastawiony gliniarz.

Wanger przykucnął już i zaczął prostować palce kurczowo zaciśniętej pięści wystającej w górnym prawym rogu tego garbu na ziemi. Wreszcie wydobył coś, co wyglądało jak kłęb zastygłego czarnego dymu.

— Damska chustka — odpowiedział policjant.

— Szal — poprawił Wanger. — Za duże to jak na chustkę. Spojrzał ponownie na okryte ciało.

— Znam go z widzenia — odezwał się nocny portier z budynku. — Chyba ogłaszali dziś jego zaręczyny z córką Elliotów tam, na górze. W penthousie...

— Cóż, lepiej więc pójdę tam i od razu to załatwię — westchnął Wanger. — To rutynowe zadanie, zajmie mi dziesięć, najwyżej piętnaście minut...

Świtało już, a on wciąż wałkował stojących rządkiem, wycieńczonych, pozbawionych szyku gości.

— Czy to znaczy, że nikt z państwa tu obecnych nie znał nazwiska tej dziewczyny ani nigdy jej wcześniej nie widział? Wszyscy tępo kręcili głowami.

— Czy nikt nie zapytał jej o imię? Co z was za ludzie?

— Pytaliśmy nieraz — odparł przygnębiony mężczyzna. — Nie chciała się przedstawić. Za każdym razem zbywała tego, kto pytał, uwagą w stylu „Cóż znaczy imię?” czy czymś podobnym.

— W porządku. W takim razie bez wątpienia mamy do czynienia z osobą, która wtargnęła na przyjęcie bez zaproszenia. Teraz chciałbym się dowiedzieć dlaczego, jaki był jej motyw...

W tym momencie do pokoju weszła matka Marjorie i Wanger zwrócił się do niej.

— Może pani mi powie, czy z mieszkania nie zginęły jakieś kosztowności, czy nic nie zostało skradzione?

— Nie — załkała. — Wszystko leży na swoim miejscu, właśnie skończyłam sprawdzać.

— A zatem powodem wtargnięcia na pewno nie była chęć rabunku. Zgodnie z tym, co tu usłyszałem, kobieta, o której mówimy, unikała i zniechęcała przez cały wieczór wszystkich młodych mężczyzn, czyhając na Blissa; znalazła się z nim sam na sam, gdy tylko nadarzyła się okazja. A jednak z tego, co *pan* mówi — zwrócił się do Coreya — nie rozpoznał jej z opisu podanego przez portiera w budynku, gdzie sam mieszkał. Zaś kiedy przybył tutaj i wreszcie ją zobaczył, zachowywał się tak, jakby jej zupełnie nie znał. To znaczy, zakładając, że to ta sama kobieta. Cóż, na razie to by było na tyle, nic więcej tutaj nie zdziałam. Czy ktoś mógłby dodać coś jeszcze do opisu, który mi państwo podaliście? Nikt nie miał nic do dodania; kobieta była widziana przez tylu ludzi, że charakterystyka, którą uzyskał, była i tak dość wyczerpu-

jąca. Kiedy goście w żałobnym nastroju opuszczali mieszkanie, podając swoje nazwiska i adresy na wypadek, gdyby zaszła konieczność ponownego ich przesłuchania, do Wangera podszedł Corey. Choć zdążył wlać w siebie mnóstwo alkoholu, teraz był absolutnie trzeźwy.

— Byłem jego najlepszym przyjacielem — rzekł chrypliwie. — Co pan o tym sądzi? Na co to wygląda?

— No cóż, powiem panu — odparł Wanger, szykując się do wyjścia — choć nie widzę powodu, dla którego miałbym zawierzyć panu bardziej niż innym. Nie znalazłem w zasadzie niczego, co wskazywałoby na to, że *nie* był to wypadek — poza jednym. Chodzi mi o fakt, że ta kobieta ulotniła się tak szybko zaraz po zdarzeniu, zamiast zostać tu i odpowiedzieć na moje pytania tak jak reszta z was. Bardzo podejrzane było też jej zachowanie wobec panny Elliot, gdy mijaly się w wejściu do pokoju i ta druga zapytała, czy nie widziała jej narzeczonego, a kobieta w czerni odpowiedziała spokojnie, że był na tarasie, zamiast krzyczeć wniebogłosy, że wypadł, czego należałoby się spodziewać. Zawsze oczywiście istnieje możliwość, że *nie* wypadł, zanim ona go nie zostawiła i nie weszła do środka. Przeciwno takiej tezie przemawia jednak fakt, że Bliss zabrał ze sobą na dół jej czarny szal, co może świadczyć o tym, że była przy nim w chwili, gdy to się stało. A jednak możliwe jest i to, że upuściła go po prostu lub wręcz dała mu go, a dopiero wtedy weszła do mieszkania.

Widzi pan, szkopuł w tym, że na razie jest pół na pół dla obu teorii. Jak tylko pojawi się coś na poparcie jednej, zaraz jest równoważone przez odkrycie dowodzące słuszności drugiej. Tym, co ostatecznie przeważy szale wagi na którąś ze stron, będzie, moim zdaniem, jej zachowanie. Jeśli za dzień lub dwa zgłosi się do nas, by podać swą tożsamość i oczyścić się z zarzutów, gdy tylko dotrze do niej wiadomość, że jest poszukiwana, najprawdopodobniej okaże się, że był to wypadek, a ona uciekła wyłącznie ze strachu, że zostanie poznana, wiedząc, że nie miała prawa tu przebywać. Jeśli zaś pozostanie w ukryciu, a my będziemy musieli na nią polować, wtedy będziemy mogli uznać to za morderstwo i pewnie z czasem okaże się, że to prawda.

Schował do kieszeni opis kobiety i inne dane, które tu zgromadził.

— Tak czy inaczej dostaniemy ją, proszę się nie martwić. Tak się jednak nie stało.

Dział strojów wieczorowych, Dom Towarowy Bonwit Teller, piętnaście dni później:

— Tak, to zakupiony u nas kwef wieczorowy za dwanaście dolarów. To jedyne miejsce, gdzie mógł zostać nabyty, bo mamy na nie wyłączność.

— Dobrze. Proszę więc wezwać tu swoich ludzi. Chcę się dowiedzieć, czy ktoś z nich pamięta, jak sprzedał taki szal kobiecie, którą im opiszę...

Kiedy wszyscy się zebrali, a Wanger trzykrotnie odczytał opis, do przodu wysunęła się niepozorna, mała osóbką w okularach.

— Ja... ja pamiętam, że jeden z takich szali kupiła ode mnie pewna piękna dziewczyna odpowiadająca temu rysopisowi. Chyba ponad dwa tygodnie temu.

— Świetnie! Proszę odszukać kopię paragonu. Potrzebny mi adres, pod który ów zakup dostarczono. Piętnaście minut później:

— Klientka zapłaciła gotówką i zabrała szal ze sobą; nie podała nazwiska ani adresu.

— Czy to u was normalna procedura przy tego rodzaju zakupach?

— Nie. To są towary luksusowe. Zwykle sami je dostarczamy. W tym wypadku klientka zabrała szal ze sobą na specjalną prośbę. Dobrze to pamiętam.

Wanger (pod nosem): — Żeby zatrzeć ślady.

Raport Wanger'a złożony zwierzchnikowi trzy tygodnie później:

— ...I od tej pory nie natrafiliśmy na żaden jej ślad. Nie mamy żadnej wskazówki co do tego, kim była, skąd się zjawiała, dokąd poszła. Ani dlaczego to zrobiła — *jeśli* faktycznie maczała w tym palce.

Wyczerpująco zbadałem przeszłość Blissa, sprawdziłem wszystkie dziewczyny, które choćby raz pocałował, lecz na nią nigdzie nie natrafiłem. Zeznania jego przyjaciela Coreya i portiera z budynku,

w którym mieszkał, zdają się potwierdzać, że nie znał tej kobiety, kimkolwiek była. A jednak ona rozmyślnie zniechęcała i unikała wszystkich innych gości na przyjęciu, dopóki nie przyłapała go samego na tarasie. Tak więc pomyłka co do jego tożsamości też raczej nie wchodzi w rachubę. Krótko mówiąc, jedyną poszlaką, która mogłaby świadczyć, że to nie wypadek, jest zachowanie tej tajemniczej kobiety, jej natychmiastowe zniknięcie i fakt, że nie zechciała jak dotąd przyjść do nas i sprawy wyjaśnić. Z drugiej jednak strony, poza tymi faktami nie mamy nic, co jednoznacznie wskazywałoby na morderstwo.

Notatki Wagera na temat Kena Blissa:

Zgon nastąpił na skutek upadku z tarasu na siedemnastym piętrze, 20 maja o godz. 4:30 nad ranem. Ostatnio widziany z kobietą, lat ok. 26, jasna cera, złote włosy, błękitne oczy, ok. 165 cm wzrostu.

Tożsamość nieznana. *Poszukiwana w celu przesłuchania.*

Motyw: nie jest pewne, czy zostało popełnione przestępstwo; jeśli tak, motywem była prawdopodobnie namiętność lub zazdrość. Brak danych na temat wcześniejszych związków denata z podejrzaną.

Świadkowie: brak.

Materiał dowodowy: czarny wieczorowy szal zakupiony 19 maja w Domu Towarowym Bonwit Teller. Sprawa nierozwiązana.

Część druga

MITCHELL

Wzdraga się jak kłóś, kto sarni krok wybada,

Panterę widzi, która się ku niemu skrada.

Guy de Maupassant

Rozdział 1

Kobieta

Miriam — której nazwiska w hotelu Helena nikt już nie pamiętał — była niską, kłótniową osobą o cerze barwy starej, wyprawionej skóry. Miała w swym życiu trzy rzeczy, których kurczowo się trzymała, a były to: brytyjskie obywatelstwo — nabyte bezwolnie i przypadkowo poprzez fakt narodzin na wyspie Jamajka, para kolczyków wykonanych ze złotych monet i własny „system” sprzątania pokoi. Nikt nigdy nie ośmielił się postawić jej żadnych zarzutów, gdy chodzi o pierwsze czy drugie, co do trzeciego zaś wysiłki kilku osób, zmierzające do wprowadzenia jakiegokolwiek zmiany, i tak spełzały na niczym.

Numeracja nie miała z tym jej systemem nic wspólnego. Podobnie zresztą jak rozmieszczenie pokoi wzdłuż ciemnych, skrzypiących, wielopoziomowych korytarzy. Jego istota polegała na swego rodzaju mistycznych obliczeniach dokonywanych w najbardziej skrytych zakamarkach jej umysłu.

Ustalonego porządku nikt nie mógł naruszyć — w każdym razie nikomu nie uchodziło to bezkarnie. Każda próba ingerencji wywoływała długą, zjadliwą tyradę rozbrzmiewającą w labiryncie korytarzy całymi godzinami, jak się wydawało, długo po tym, jak mimowolny sprawca zamieszania wykradł się z hotelu, sfrustrowany.

— Czternastkę robię po siedemnastce. Musi zaczekać, aż dokończę siedemastkę. W życiu żem jeszcze nie robiła-najpierw czternastki, a potem siedemnastki.

Kolejność nie miała też nic wspólnego z wysokością napiwków, które zresztą i tak były w Helenie rzadkością. „Nawyk” byłby może określeniem najbliższym temu, co pozostawało czysto emocjonalnym stanem umysłu Miriam.

Gdy „system”, zataczając swe koło, o ściśle określonej godzinie dotarł do „dziewiętnastki”, Miriam szła długim, wyjątkowo zapuszczonym korytarzem na tył hotelu, w jednej ręce dźwigając cynowe wiadro, a w drugiej długi kij, na końcu którego jeszcze można było dostrzec pojedyncze strzępy puchatych włókien.

Stawała przed „dziewiętnastką”, obracała w dłoni klucz i uderzała nim dwukrotnie w drewno. Była to czysta formalność, jako że obecność „dziewiętnastki” rozwścieczyłaby ją tak samo jak próby mieszania się do jej „systemu”. „Dziewiętnastki” nigdy nie było o tej porze w pokoju.

„Dziewiętnastka” nie miała prawa o tej godzinie w nim przebywać.

Nie to, żeby jej rutynowe stukanie w drzwi miało coś wspólnego z sumiennością w przestrzeganiu hotelowych przepisów. Był to raczej odruch. Nie potrafiła już przejść przez żadne drzwi, nie dopełniając tego rytuału. Nic więc dziwnego, że nawet wracając po dniu pracy do własnego pokoju, stukała najpierw w drzwi, a dopiero potem wkładała klucz do zamka.

Z prowokacyjnym rozmachem otworzyła drzwi i wkroczyła do małego, absolutnie nieciekawego pokoju. Wzorzysty dywan już dawno poszedł w zapomnienie. Jakiś szarozielony grzyb stanowił teraz jedyne pokrycie podłogowych desek. Pobielony wapnem ceglany mur przesłaniał widok już nieco ponad metr za oknem. Przez szybę usiłował dostać się snop słonecznego światła, padając pod takim kątem, że niemal natychmiast musiał się załamać. Pokój lepiej by wyglądał bez okna, przynajmniej stwarzałby wrażenie czystości, bo nie byłoby widać całego tego kurzu wirującego w powietrzu.

Na ścianie nad łóżkiem wisiały rzędem różnej wielkości zdjęcia dziewczyn, wszystkie oprawione w ramki i szkło. Miriam nie zniżała się do tego, by choćby na nie zerknąć. Większość wisiała tam od lat. Dziewucha, z którą „dziewiętnastka” prowadził się teraz, nigdy się tu nie znajdzie, zawyrokowała. Dlatego, że jej nie stać na to, by zrobić sobie zdjęcie, a on nie ma pieniędzy, by je potem oprawić i powiesić. Zresztą w rzędku i tak nie było już miejsca. A on był za stary, żeby zaczynać teraz nowy. A jak nawet nie był, to powinien być. Koniec i kropka.

Miriam zasłała łóżko, wprawiając w szybsze wirowanie drobiny pyłu w powietrzu, po czym przymknęła nieco drzwi, lecz nie zamknęła ich do końca. Nie było w tym geście nic ukradkowego, znać w nim było raczej urażoną dumę. Wyraziła ją nawet na głos, tak boleśnie poczuła się dotknięta. — Stale tylko to chowie i chowie. Co mu się zdaje, że mu to kto zabierze? A komu to potrzebne? Zawczasu już osuszyła usta, wycierając je wierzchem dłoni — a może tylko zaostrzyła tym sobie apetyt? Otworzyła drzwi szafy, pochyliła się, przetrząsnęła stertę brudnych koszul, spoczywającą w kącie na dnie, i wyciągnęła butelkę ginu, jak magik wyczarowujący królika z kapelusza.

Na jej widok nie okazała ani krztyny zadowolenia, jedynie święte oburzenie.

— Co on se myśli, że kto tu poza mną przychodzi? Toć wie, że nikt tu nie przychodzi, ino ja. Co za podejrzewające ludziska! Przechyliła butelkę, przywróciła ją znów do pionu. Następnie podeszła z nią do umywalki, odkręciła zimną wodę. Ze zręcznością świadcząca o dużej wprawie wsunęła odkręconą szybkę pod kran i szybko cofnęła, lecz wystarczyło to, by uzupełnić płyn do poprzedniego poziomu. Nie było to takie trudne, jak się zdawało. Na dwóch z czterech krawędzi butelki z matowego szkła widniały wyraźne, zdradzieckie znaki, wykonane ołówkiem, które jej pomogły. Zlikwidowała nadwyżkę, jaka wbrew jej woli powstała w butelce, topiąc ją we własnych ustach. Dyszała teraz ciężko w poczuciu krzywdy. — Stary nędznik! Stary sknyra! — grzmiała z antylską pasją przy akompaniamencie brzęczących monet jej kolczyków. — Tego jednego to ja nie lubię, jak mi ludziska nie ufają! Odniosła butelkę na miejsce, zamknęła szafę, przywracając tym samym pokojowi jego pierwotną szerokość, i przeszła do drugiego etapu wypełniania swoich obowiązków, który polegał na wtykaniu kija z resztką frędzli w różne miejsca na styku ściany i podłogi, jakby polowała z dzidą na pstrąga z głazu pośrodku strumienia.

Właśnie w trakcie wykonywania tej osobliwej czynności uświadomiła sobie, że jest obserwowana. Obróciła głowę i ujrzała kobietę, która stała na korytarzu i zaglądała przez otwarte drzwi. Miriam już na pierwszy rzut oka poznała, że ta pani nie jest rezydentką hotelu Helena, co samo w sobie wzbudziło u niej spory szacunek. Jej

pogarda i szorstkość wobec tutejszych mieszkańców dorównywała poważaniu i przychylności, jakimi darzyła szczęśliwców, którzy żyli gdzie indziej. Jej odczucia wobec tych dwóch grup ludzi kontrastowały ze sobą jak wzór po dwóch stronach koca.

— Słucham, psze pani? — odezwała się z pełnym serdeczności zainteresowaniem. — Szuka pani pana Mitchella?

Pani była taka miła i miała taki łagodny głos. — Nie. — Uśmiechnęła się. — Wpadłam tu, żeby odwiedzić znajomą, ale jej nie zastałam. Chciałam wrócić do windy, ale chyba się zgubiłam...

Miriam oparła się o kij od mopa jak wenecki gondolier o wiosło w chwili odpoczynku i miała nadzieję, że pani tak od razu nie odejdzie.

Nie odeszła. Postąpiła niezauważalnie o krok bliżej progu, lecz cały czas pozostawała poza pokojem. Sprawiała wrażenie niezmiernie zainteresowanej rozmową z Miriam i samą jej osobą.

Pokojówka wyprostowała się dumnie, stojąc w snopie żółtego jak siarka światła, i niemal wiła się wokół kija jak w ekstazie.

— Wie pani — przemówiła czarująca kobieta w sposób typowy dla babskich pogaduszek — zawsze uważałam, że wiele można powiedzieć o człowieku, patrząc na pokój, w którym mieszka.

— To prawda, psze pani, święta racja — przyznała Miriam z całkowitym przekonaniem.

— Weźmy choćby ten tutaj, skoro pani tu sprząta, a mnie zdarzyło się akurat przechodzić. Nic nie wiem na temat osoby, która tu mieszka...

— Na temat pana Mitchella? — podpowiedziała Miriam, niemal zahipnotyzowana teraz przez swą rozmówczynię. Jej broda spoczęła na zaokrąglonej końcówce kija.

Pani machnęła niedbale ręką. — Mitchell czy jakkolwiek by się nazywał — nie znam go i nigdy go nie widziałam. Ale pozwoli pani, że powiem, co według mnie mówi o nim ten pokój — i proszę mnie poprawić, jeśli się pomylę. Miriam poruszyła ramionami, nie mogąc się już doczekać.

— Psze bardzo — zachęciła, wstrzymując oddech.

Czuła się niemal tak podekscytowana, jakby ktoś jej wróżył z ręki, i to za darmo.

— Człowiek, który tu mieszka, nie jest zbyt schludny. Ten krawat zawiązany wokół lampy...

— To niechluj — potwierdziła Miriam wojowniczo.

— Nie jest też szczególnie zamożny. Lecz tego, rzecz jasna, można się domyślić już po samym hotelu, który nie należy do najdroższych...

— A i tak zalega z czynszem za półtora miesiąca, i to już na okrągło od całych ośmiu lat! — wyjawiała Miriam z chmurną miną.

Pani zamilkła — nie jak ktoś, kto zaraz będzie chciał cię czymś zaskoczyć, ale jak ktoś, kto waży słowa, zanim się odezwie. — Nie pracuje — rzekła wreszcie. — W koszu na śmieci tkwi poranne wydanie dzisiejszej gazety. Widzę je nawet stąd. Zapewne wstaje około południa, czyta przez chwilę, po czym wychodzi i nie ma go przez resztę dnia...

Miriam potakiwała zafascynowana, nie mogąc oderwać oczu od tego uosobienia przenikliwości, mądrości i wdzięku. Kij od mopa mógł zostać usunięty spod jej brody, a ona i tak pewnie by trwała w swej zgiętej pozycji, niczego nie zauważając.

— Roboty to on nie ma, fakt. Żyje z jakiejś żołnierskiej renciny czy czego tam, co dostaje każdego miesiąca. — Pokręciła głową z uznaniem. — Dobra pani jest.

— Jest samotny, nie ma zbyt wielu przyjaciół. — Jej wzrok powędrował ku ścianie. — Te zdjęcia, które tam wiszą, świadczą o jego osamotnieniu, a nie popularności. Gdyby miał przyjaciół, nie musiałby zwracać sobie głowy fotografiami.

Miriam nigdy dotąd nie myślała o tym w takim kontekście. Prawdę mówiąc, jeśli te zdjęcia miały dla niej w ogóle jakieś znaczenie — a od lat już nie miały — to świadczyły jedynie o ohydnych charakterze ich właściciela, który napawał się własnymi złymi uczynkami. Początkowo wyrażała nawet swe obrzydzenie na głos i spoglądając na fotografie, mówiła: „Stary sprośny bałwan!”.

— Nawet jeśli znał te dziewczyny — ciągnęła pani — w co nie wierzę, znał je każdą z osobna, a nie wszystkie jednocześnie. Mamy tu fryzury z czasów zaraz po wojnie, pazie jak u japońskiej laleczki z wczesnych lat dwudziestych i proste włosy do ramion modne kilka lat temu...

Miriam przekrzywiła głowę i wodziła wzrokiem po ścianie za swoimi plecami; zaokrąglona końcówka kija od mopa spoczywała teraz tuż nad jej uchem. Drapała się nawet po głowie, poruszając ją lekko w przód i w tył w tej pozycji.

— Nigdy tak naprawdę nie znalazł dziewczyny, której szukał; gdyby ją znalazł, nie miałby tylu fotografii na ścianie. Właściwie to nie miałby ich *w ogóle*. Ale one... — W zamyśleniu stuknęła w krawędź jednego z dolnych zębów. — One stapiają mu się wszystkie w jedną postać, mają powiedzieć nam, jakiej dziewczyny przez całe życie szuka.

— O kurczę! — dziwiła się Miriam, której najwyraźniej nigdy nie przyszło do głowy, że „dziewiętnastka” szuka czegokolwiek, a już tym bardziej czegoś, o czym można wspomnieć w kulturalnym towarzystwie.

— Szuka tajemnicy. Iluzji. Dziewczyny w typie, którego nie znajdzie na całej ziemi. W typie, który nie istnieje poza jego wyobraźnią. Pozbawionej korzeni istoty oderwanej od powszedniości tego świata, z którą nie sposób nawiązać kontaktu. Szuka odaliski. Maty Hari.

— Kogo? — spytała raptem Miriam, obracając głowę.

— Proszę tylko na nie popatrzeć. Żadna z nich nie jest — czy raczej nie była — taka naprawdę. Spowita w miękki tiul, w wytworzoną przez fotografa mgiełkę, odbita w lustrze, pozerająca wzrokiem aparat, przygryzająca różę... — Uśmiechnęła się lekko, życzliwie. — To mężczyzna i jego marzenia.

— Pewnie nigdy nie dostanie mu się taka, jaka mu się marzy — rzekła Miriam.

— Nigdy nie wiadomo — odparła pani w drzwiach z uśmiechem. — Nigdy nie wiadomo.

Następnie popatrzyła prosto na Miriam, czarująco i zagadkowo przekrzywiając na bok głowę.

— Proszę mi teraz powiedzieć, w czym miałam rację, a w czym się pomyliłam.

— We wszystkim miała pani rację! — zdecydowanie orzekła Miriam.

— Widzi pani? O to mi właśnie chodziło. Sama pani teraz widzi, ile może powiedzieć o człowieku jego pokój.

— A pewnie, że może! Oj, może!

— Cóż, nie będę pani dłużej przeszkadzać w pracy. Pomachała lekko, acz poufale, palcami, uśmiechnęła się wyjątkowo ciepło na pożegnanie i odeszła.

Miriam westchnęła z żalem, gdy w drzwiach zrobiło się pusto. Oparła mopa o ścianę, podeszła do wejścia i stała tam, przyglądając się, jak pani idzie korytarzem i znika za zakrętem. Po chwili tam też było już pusto.

Westchnęła raz jeszcze, bardziej niepoczieszona niż kiedykolwiek. Cóż to była za miła konwersacja! Jaka zajmująca i pouczająca! Co za szkoda, że musiała się skończyć tak szybko, że nie trwała trochę dłużej! Przynajmniej dopóki nie posprzątała jeszcze jednego pokoju, na ten przykład.

Drzwi windy, ukryte za zakrętem, stuknęły lekko i pani znikła na dobre. Miriam wróciła niechętnie do pokoju, by dokończyć rozpoczętą robotę.

— Była taka miła — mamrotała tęsknie. — Założę się, że już tu więcej nie przyjdzie.

Rozdział 2

Mitchell

Mitchell wszedł do zapuszczonego hotelowego holu o tej samej godzinie co zwykle. Pod pachą miał złożoną gazetę. Zatrzymał się w recepcji, by sprawdzić, czy nie ma dla niego jakiejś poczty. Recepcjonista posłał mu to specyficzne spojrzenie, zarezerwowane dla ludzi, którzy notorycznie zalegają półtora miesiąca z czynszem. Otrzymał trzy listy.

Pierwszy zawierał wiadomość od Maybelle, jego blond przyjaciółki z restauracji. Drugi znalazł się w jego rękach przez pomyłkę, bo należał do przegródki powyżej. Trzecia koperta musiała mieścić albo reklamę, albo rachunek — wystarczyło jedno spojrzenie, by to odgadnąć. Zaadresowana została na maszynie i nie posiadała adresu zwrotnego. Z tego właśnie powodu nie otworzył jej od razu. Rachunki i reklamy wyczuwał nosem na kilometr.

Poszedł na górę, zamknął drzwi i rozejrzał się po pokoju. Mieszkał w nim od dwunastu lat.

Pomieszczenie zdążyło już zacząć odzwierciedlać pewne cechy jego osobowości. Na ścianach wisiało mnóstwo zdjęć dziewczyn. Istna galeria. Rzecz nie w tym, że był rozpustnikiem — nie, był romantykiem. Przez całe życie szukał swego ideału. Szukał kobiety olśniewającej, tajemniczej. Maski i wachlarze, sekretne spotkania, oto, czego pragnął. A co miał? Jedynie kelnerki od Childsa i sprzedawczynie od Hearna. Niedługo już będzie za późno, by Ją znaleźć; całkiem niedługo nie będzie to już miało znaczenia.

Powiesił płaszcz, a trzeci list utworzył nad jego boczną kieszenią jakby białą bliznę. Wyciągnął buteikę ginu, schowaną pod stertą koszul na dnie szafy, gdzie kolorowa pokojówka nie mogła jej znaleźć. Każdego dnia pozwalał sobie tylko na jeden, choć spory, łyk,

racjonował zawartość każdej butelki tak, by starczyła mu na dwa tygodnie. Wlał sobie przysługującą porcję prosto do gardła, nawet nie przykładając ust do szkła.

Znowu był wieczór, a jemu nie miało przydarzyć się nic cudownego, nic ważnego. Nic, tylko taniość. Tani pokój w hotelu, tani facet w koszuli bez marynarki, tani gin, tani żal nad sobą. Pomyślał, że równie dobrze może zadzwonić do Maybelle już teraz i mieć to z głowy. Wiedział, że prędzej czy później tak się to skończy. Z Maybelle był na zasadzie, że na bezrybiu i rak ryba. Zawsze dokładnie potrafił zgadnąć, co Maybelle powie, jak będzie ubrana, co sobie pomyśli. Była przewidywalna jak piana na piwie.

Podniósł słuchawkę telefonu i podał centrali numer jej pensjonatu. Potem zawsze musiał czekać, aż gospodyni, wrzeszcząc na parterze, zawołają z czwartego piętra na dół. Robił to tak często, że dokładnie wiedział, ile to może potrwać. Położył słuchawkę i podszedł do płaszcza po papierosa.

Zobaczył tę trzecią, nie otwartą kopertę w kieszeni. Wyciągnął ją i rozdarł.

Wypadł szkarłatny bilet. Poza nim w kopercie nie było nic więcej. „Teatr Elgin. Loża A-1. Ważny tylko we wtorek wieczorem”, i tak dalej. To dziś. W rogu widniało „3,30 \$”. To nie mógł być prawdziwy bilet; pewnie to tylko taka reklama. Obracał świstek w palcach, przyglądał mu się, ale nigdzie nie znalazł żadnego haczyka, żadnej wzmianki o konieczności dopłaty. Bilet był autentyczny. Kto mógł mu go przysłać?

Telefon wydawał z siebie jakieś dźwięki. Podszedł do niego.

— Zaraz zejdzie — oznajmiła właścicielka pensjonatu przy wtórze szurania nogami.

Maybelle zawsze schodziła w nie zawiązanych butach, człapiąc głośno na schodach.

— Przepraszam — rzucił stanowczo. — Pomyliłem numer. — I odłożył słuchawkę.

Zaczął się szykować. Telefon zabrzęczał, gdy był akurat na etapie przyglądania włosów. Dzwoniła Maybelle. — Mitch, czy to ty dzwoniłeś do mnie przed chwilą?

— Nie — skłamał bez mrugnięcia okiem.

— A zobaczymy się dziś wieczorem?

— Jeżku, nie — jęknął fałszywie. — Leżę w łóżku, dopadła mnie chyba grypa.

— Więc może powinnam wpaść i dotrzymać ci towarzystwa?

— W żadnym wypadku — odparł pospiesznie. — Mogłabyś się zarazić i stracić tygodniowy zarobek. Rozłączył się, zanim zadręczyłaby go swą niepożądaną troskliwością.

Był niemal pewien, gdy dotarł do teatru i pokazał bilet przy drzwiach, że bileter go nie wpuści.

Zamiast tego jednak przyjął bilet i potraktował go ze szczególnym poważaniem należnym człowiekowi, który miał miejsce w łoży.

Więc jednak bilet był prawdziwy, nie miał już co do tego najmniejszych wątpliwości. Ale kto mu go przysłał? Czy ta osoba będzie w łoży, kiedy i on do niej dotrze? A jeśli będzie tam więcej widzów, jak ją rozpozna?

W łoży nie było nikogo, co odkrył ku swemu tajonemu rozczarowaniu, gdy inny bileter wskazał mu miejsce. Każda łoża wyposażona była w cztery krzesła i odgradzona ścianami od sąsiednich oraz od galerii powyżej. Zapewniała prywatność jak żadne inne miejsce w teatrze.

Czuł się dziwnie, siedząc tam samotnie, otoczony trzema pustymi krzesłami, oglądając się bez przerwy, czy ktoś nie nadchodzi. Po trosze spodziewał się nawet, że bileter poklepie go zaraz po ramieniu i oznajmi, że zaszła pomyłka, że musi wyjść, bo na dole czeka ktoś inny, kto ma wykupiony bilet na to miejsce. Nic takiego jednak się nie stało. Wszystkie inne łoża powoli się zapełniały, lecz do tej, środkowej, nikt nie wchodził, choć to w niej właśnie znajdowały się najlepsze miejsca. Gdy zabrzmiał ostatni dzwonek, a światła zgasły i pograżyły widownię w błękitnym półmroku, pozostałe trzy krzesła wciąż stały wolne, prawie tak, jakby ktoś zarezerwował je zawczasu, by mieć pewność, że nie zostaną zajęte.

Sztuka się zaczęła i gdy roztoczyła przed nim swą wspaniałość i nierealność, powoli zaczął zapominać o niezwykłych okolicznościach, jakie go tu przywiodły, poddając się jej urokowi. Aż tu nagle spostrzegł na krześle obok siebie osobę, przy czym sam nie wiedział dokładnie, w którym momencie pierwszego aktu się pojawiła. Nie zapowiedział jej przybycia nawet błysk latarki biletera czy szelest

ubrań. A jeśli nawet jakaś zapowiedź się pojawiła, on jej nie zauważył.

Nikt nie zajął natomiast dwóch pozostałych krzeseł za nimi. On zaś nie obejrzał już ani kawałka sztuki, poza tą pierwszą połową pierwszego aktu, jako że od przybycia kobiety nie potrafił oderwać od niej wzroku. Była piękna, rany, jakaż ona była piękna! Miała rude włosy i twarz jak z alabastru. Spowita była w pelerynę z ciemnego aksamitu, jaśniejszą po wewnętrznej stronie, i zdawała się wyłaniać spośród jej fałd jak... jak nimfa z muszli.

Nigdy nie ośmieliłby się do niej odezwać, lecz nagle to ona odwróciła się ku niemu z papierosem w ustach, czekając, aż poda jej ogień.

— Pozwoli pan? — przemówiła z lekkim obcym akcentem. — Zdaje się, że tu, w łóży, wolno palić. I tak rozpoczęła się ich znajomość.

Wszystko miał przygotowane już na długo przed umówioną godziną. Wciąż nie mógł uwierzyć, że mówiła poważnie, że naprawdę miała przyjść się z nim zobaczyć. Sama to zaproponowała, on nawet nie ośmielił się o tym marzyć... Powiedział jej, jak dotrzeć do pokoju bez konieczności mijania wścibskiego recepcjonisty w holu na dole — schodami dla służby na tyłach budynku, o których wiedzieli tylko starzy rezydenci, tacy jak on. A jednak mimo tych wszystkich zabiegów dała mu jasno, a przy tym zręcznie i taktownie, do zrozumienia, że to nie będzie żaden romans. Oczywiście, że nie; nie romansuje się z własnym ideałem. Ideał się wielbi.

Cofnął się o krok, po raz dziesiąty oglądając pokój. Wszystkie te zdjęcia dziewczyn zostawiły na ścianach żółte plamy po tylu latach wiszenia. Po co mu były teraz te namiastki, skoro znalazł w końcu autentyk? Zdobył skądś parawan i zastawił nim łóżko. Niewiele mógł zdziałać w tym pokoju; czego by nie zrobił, i tak musiał pozostać norą za osiem dolarów tygodniowo.

Zatarł nerwowo ręce. Spojrzał ponownie w lustro, by sprawdzić, czy nowy krawat leży tak, jak trzeba. Zadzwoił telefon, a on o mało się nie przewrócił, starając się jak najszybciej go odebrać. Czyżby nie zamierzała przyjść? Zmieni-

ła zdanie? Po chwili osunął się na siedzenie, rozczarowany, z grymasem znużenia na twarzy. To tylko Maybelle.

— Jak twoja grypa^a? Przez cały dzień się o ciebie martwiłam, Mitch. Posłuchaj, zwędziłam trochę rosółu z restauracji, tego, który podajemy jako specjalność zakładu. Przyniosę ci go zaraz w jakimś słoiku, to najlepsze, co możesz zjeść, gdy zmogło cię choróbsko...

Wił się w męczarniach. Boże, akurat dziś wieczór!

— Zdawało mi się, że w czwartki masz wieczorną zmianę — warknął niewdziecznie.

— Zamieniłam się z jedną dziewczyną, żeby móc przyjść i się tobą zająć.

— Nie, innym razem. Nie mogę się dziś z tobą spotkać. Zaczęła już chlipać po drugiej stronie linii:

— Jak chcesz! Ale jeszcze tego pożałujesz! Niewzruszony, odłożył słuchawkę akurat w chwili, gdy rozległo się długo oczekiwane delikatne pukanie do drzwi.

Otworzył, a do pokoju wkroczyła Miłość, tak jak od zawsze o tym marzył, że kiedyś, gdzieś... Otulona była w tę samą aksamitną pelerynę co w teatrze.

Nie wiedział, co powiedzieć ani jak się zachować; nigdy wcześniej nie miał okazji znaleźć się sam na sam z Idealem.

— Znalazła pani schody bez trudu? Ja... Może powinienem był zejść i zaczekać na panią na rogu.

Włączył radio, ale nadawało akurat wiadomości sportowe, więc zaraz je wyłączył.

Spośród fałdów swej peleryny wyciągnęła butelkę. Nawet ten gest, który w wykonaniu Maybelle byłby wulgarny, w jej przypadku wydawał się pełen wdzięku i intrygujący.

— To dla nas — oznajmiła. — Arak. Mój wkład w nasze dzisiejsze spotkanie.

Nie był jeszcze otwierany, szyjkę wciąż okrywała aluminiowa folia i Mitchell musiał wyciągnąć korek.

Alkohol mocno wchodził w głowę i sprawiał, że człowiek widział świat przez różowe okulary.

Rozwiązywał też język, dzięki czemu Mitchell bez problemu mówił wszystko, co mu przychodziło do głowy.

— Jest pani dokładnie taką kobietą, o jakiej zawsze marzyłem, prawie tak, jakby zrodziła się pani z mojej głowy.

— Naprawdę inteligentna kobieta potrafi być wszystkim dla każdego mężczyzny. Jak kameleon, przybiera barwy jego ideału. Jej zadanie polega na tym, by dowiedzieć się, co to za ideał. Te zdjęcia na ścianie powiedziały mi bardzo dokładnie, czego pan szuka w kobietach...

Niemal upuścił kieliszek, który trzymał; wpatrywał się w nią wielkimi oczami.

— Skąd pani wie, że na ścianach wisiały jakieś zdjęcia?! Czy była już pani kiedyś w tym pokoju? Upiła nieco alkoholu, zakasłała leciutko.

— Nie — odparła. — Ale łatwo poznać po plamach, gdzie wisiały jakieś obrazki. A każdy, kto je wieszka, musi być romantykiem i jak romantyk postrzegać kobiety.

— O... — rzekł i znów wziął do ręki kieliszek. Zmysły już nieco mu się ćmiły. Był zbyt szczęśliwy, by silić się na małostkowość. — To zabawne...

— Co takiego?

— Samą swoją obecnością zmienia pani ten obmierzły pokój w coś ciepłego i wspaniałego. Ujmuje mi pani dwadzieścia lat i sprawia, że czuję się... tak jak kiedyś, dawno, spacerując ulicami na urlopie z wojska z przekonaniem, że tuż za rogiem znajdę...

— Co? — Nie wiem, coś cudownego. Nigdy niczego nie znajdowałem, ale to nie miało znaczenia, bo miałem przecież przed sobą kolejny róg. Liczyło się samo to uczucie. Dzięki niemu stopy zdawały się śpiewać. Zawsze chciałem, żeby ono powróciło, ale od tamtej pory nigdy mi się to nie udało. Pani musi mieć w sobie magię. — Czarną czy białą?

Uśmiechnął się nieprzytomnie. Najwyraźniej nie pojął aluzji.

— Będę musiała już iść. — Wstała, podeszła do toaletki. — Wypijemy jeszcze po kieliszku, zanim pana opuszczę. Chyba starczy tego, co zostało.

Podniosła butelkę i przyjrzała się jej pod światło. Zamiast ze stolika korzystali z blatu komódki.

Napełniła oba kieliszki, po czym przerwała, zostawiając je na chwilę w sporej odległości od siebie.

— Muszę poprawić makijaż... by pięknie wyglądać, gdy ostatni raz pan na mnie spojrzy. —

Uśmiechnęła się przez ramię.

W jej dłoni błysnęła mała, metalowa puderniczka. Pochyliła się nad blatem komódki w stronę lustra. Czyniła delikatne, nieśmiałe ruchy, które znamionowały raczej zamiar, niż samą czynność, jako że ręka rzadko trafiała gdzieś w pobliże nosa. Tak naprawdę pudrowała powietrze w przestrzeni między sobą a lustrem.

Siedział tam, uśmiechając się do niej z zamglonym, dobrodusznym spojrzeniem.

Jej nos nie stał się ani odrobinę bielszy — ale może na tym właśnie polegała sztuka pudrowania, żeby nie było widać. Jedno czy dwa białe ziarenka spadły na ciemny, drewniany blat toaletki. Pochyliła się nad nimi — uosobienie schludności. Jej oddech zesłał je w zapomnienie.

Podniosła kieliszki i wróciła do niego.

Spoglądał na nią z dołu z niemal psim oddaniem.

— Nie mogę uwierzyć, że to mi się naprawdę przydarzyło. Że pani tu rzeczywiście jest. Że pochyła się tak pani nade mną, że podaje mi kieliszek. Że pani oddech porusza moje włosy. Że w powietrzu wokół mnie unosi się odrobina słodczy, jak zapach jednego goździka...

Odstawił na chwilę kieliszek, a ona zrobiła to samo ze swoim, jakby czuła się zobowiązana robić to, co on. — Kiedy pani stąd wyjdzie, będę wiedział, że to nieprawda. Będę śnił o pani w nocy, a rankiem nie zdołam odróżnić snu od rzeczywistości. Już teraz tego nie potrafię.

— Wypijmy. A gdy sięgnął po niewłaściwy kieliszek:

— Nie, tamten jest pana, o tam. Zapomniał pan? — rzekła nadspodziewanie ostro.

— To za co...?

— Za sen, do którego się pan szykuje, oby był długi i przyjemny. Podniósł gwałtownie kieliszek. —

Za sen. Przyglądała się, gdy odstawiał wypity do połowy alkohol.

— To nie jest nasze pierwsze spotkanie — rzekła w zamyśleniu.

— Nie, wczoraj wieczorem, w teatrze...

— Nie, nie to mam na myśli. Widział mnie pan już wcześniej. Na stopniach przed kościołem. Pamięta pan? — Na stopniach przed kościołem? — Głowa kiwała mu się idiotycznie; bardzo się starał trzymać ją prosto. — Co pani tam robiła? — Wychodziłam za mąż. Czy teraz pan sobie przypomina?

Nieświadom tego, co robi, pochłonięty tym, co mówiła, dokończył to, co zostało mu w kieliszku. — Czy byłem na tym ślubie? — O tak, był pan na ślubie... można tak powiedzieć. — Wstała gwałtownie, pstryknęła włącznik maleńkiego radyjka. — Teraz posłuchamy sobie muzyki.

Gardłowy, złowieszczy dźwięk puzonu zdawał się wić w powietrzu dokoła. Zaczęła wokół niego krążyć, obracając się wokół własnej osi coraz szybciej, ze spódnicą rozkloszowaną wokół kolan.

Do nikogo już nie należę

A to nie jest w porządku, jak wierzę...

Podniósł dłoń do czoła.

— Nie widzę pani wyraźnie... co się dzieje... czy światło gaśnie? Coraz prędzej wirowała w solowym tańcu, tańcu triumfalno-pogrzebowym.

— Ze światłem nic się nie dzieje. To pan gaśnie.

Jego kieliszek rozbił się o podłogę. Zaczął się wić i oplatać ciasno ramionami.

— Moje serce... coś rozrywa mi klatkę piersiową. Niech pani sprowadzi pomoc, lekarza...

— Żaden lekarz nie zdoła tu dotrzeć na czas...

Zdawała się teraz wirować wzdłuż ciągnących się w długiej perspektywie ścian. Jego gasnące oczy postrzegały ją już tylko jako plamę jasności gasnącą niby stygnący metal; powoli, stopniowo znikwała na zawsze w ciemności. Leżał teraz na podłodze, u jej stóp, jęcząc na dywanie, z pianą na ustach, z których dobywało się ostatnie tchnienie:

— ...tylko chciałem, żeby pani była szczęśliwa...

Gdzieś z oddali jakiś głos wyszeptał szyderczo: — I jestem... jestem szczęśliwa... — Po czym rozpląnął się w ciszy.

*

Ciągnęła za sobą drzwi, by ostatecznie je zatrzasnąć, lecz zamarła w bezruchu jak posąg, pozostawiając je uchylone na centymetr, tak że gdyby chciała, mogła wejść z powrotem. Patrzyły na siebie z odległości mniejszej niż pół metra. Maybel-le była blondynką, piersiastą i niechlujną. Trzymała przed sobą jakiś pojemnik owinięty byle jak w szary papier. Kobieta w aksamitnej pelerynie narzuconej na ramiona nieco zawadiacko, w sposób przywodzący na myśl toreadora, przyglądała się jej badawczo, czujnie.

Maybelle przemówiła pierwsza, wydymając pomalowane na jaskrawą czerwień, pełne usta.

— Przyniosłam to Mitchowi. Jeśli nie chce mnie widzieć, nie musi; teraz już rozumiem. Ale niech mu pani powie...

— Tak?

— Niech mu pani powie, że ma wypić tego choć trochę, dopóki jest jeszcze ciepłe.

Kobieta w pelerynie obejrzała się przez ramię na wąską jak włos szparę w drzwiach, zbyt wąską, by cokolwiek przez nią zobaczyć.

— Czy na dole widzieli, jak pani wchodziła?

— Pewnie, że widzieli.

— Widzieli, jak niesie pani tę zupe?

— Oczywiście.

Jak łatwo byłoby teraz zwabić ją do pokoju. Przesunęła parawan i ustawiła dokoła ciała tak, by je ukryć, kiedy dobiegło ją pierwsze ostrzegawcze pukanie do drzwi. Jak łatwo byłoby za chwilę, zanim ta kretyńska odkryje zwłoki, uciszyć ją na zawsze przy pomocy kieliszka, z którego on się napił. Albo zostawić ją tam i zamieszać w sprawę, z której własna głupota nie pozwoliłaby jej się wyplatać...

Stała znów twarzą do dziewczyny. Drzwi ostatecznie się zatrzasnęły.

— Niech pani idzie tam, skąd przysła, niech pani szybko ucieka.

Nie było w jej tonie złośliwości, raczej szeptane ostrzeżenie. Maybelle rozwarła szerzej swe błękitne oczy i wpatrywała się w nią głupkowato.

— Prędzej! Każda minuta spędzona tutaj działa na pani niekorzyść. Niech pani zabierze ze sobą na dół ten słoik i niech go pani nie otwiera. Proszę narobić rabanu, że nie mogła pani wejść, i to tak, żeby zlecieli się ludzie, niech się pani chroni!

Popchnęła lekko tę wolno myślącą offermę, by ruszyła w końcu niechętnie korytarzem ku frontowi budynku. Na zakręcie blondynka obejrzała się w oszołomieniu.

— Ale c-co się dzieje? Co się stało?

— Pani przyjaciel leży tam martwy, a ja go zabiłam. Staram się tylko uchronić panią przed wplątaniem w tę sprawę, głupolu. Nie mam nic przeciwko... innym kobietom.

Ale Maybelle nie usłyszała już tych ostatnich słów. Wydała z siebie serię dźwięków podobnych do skrzypienia paznokcia na szkłe, po czym znikła z pola widzenia, rzucając się gwałtownie przed siebie. Kobieta w aksamitnej pelerynie ruszyła szybko, choć bez zbędnego pośpiechu, który mógłby świadczyć o tym, że ucieka, do drzwi dla służby na drugim końcu korytarza i dalej po nie pilnowanych przez nikogo tylnych schodach w dół.

Rozdział 3

Po śmierci Mitchella

Przełożony Wanger przydzielił mu tę sprawę dopiero po tygodniu. W międzyczasie pracował nad nią niejaki Cleary, kompletnie niczego nie osiągając.

— Posłuchaj, Wanger, jest taka dziwna sprawa w hotelu Helena. Czytałem właśnie raporty na jej temat i przyszło mi do głowy, że ma ona pewne cechy wspólne z tamtym wypadkiem Blissa... pamiętasz, jakieś pół roku temu? Na pierwszy rzut oka nie są w ogóle do siebie podobne. W tym nowym przypadku nie ma wątpliwości, że to było morderstwo. Jednak w obu sprawach mamy do czynienia z kobietą, która zaraz po zdarzeniu znika jak kamfora i nie możemy natrafić na jej ślad. W żadnej z nich nie potrafimy się dopatrzeć motywu. A to w naszej pracy zdarza się nieczęsto. Dlatego pomyślałem, że dobrze by było, gdyby Cleary cię w nią wprowadził, przekazał ci, czego się dowiedział. Porozmawiaj też z ludźmi, których przesłuchał. Rozumiesz chyba, że znając sprawę Blissa, łatwiej ci będzie wyciągnąć jakieś wnioski. Jeśli znajdziesz jakiegokolwiek powiązanie, choćby nie wiem jak nikłe, daj mi znać, a przekażę tę sprawę w całości tobie.

Cleary powiedział:

— Oto czego udało mi się dotychczas dowiedzieć, po siedmiu dniach dochodzenia: Wszystko się ładnie ze sobą wiąże, ale nie nabiera przez to żadnego sensu. Rzecz wydaje się równie irracjonalna, jak działanie jakiejś psychopatycznej morderczyni, ale mam najzupełniej pewny dowód, że ta kobieta nią nie jest, co sam będziesz mógł stwierdzić, gdy tylko o wszystkim usłyszysz. A zatem, facet umarł na skutek zażycia niewielkiej ilości cyjanku potasu dodanego do kieliszka z arakiem...

— Tak, czytałem o tym w raporcie lekarza sądowego.

— Tutaj masz kopie zeznań świadków. Możesz przeczytać je dokładnie później, teraz ci je tylko streszczę. Najpierw znalazłem więc czerwony bilet do teatru — no wiesz, taki, co to wraca do właściciela po tym, jak bileter przedrze go przy drzwiach — był w jednej z jego kieszeni. Poszedłem tym tropem i oto, co odkryłem: Na dwa wieczory przed jego śmiercią w kasie teatru Elgin pojawiła się piękna rudowłosa kobieta i oznajmiła, że chce wykupić od razu całą lożę. Kasjer zapytał, na który wieczór, na co odparła, że jej to obojętne. Ważne było dla niej tylko to, by zarezerwować całą lożę. Wydawało się to niezwykle z dwóch powodów: po pierwsze zwykle dla klientów najważniejsza jest data; biorą wtedy najlepsze miejsca, jakie mogą dostać danego wieczora. Po drugie zdawało się, że nie obchodziła ją w ogóle liczba miejsc, nie zapytała nawet, czy płaci za trzy, cztery, czy za pięć. Chciała mieć tylko całą lożę dla siebie. Kasjer sprzedał jej cztery bilety na pierwszy wieczór, jaki nadarzył się wolny, a było to już nazajutrz. Cały ten incydent zapadł mu w pamięć, co chyba naturalne. Dwa z zakupionych biletów nie zostały wykorzystane. Według pracowników teatru w wieczór przedstawienia Mitchell pojawił się sam i osobiście okazał bilet. Kobieta, która dokonała rezerwacji, także zjawiała się sama, lecz znacznie później, kiedy przedstawienie trwało już od dłuższego czasu.

— Tylko jedna osoba może z całą pewnością stwierdzić, że była to ta sama kobieta, która kupiła bilety — zastrzegł Wanger. — Kasjer; i to właśnie jego zeznanie trzymasz teraz pod swoim kciukiem. Zdażył już zamknąć kasę i stał, oglądając sztukę, przy schodach na antresolę, kiedy minęła go po drodze na górę — sama — i rozpoznał ją ponad wszelką wątpliwość. Teraz przejdę do tego, co najważniejsze. Przesłuchałem biletera wskazującego miejsca w lożach. To, co mi powiedział, daje mi pewność, że *to byli kompletnie obcy sobie ludzie*. Zwrócił na nią szczególną uwagę z kilku względów. Ma mniej ludzi do usadzenia niż jego koledzy z widowni na parterze czy na galerii, a ona bardzo się spóźniła, dlatego tak dała mu się zapamiętać. Poza tym była uderzająco piękna i przyszła sama, co wydało mu się wielce niezwykle. Z tego też powodu przyglądał się uważnie, choć w zasadzie bez celu, jak zajmowała miejsce. Żadne z nich dwojga nie odwróciło się, by się przywitać. Żadne

nie odezwało się ani nie skinęło głową. Stał w pobliżu na tyle długo, że mógł być tego pewny. Przy całym swym doświadczeniu nabytym w ciągu wielu lat pracy jest absolutnie przekonany, że tych dwoje w ogóle się nie znało. Zresztą wydaje się to, moim zdaniem, oczywiste. Gdyby się znali, Mitchell czekałby na nią w holu, a nie szedł od razu na górę, każdy mężczyzna by tak postąpił, nawet najgorszy cham. Według biletera dopiero podczas antraktu zaczęli ze sobą rozmawiać, i to w ten nieśmiały sposób typowy dla ludzi, którzy dopiero się poznają. Innymi słowy poderwała go. — Ale jeśli się nie znali, to jak udało się jej przekazać mu bilet? Przecież ona wykupiła wszystkie cztery, a on pojawił się z jednym z nich.

— Wysłała mu go anonimowo pocztą. Kopertę też znalazłem w jednej z jego kieszeni. Bilet był szkarłatny, bardzo jaskrawy. A we wnętrzu koperty widać delikatne różowawe zabarwienie. Ktoś musiał go dotykać spoconymi rękami — ktoś na poczcie albo w hotelowej recepcji, albo może był to sam Mitchell — przez co farba nieco puściła. Gdy chodzi o tę część sprawy, to by było na tyle. A ta kobieta była widziana jeszcze tylko raz. Potem przepadła jak kamień w wodę, a ja nie byłem jak dotąd w stanie jej wytropić. W wieczór morderstwa nie widziano jej, jak wchodziła czy wychodziła z hotelu. To jednak nie jest tak zaskakujące, jak mogłoby się wydawać, bo na tyłach hotelu znajdują się schody dla służby, które prowadzą prosto do zaułka, tak że nie trzeba przechodzić przez hol. Tamtejsze drzwi zamykają się na zatrzask i nie da się ich otworzyć z zewnątrz, ale bez trudu można je było zostawić uchylone, by mogła wejść. Takie środki zapewne zostały podjęte na jej sugestię, bo najwyraźniej zjawiała się tam przygotowana na zabójstwo Mitchella. — Kto zatem widział ją jeszcze ten jeden raz, jak wspominałeś, po tamtym zdarzeniu w teatrze? — Dziewczyna, z którą Mitchell się trzymał, kelnerka Maybelle Hodges. Przyszła do jego pokoju w kilka minut po tym, jak według naszego lekarza nastąpił zgon. Gdy zapukała do drzwi, stanęła w nich tamta kobieta. Była w środku.

— Co jej powiedziała?

— Przyznała się, że go zabiła, i poradziła dziewczynie, by wróciła na dół i uciekała, zanim sama zostanie w to wplątana.

Wanger pogłaskał się po brodzie z powątpiewaniem. — Myślisz, że to zeznanie jest prawdziwe?

— Tak. Opis kobiety, podany przez dziewczynę, zarówno pod względem cech fizycznych, jak i stroju, zgadza się co do joty z opisem podanym przez pracowników teatru, więc nie mogła sobie tego wymyślić. To zaś potwierdza coś, o czym wspomniałem już wcześniej. Z całą pewnością nie mamy do czynienia z psychopatyczną morderczynią. Miała idealną sposobność, by zabić tę pannę Hodges, tam, na miejscu, w tamtej chwili. Wystarczyło wpuścić ją do pokoju

— ciało Mitchella było osłonięte parawanem. Miała mnóstwo czasu. Zamiast tego jednak ostrzegła dziewczynę dla jej własnego dobra. To wszystko, co wiem na temat tej sprawy. Zdawać by się mogło, że mamy więcej materiałów, niż potrzeba. Brakuje nam jednak najważniejszego, żeby nadać temu wszystkiemu jakiś sens: motyw.

— Brak motywu, sprawczyni i ofiara się nie znali, a tajemnicza kobieta znika po zdarzeniu jak błyskawica po trzaśnięciu pioruna — podsumował Wanger, skonsternowany. — No tak, szef przysłał mnie do ciebie, żebym sprawdził, czy czegoś z tego nie zrozumiem. Na razie pewien jestem jednego: ta sprawa idealnie współgra z wypadkiem Blissa. Powiem więcej: to jej wierna kopia.

Ciemnoskóra pokojówka, czwarte piętro hotelu Helena:

— W życiu z nią wcześniej nie widziałam, dlatego byłam pewna, że nie mieszka w hotelu.

Pomyślałam se, że może przyszła kogoś odwiedzić. Przechodziła akurat tamtego dnia korytarzem. To było jakieś, hm, ze dwa tygodnie wcześniej, zanim to się stało. Może więcej. Zatrzymała się i zajrzała przez otwarte drzwi, jakżem sprzątała jego pokój. Powiedziałam, słucham, psze pani, szuka pani pana Mitchella? A ona, że nie, ale że zawsze można się dużo dowiedzieć o człowieku i o jego zwyczajach, jak się patrzy na jego pokój. Mówiła tak uprzejmie i ładnie, że aż miło jej było słuchać. Popatrzyła na zdjęcia dziewczyn, co to wisiały u niego na ścianie, i powiedziała: „Widzę, że ten człowiek lubi kobiety tajemnicze. Żadna tu nie wygląda na zdjęciu tak jak w rzeczywistości. Wszystkie próbują wyglądać jak ktoś inny, dla niego. Przygryzają róże, gapią się przez koronkowe wachlarze. Gdyby która dała mu swoje zdjęcie takie, jak

naprawdę wyglądała, to by go w ogóle nie powiesił". To wszystko. Poszła, zanim zem się obejrzała, i nigdy już jej potem nie zobaczyła.

Sprzedawca ze sklepu Alkohole Świata:

— Tak, pamiętam, jak to sprzedawałem. Alkoholu tak szczególnego jak arak sprzedajemy nie więcej niż butelkę rocznie... Nie, to nie była jej sugestia. Przypadkiem natknąłem się na tę butelkę na półce i pomyślałem, że to dobra okazja, by się jej pozbyć, skoro klientka prosi o coś niezwykłego, a zarazem mocnego. Twierdziła, że ma to być prezent dla przyjaciela, a im bardziej trunk będzie egzotyczny, tym bardziej go zadowoli. Pokazałem jej wcześniej czystą wódkę i kminkówkę, ale zdecydowała się na arak. Przyznała, że sama go jeszcze nigdy nie piła. Zrobiła też coś dziwnego; kiedy już wychodziła, uśmiechnęła się do mnie jakoś tak niezwyczajnie i rzekła: „W ostatnich dniach często zdarza mi się robić rzeczy, których jeszcze nigdy nie robiłam"... Nie, nie okazywała żadnej nerwowości. Prawdę mówiąc, specjalnie stanęła z boku i poleciła mi obsłużyć najpierw mężczyznę, który prosił o butelkę whisky i któremu bardzo się spieszyło, gdy sama zastanawiała się nad wyborem. Powiedziała, że musi się dobrze namyślić, by podjąć właściwą decyzję.

Przełożony Wangerera rzekł tydzień później:

— A zatem uważasz, że te dwie sprawy mają ze sobą coś wspólnego, czy tak?

— Tak.

— Co mianowicie?

— Tylko jedno: w obie zamieszana jest ta sama nieznana nam kobieta.

— O nie, tu się mylisz, to nie jest ta sama kobieta. — Szef machnął na jego opinię obiema rękami. — Przyznaję, że chodziło mi coś takiego po głowie, kiedy rozmawiałem z tobą w zeszłym tygodniu. Ale nic z tego nie będzie, chłopie, to się w ogóle nie klei! Od tamtej pory znalazłem czas, żeby zapoznać się z dokładnym opisem tej osoby zdobytym przez Cleary'ego. Tutaj wszelkie podobieństwa biorą w łeb. Wyjąłem z akt opis tamtej od Blissa, zestawilem je i popatrz tylko... Popatrz na nie obie. Jedna obok drugiej.

Akta Blissa

złotobłond włosy 165 cm wzrostu świeża cera błękitne oczy wiek: ok. 26 lat sposób mówienia świadczący o wykształceniu i towarzyskiej ogładzie

Akta Mitchella

rude włosy 170 cm wzrostu szara cera szaroniebieskie oczy wiek: ok. 32 lata mówi z lekkim obcym akcentem

— Także *modus operandi* w obu przypadkach nie jest ten sam, ani nawet podobny! Jedna spycha młodego maklera giełdowego z tarasu. Druga doprawia cyjankiem alkohol zaniedbanego mizera-ka w jakimś obskurnym hotelu. Z tego, co mi wiadomo, ci dwaj nie dość, że nie znali kobiety, która zadała im śmierć, to nawet nie słyszeli o sobie nawzajem. Nie, Wanger, uważam, że to są dwie zupełnie różne sprawy...

— Połączone osobą morderczyni — upierał się Wanger, choć bez przekonania. — Mając przed sobą te dwa skrajnie różne opisy, muszę przyznać, że ta dyskusja jest jak porywanie się z motyką na słońce. A jednak wszystkie te różnice w wyglądzie niewiele znaczą. Wystarczy je odrobinę nagiąć, by uzyskać wspólny mianownik. Blondynka i rudowłosa: każda mała dziewczynka powie panu, jak łatwo zamienić jedną w drugą. Metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i metr siedemdziesiąt: gdyby jedna z nich miała buty na płaskich obcasach, a druga na wysokich, wciąż mogłaby to być ta sama osoba. Cera świeża lub szara i zmęczona: tu wystarczy odrobina pudru. Różnica w barwie oczu może być jedynie złudzeniem optycznym wywołanym nałożeniem cienia do powiek. Pozorna różnica wieku też nie stanowi tu żadnego pewnika, bo i ona może być złudzeniem wywołanym czynnikami zewnętrznymi, takimi jak strój czy zachowanie. Co jeszcze zostało? Akcent? Sam potrafię mówić z obcym akcentem, jeśli zechcę. Najważniejsze, o czym należy pamiętać, to fakt, że żadna z osób, które widziały jedną z tych kobiet, nie widziała drugiej. Mamy świadków w sprawie Blissa i w sprawie Mitchella, lecz są to dwie zupełnie odrębne grupy. Nie istnieje ani jeden człowiek, który widziałby je obie. Nie mamy więc nikogo, kto mógłby te kobie-

ty porównać. Mówi pan, że nie ma też żadnych cech wspólnych w *modus operandi* jednej i drugiej. Ja zaś twierdzę, że takie cechy istnieją, a jedyną różnicą jest sposób ostatecznego popełnienia przestępstwa, i to właśnie pana zwiodło. Niech pan się przyjrzy tym „dwóm” nieznanym kobietom. Obie mają niesamowitą, mistyczną wręcz zdolność do znikania tuż po zdarzeniu. Są w tym niemal genialne. Obie namierzają swe ofiary zawczasu, najwyraźniej starając się poznać ich życie i zwyczaje. Jedna pojawiła się w kamienicy Blissa, gdy jego samego nie było, druga dokładnie rozpracowała pokój Mitchella — także, gdy ten był nieobecny. Jeśli to nie składa się na *modus operandi*, to co? Mówię panu, że w obu przypadkach to ta sama kobieta.

— A jaki jest zatem jej motyw? — spytał przełożony Wagera. — Przecież nie rabunek. Mitchell zalegał od półtora miesiąca z czynszem. I to *ona* wykupiła całą łożę po trzy dolary trzydzieści za miejsce i wyrzuciła dwa bilety, byle tylko mieć pewność, że spotka się z nim w sprzyjających jej okolicznościach. Idealnie pasowałaby tu zemsta, ale on nie znał jej, a ona jego. Nie dość, że nie jesteśmy w stanie ustalić motywu, to nie potrafimy też znaleźć żadnego wytłumaczenia typowego dla zbrodni *bez* motywu. Ta kobieta nie jest przecież maniakałnym zabójcą. Miała doskonałą sposobność, by pozbyć się tej całej Hodges — zaś Hodges reprezentuje seksowny, hojnie obdarzony przez naturę typ niezbyt bystrych pańienek, wyjątkowo kuszący dla urodzonych morderców. Nasza morderczyni natomiast nie skorzystała z okazji, zamiast tego ostrzegła dziewczynę jedynie przez wzgląd na jej własne dobro.

— Motywu należałoby szukać gdzieś w przeszłości, i to w dalekiej przeszłości — upierał się Wager.

— Zbadałeś przeszłość Blissa niemal dzień po dniu, a mimo to niczego nie znalazłeś.

— A zatem musiałem coś przegapić. I tylko mnie należy za to winić. Motyw gdzieś się tam krył, tylko ja go nie zauważyłem.

— I tu napotykamy na kolejną barierę. Czy zdajesz sobie sprawę, że nawet gdyby ci dwaj mężczyźni ciągle żyli, żaden z nich nie byłby w stanie rzucić światła na tę mroczną postać, na to, co nią kierowało, bo sami jej nie znali, najprawdopodobniej nigdy wcześniej jej nie widzieli?

— To mi pan dodał otuchy — odparł posepnie Wanger. — Nie mogę panu obiecać, że rozwiążę tę sprawę, choć mi ją pan przekazał. Mogę jedynie przyrzec, że nigdy nie przestanę próbować.

Notatki Wanger na temat Mitchella (pięć miesięcy później):

Materiał dowodowy:

— 1 koperta zaadresowana w salonie sprzedaży maszyn do pisania na jednej z maszyn do testowania bez wiedzy personelu.

— 1 butelka po araku zakupionym w sklepie Alkohole Świata.

— 1 przerwany bilet do teatru Elgin, loża A-1.

Sprawa nierozwiązana.

Część trzecia

MORAN

*Tak jak bum, bum tam-tama
Gdy na dżunglę pada mrok,
Tak jak tik-tak dostojnego zegara
Co ściany skrywa bok.*
Cole Porter

Rozdział 1

Kobieta

Z doświadczenia wiedział, że dorośli zawsze zadają głupie pytania. Pytania o rzeczy tak oczywiste, że sam już dawno nauczył się uznawać je za pewnik. Lecz oni zawsze musieli poznać odpowiedź. Zwłaszcza wtedy, gdy ty chciałeś robić coś innego. Coś naprawdę wartego zachodu, takiego jak odbijanie ogromnej, bardzo kolorowej piłki wzdłuż chodnika. Całkiem jak ta pani, która go teraz zatrzymała. Nachylała się i była taka miła i w ogóle, a nie dawała mu się pobawić.

— Jejku, co za wielka piłka dla tak małego chłopca. Pewnie, każdy widział, że to wielka piłka. Po co mu to w ogóle

mówiła? Dlaczego nie poszła sobie do domu, tam, gdzie mieszkała?

— Ile masz lat?

Po co jej było wiedzieć, ile ma lat? — Pięć i pół.

— No kto by pomyślał. A czym jesteś dzieckiem?

A po co jej było wiedzieć, czym jest dzieckiem? Jej przecież nie był, powinna była to wiedzieć, jak tylko na niego spojrziała.

— Mojej mamy i mojego taty — wymamrotał z wyższością. Bo niby kogo innego?

— A jak nazywa się twój tato?

Czy ona naprawdę *nic* nie wiedziała? Pewnie chodziło jej o to dziwne, poważne, nie używane w domu nazwisko, które jego ojciec zdawał się nosić jako zbędny dodatek — a nie o logiczne „tatuś”.

— Pan Moran — powtórzył jak papuga po dorosłych. Powiedziała coś o koszu. — Roz-~~o~~sz-nie. —

A potem spytała: — Masz jakichś braci lub siostry?

— Nie.

— Cóż za szkoda! Nie brakuje ci ich?

Jak może mu brakować czegoś, czego nigdy nie miał? Poczł jednak gdzieś w głębi duszy niejasno, że brak rodzeństwa może mieć znaczenie, i natychmiast spróbował ów brak wypełnić jakimś substytutem.

— Mam za to babcię.

— Cudownie! Czy ona mieszka razem z tobą?

Babcie nigdy nie mieszkają razem, czy ona o tym nie wie?

— Babcia mieszka w Garrison. — Na wspomnienie tego miejsca przyszedł mu do głowy jeszcze jeden substytut i chłopiec postanowił nim także wypełnić lukę po rodzeństwie. — I ciocia Ada też.

Czy ona już nigdy go nie puści i nie pozwoli pobawić się piłką?

— Ojej! Tak daleko! — zdumiała się. — Byłeś ją tam kiedyś odwiedzić?

— Pewnie, że tak. Jak byłem mały. Ale doktor Bixby powiedział, że robię za dużo hałasu, i mamusia musiała mnie zabrać z powrotem do domu.

— Czy doktor Bixby to lekarz twojej babci, skarbie?

— No. Często tam przychodzi.

— A powiedz mi, skarbie, czy chodzisz już do szkoły albo przedszkola?

Co za obraźliwe pytanie! Co ona sobie wyobraża — że ile on ma lat: *dwa*?

— Pewnie, codziennie chodzę do przedszkola — odparł zarozumiale. — I co tam porabiasz?

— Rysuję kaczki i króliki, i krowy. Panna Baker dała mi złotą gwiazdę za rysunek krowy.

Czy ona w ogóle nie zamierzała odejść i zostawić go w spokoju? Zdawało mu się, że trwa to już kilka godzin. Odbijając piłkę, dotarłby już do rogu i wrócił w czasie, który przez nią zmarnował.

Spróbował ją obejść i w końcu zrozumiała, o co mu chodzi. — Już dobrze, kochanie, baw się dalej, nie będę cię dłużej zatrzymywać. Pogłaskała go dwukrotnie po zaokrąglonej potylicy i odeszła chodnikiem, rzucając mu przez ramię ujmujący uśmiech.

Głos matki rozległ się nagle zza moskitiery otwartego okna na parterze. Pewnie siedziała tam przez cały czas. Przez moskitierę

widać z domu wszystko, co dzieje się na ulicy, ale z ulicy kompletnie nie widać wnętrza. Odkrył to już dawno.

— Co mówiła do ciebie ta miła pani, Cookie? — zapytała dobrodusznie mamusia.

Dorośli wyczułby w jej głosie nutę rodzicielskiej dumy z tego, iż jej pociecha jest tak wyjątkowa pod każdym względem, że przykuwa nawet uwagę przypadkowych przechodniów na ulicy.

— Chciała wiedzieć, ile mam lat — odparł z roztargnieniem. Skoncentrował się już jednak na ważniejszych sprawach. — Popatrz, mamusiu. Popatrz, jak wysoko umiem rzucać!

— Tak, kochanie, ale nie za wysoko, żeby piłka nie wpadła ci na dach.

Chwilę później chłopiec zapomniał o całym zajściu. Po dwóch chwilach nie pamiętała o nim także jego matka.

Rozdział 2

Moran

Żona Morana dzwoniła do niego do biura, gdy był na lunchu; kiedy wrócił, czekała na niego wiadomość.

Moran nie przestraszył się; to się zdarzało dość często. Średnio co trzeci dzień. Pewnie przypomniła sobie, że potrzebuje czegoś z miasta, i chce, żeby po drodze do domu się zatrzymał i to kupił. Tak sobie zrazu pomyślał. Po chwili jednak doszedł do wniosku, że to nie to, bo w takim przypadku zostawiłaby po prostu wiadomość telefonistce. No chyba że chodziło o coś bardziej skomplikowanego, wymagającego dokładniejszych instrukcji, które nie mogły zostać właściwie przekazane przez osobę trzecią.

Wykorzystał chwilę senności po posiłku, by oddzwonić.

— Pańska żona na linii, panie Moran.

— Frank...

Głos Margaret był tak naładowany emocjami, że od razu się zorientował, gdy tylko usłyszał własne imię, iż musi chodzić o coś więcej niż tylko załatwienie błahego sprawunku.

— Witaj, skarbie, co się dzieje?

— Och, Fr-r-rank, jak dobrze, że już wróciłeś! Zamartwiam się na śmierć, nie wiem, co robić.

Dostałam właśnie telegram od Ady, nie dalej jak pół godziny temu...

Ada była jej niezamężną siostrą mieszkającą w północnej części stanu. — Telegram? — powtórzył. — Dlaczego telegram?

— O to właśnie chodzi. Poczekaj, przeczytam ci go.

Zajął jej to chwilę, zanim wygrzebała kartkę z kieszeni fartucha i jedną ręką zdołała ją rozłożyć.

— Posłuchaj. „Z mamą źle, nie chcę cię straszyć, ale lepiej przyjedź zaraz. Doktor Bixby też tak uważa. Nie zwlekaj. Ada.”

— Pewnie to znów coś z jej sercem — rzekł niezbyt współczująco.

Dlaczego Margaret musiała niepokoić go czymś takim w godzinach pracy?

Zacząła chlipać po cichu, nerwowo, wydając z siebie dźwięki, które nie do końca przypominały płacz.

Jakby bała się doprawić tę rozmowę łzami.

— Frank, co ja mam zrobić? Myślisz, że powinnam do nich zadzwonić?

— Skoro Ada pisze ci, że masz przyjechać, to lepiej jedź — odparł krótko.

Najwyraźniej czekała na taką radę, słychać to było w jej własnych wypowiedziach.

— Chyba masz rację — zgodziła się przez łzy. — Znasz Adę, wiele jej można zarzucić, ale nie to, że jest panikarą; jak dotąd była raczej skłonna bagatelizować problemy. Ostatnim razem, gdy mama źle się czuła, nawet nie dała mi znać, dopóki nie było po wszystkim, żeby mnie nie niepokoić.

— Nie przejmuj się tym tak bardzo. Twojej matce zdarzyły się już takie okresy złego samopoczucia i prędzej czy później mijały — próbował jej uprzytomnić.

Jej zmartwienie koncentrowało się już jednak wokół czegoś innego.

— Ale co ja mam zrobić z Cookiem?

Moran poczuł się urażony posądzeniem, że nie będzie umiał poradzić sobie z pięcioletnim synem.

— Potrafię się nim zająć — rzucił ostro. — Nie jestem kaleką. Chcesz, żebym się dowiedział, o której masz autobus?

— Już to zrobiłam. Pojadę chyba tym o piątej. Jeśli wyjadę później, spędzę w drodze prawie całą noc, a wiesz, jakie to nieprzyjemne.

— Lepiej jedź wcześniejszym — zgodził się. Mówiła coraz szybciej, jak w popłochu.

— Jestem już spakowana, biorę tylko niewielką torbę. Powiedz jeszcze, Frank, spotkasz się ze mną na dworcu...?

— No dobrze, dobrze.

Zaczynał się już niecierpliwie tym nie kończącym się bajdurzeniem. Kobiety nigdy nie wiedziały, jak krótko i konkretnie prowadzić rozmowy telefoniczne. Jego sekretarka stała w drzwiach, czekając na sposobność, by coś z nim omówić.

— Frank, bądź tylko na czas. I pamiętaj, że będziesz musiał zabrać Cookiego. Będzie ze mną na dworcu. Odbiorę go z przedszkola po drodze do miasta...

Tak punktualnie, jak to sobie zamierzył, znalazł się na dworcu, lecz Margaret już tam była z miniaturą człowieczeństwa, czyli ich synem, u swego boku. Cookie zaczął podskakiwać i lądować ciężko na ziemi, kładąc bardzo obrazowy nacisk na informację, którą miał do przekazania.

— Tatusiu, mama wyjeżdża! Mama wyjeżdża!

Pozostał niezauważony przez oboje rodziców, nie będąc w stanie — co zdarzało się niezwykle rzadko — zdominować początku ich rozmowy.

— Co ty? Płakałaś? — spytał Moran z wyrzutem. — Jasne, że płakałaś, widać po oczach. Nie ma sensu się w ten sposób zachowywać.

Z Margaret szybko zaczął się wylewać strumień matczynych rad:

— Posłuchaj, Frank, kolację dla niego znajdziesz gotową na kuchennym stole, musisz ją tylko odgrzać. I nie dawaj mu jeść zbyt późno, bo to niezdrowo. Aha, jeszcze jedno, lepiej daruj mu dzisiaj kąpiel. Nie wiesz dokładnie, jak to robić, a ja się boję, że w wannie coś mu się może stać.

— Jeden dzień bez kąpieli go nie zabije — mruknął Moran z lekceważeniem.

— Frank, a czy będziesz umiał go rozebrać?

— Jasne, wystarczy rozpiąć guziki i gotowe. Czy jego ubranie różni się czymś od mojego? Jest tylko mniejsze, to wszystko.

Strumień troski płynął jednak z jej ust nieprzerwanie.

— I Frank, gdybyś przypadkiem chciał wyjść gdzieś późnym wieczorem, lepiej nie zostawiaj go samego. Może uda ci się namówić którąś z sąsiadek, żeby go przypilnowała...

W otchłani podziemi pod poczekalnią grobowy głos obwieszczał przez megafon:

— ...Hobbs Landing, Allenville, Greendale...

— To twój. Lepiej już idź.

Ruszyli powoli po pochylni w dół, na poziom, skąd odjeżdżały autobusy. Potok słów osłabł wreszcie nieco i przybrał formę zdawkowych już uwag płynących z troski *o jego* samopoczucie.

— Posłuchaj jeszcze, Frank, wiesz, gdzie trzymam twoje czyste koszule i inne...

— Wsia-ać proszę! — ponaglał bileter.

Oplotła ramionami jego szyję z niespodziewaną siłą, jak gdyby nie wykazała jeszcze stu procent kobiecej troski.

— Do zobaczenia, Frank. Wrócę, jak tylko będę mogła.

— Zadzwoń, gdy dojedziesz, żebym wiedział, że dotarłaś bezpiecznie.

— Mam nadzieję, że mama z tego wyjdzie.

— Oczywiście, że wyjdzie. Nawet tydzień nie minie, gdy znów będzie na chodzie...

Przykucnęła koło Cookiego, poprawiła mu czapkę, kołnierzyk kurtki, sięgające kolan porcięta, ucałowała go trzy razy w głowę.

— No, skarbie, bądź grzeczny, zawsze słuchaj taty. Ostatnie słowa, jakie wypowiedziała już ze stopni autobusu, brzmiały: — Zdarza mu się ostatnio troszkę kłamać, Frank; starałam się to z niego wypłenić. Nie zachęcaj go... Musiała w końcu się odwrócić, bo inni ludzie próbowali wsiąść, a ona blokowała wejście. Kierowca odwrócił głowę i powiódł za nią posepnym spojrzeniem, gdy szła przejściem, by zająć miejsce. Mruknął pod nosem:

— Na rany koguta, mamy przed sobą tylko kilka godzin drogi na północ stanu, a nie podróż do granicy z Meksykiem. Moran i ich pociecha przeszli na wysepkę naprzeciwko jej siedzenia. Nie zdołała otworzyć okna, inaczej pewnie wciąż bełkotałyby w ten sam sposób co przedtem. Tymczasem musiała się zadowolić przesyłaniem całusów i gestami, które miały przekazać odpowiednie instrukcje przez szybę. Moran nie wiedział, co znaczy więk-

szość z nich, ale udawał, że wszystko rozumie i kiwał potulnie głową, żeby tylko ją uspokoić. Autobus zaczął toczyć się po betonie z sykiem i chrzęstem. Moran nachylił się do drobnej istotki u swego boku, i uniósł jedno z cienkich jak wykałaczka ramion.

— Pomachaj mamie na do widzenia — polecił.

Niezgrabnie poruszał patykowatą kończyną w przód i w tył jak dźwignią dziecinnej pompki-zabawki. **Po** raz dziesiąty myślał o Margaret z nowo nabytym szacunkiem, niemal ze czcią, bo potrafiła sama doprowadzić cały ten chaos do jako takiego porządku, i to nie jednorazowo, ale dzień w dzień, kiedy to rozległ się dzwonek u drzwi.

Jęknął na głos: — Jakbym mało miał na głowie, tylko towarzystwa mi teraz potrzeba, żeby ktoś mi się tu plątał i się ze mnie naśmiewał!

Był bez marynarki i krawata, rękawy koszuli podwinął, żeby ich nie zabrudzić, a za pas wetknął jeden z fartuszków żony. Wcześniej udało mu się jakoś odgrzać posiłek Cookiego — ostatecznie w stanie, w jakim pozostawiła go Margaret, wystarczyło zapalić zapałkę, a od niej palnik kuchenki gazowej — i po długiej gonitwie umieścić zarówno jedzenie, jak i syna przy stole. To był jednak ostatni z jego sukcesów. Co należało zrobić, by powstrzymać dziecko przed waleniem łyżką w papkowate pożywienie albo przed robieniem z niego brejowatych kupek, które następnie fruwały po całym pomieszczeniu? W obecności Margaret Cookie zawsze zdawał się normalnie jeść. Przy nim zrobił sobie z posiłku artyleryjską amunicję, której odłamki trafiały nawet w ścianę naprzeciwko.

Moran nieustannie się dokoła niego kręcił, przechodził z jednej strony na drugą, usiłując przechwycić pociski, które czyniły tyle szkód. Wszelkie perswazje odnosiły skutek wręcz odwrotny od pożądanego; Cookie miał go w garści i dobrze o tym wiedział.

Dzwonek u drzwi zabrzączał po raz drugi, gdy Moran, zajęty walką z synem, zdążył zapomnieć o pierwszym. Zdesperowany, przeczesał włosy palcami, przeniósł wzrok z syna na drzwi i z powrotem na niego. Wreszcie, jakby dochodząc do wniosku, że nic gorszego spotkać go już nie może, ruszył do wejścia, ścierając grudkę szpinaku znad jednej brwi.

W drzwiach stała kobieta, której nie znał. Była damą; dyskretnie powstrzymywała się od spoglądania na fartuszek z błękitnymi niezapominajkami w jednym rogu, zachowywała się tak, jakby Moran wyglądał najzupełniej normalnie.

Była młoda i dość ładna, lecz ubrana tak, jak gdyby specjalnie starała się umniejszyć wagę owego drugiego przymiotu; miała na sobie schludną, choć całkiem prostą garsonkę z granatowej serży.

Włosy miała rudawozłote, zniewolone przy pomocy szpilek i innych drobiazgów. Jej twarz zdawała się nie skażona kontaktem z niczym poza wodą i mydłem. Po każdej stronie nosa miała rozetkę piegów, wysoko na kościach policzkowych, i tylko tam. Roztaczała wokół siebie niemal chłopięcą aurę życzliwości i naturalności.

— Czy tutaj mieszka Cookie Moran? — zapytała z przyjaznym uśmiechem.

— Tak... ale moja żona właśnie wyjechała... — odparł Moran bezradnie, zastanawiając się, czego też ta kobieta może chcieć.

— Wiem, panie Moran. — Było w jej tonie wiele zrozumienia, niemal współczucia. W kąciку ust pojawiło się też zdradliwe delikatne drgnienie, nad którym szybko zapanowała. — Wspominała o tym, gdy przyszła po chłopca. Dlatego tu jestem. Jestem wychowawczynią Cookiego w przedszkolu. Nazywam się Baker. — Ach tak! — zawołał szybko, rozpoznając nazwisko. — Żona często o pani mówi. Podali sobie ręce. Miała pewny, serdeczny uścisk, taki, jakiego należało się spodziewać.

— Pani Moran nie prosiła mnie wprawdzie, żebym przyszła, lecz ze sposobu, w jaki poinformowała mnie o swoim wyjeździe, wywnioskowałam, że martwi się o to, jak wy dwaj dacie sobie radę. Pomyślałam więc, że was odwiedzę. Wiem, że ten wyjazd nastąpił dość niespodziewanie... więc jeśli jest coś, w czym mogłabym pomóc... Nie próbował nawet ukryć ulgi i wdzięczności, jakie poczuł.

— Och, to cudownie z pani strony! Naprawdę, uratowała nam pani życie, panno Baker! Proszę wejść...

Poniewczasie przypomniał sobie o fartuszku w niezapominajki, ściągnął go i mnąc w dłoni, schował za siebie.

— Jak wy je zmuszacie do jedzenia? — zapytał poufale, zamykając drzwi i podążając za nią korytarzem. — Boję się wpychać mu pożywienie do ust, żeby się nie udusił...

— Wiem, jak to jest, panie Moran, dobrze wiem — rzekła, dodając mu otuchy.

Ogarnęła jednym pełnym zrozumienia spojrzeniem jadalnię, stając w jej drzwiach, i wydała z siebie gardłowy chichot.

— Widzę, że zjawiłam się w samą porę.

Moranowi dotychczas zdawało się, że to pomieszczenie jest w całkiem niezłym stanie w porównaniu z kuchnią. To tam huragan uderzył z maksymalną siłą.

— A jak się miewa nasz młody człowiek? — spytała.

— Cookie, popatrz, kto przyszedł — zawołał Moran, wciąż przepełniony radością z powodu tej niespodziewanej odsieczy, która była dla niego wręcz jak manna z nieba. — Panna Baker, twoja wychowawczyni. Nie przywitasz się z panią?

Cookie przyglądał się jej dłuższą chwilę bez mrugnięcia okiem, z powagą dziecięctwa.

— To nie ona! — orzekł w końcu beznamiętnie.

— Ależ Cookie! — ofuknęła go lekko panna Baker. Kucnęła przy jego wysokim krzeselku tak, by jej głowa znalazła się na tym samym poziomie co jego. Przyłożyła palce do jego podbródka i powiodła nim. — Odwróć głowę i przyjrzyj mi się dobrze. — Znalazła nawet czas, by ponad głową chłopca posłać Moranowi szybki, wyrozumiały uśmiech. — Nie chcesz znać panny Baker...?

Moran wstydził się za dziecko, jak gdyby ta sytuacja uczyniła z niego rodzica upośledzonej umysłowo kaleki. — Cookie, co się z tobą dzieje? Nie poznajesz swojej wychowawczyni?

— To nie ona — odparł Cookie, nie odwracając spojrzenia. Panna Baker spojrzała na ojca, zupełnie zagubiona. — Co mu

się stało? — rzekła z troską. — Nigdy się tak wobec mnie nie zachowywał.

— Nie wiem, chyba że... chyba że... — Przypomniała mu się uwaga Margaret. — Żona wspominała tuż przed odjazdem, że Cookie zaczyna troszkę kłamać. Może to właśnie jedno z jego kłamste-

wek. — Usiłował nadać swemu głosowi brzmienie pełne autorytetu, mówiąc do syna: — Posłuchaj mnie teraz, młody człowieku...!

Kobieta czarująco, delikatnie i dyskretnie zmrużyła powieki, jakby chciała go leciutko zganić.

— Pozwoli pan, że ja się nim zajmę — szepnęła. — Jestem do tego przyzwyczajona.

Widać było, że jest osobą o nieskończonej cierpliwości do dzieci, osobą, która nigdy, w żadnych okolicznościach nie traci panowania nad sobą. Zwróciła ku chłopcu swą przemiłą twarz.

— Co się dzieje, Cookie, nie chcesz mnie znać? Bo ja ciebie znam...

Cookie się nie odzywał.

— Zaczekaj, chyba mam coś tutaj.

Otworzyła przepastną torebkę i wyjęła złożoną kartkę papieru. Rozłożyła ją, a oczom wszystkich ukazał się rysunek, nadrukowany kontur pokolorowany ręcznie kredkami. Barwne wypełnienie wychodziło gdzieś poza kreski nadruku, ale znać było staranie.

Cookie przyglądał się malowance bez żadnych widocznych oznak dumy z własnego osiągnięcia.

— Nie pamiętasz, jak robiłeś to dzisiaj rano... a ja powiedziałam ci, jakie to ładne? Nie pamiętasz, jak dostałeś za to złotą gwiazdę?

To przynajmniej zabrzmiało znajomo w uszach Morana, jeśli nie jego pociechy. Nieraz zdarzało się, że gdy wracał wieczorem do domu, witał go wybuch obrazowo demonstrowanej radości: „Dostałem dziś złotą gwiazdę!”

— To pani jest panną Baker...? — Cookie ostrożnie dawał za wygraną.

— Och! — Pociągnęła go żartobliwie za ucho. — Oczywiście, że tak! Przecież wiesz!

— To dlaczego pani inaczej wygląda?

Uśmiechnęła się z rozbawieniem do Morana. — Chodzi mu pewnie o okulary. Jest przyzwyczajony do tego, że w przedszkolu noszę okulary w rogowych oprawkach, a dziś przyszłam bez nich. Swoją rolę odgrywa tu też dziecięca psychologia. Przyzwyczajony jest do oglądania mnie w przedszkolu, a nie we własnym domu. Nie przy

należę do tego miejsca. Tak więc — rozłożyła ręce — nie jestem tą samą osobą.

Moran skrycie podziwiał jej naukowe podejście do dziecka i głęboką wiedzę, na jakiej to podejście najwyraźniej się opierało — tak bardzo różniło się ono od emocjonalnego, często pozbawionego rozsądku zachowania Margaret.

Podniosła się, zapewne uznając, że lepiej nie przeciągać struny, gdy już się coś osiągnęło z nieprzychylnym sobie dzieckiem; lepiej dochodzić do obranego celu powoli, stopniowo, krok po kroku. Słyszał kiedyś, jak Margaret mówiła, że tak właśnie postępuje się z dziećmi w przedszkolu. — Za pięć minut sam całkowicie zapomni, że nie chciał mnie poznać, zobaczy pan — zapewniła go półszeptem.

— Świetnie się pani zna na postępowaniu z dziećmi, prawda? — rzekł, będąc pod wielkim wrażeniem.

— Dzieci to specyficzne małe istoty, a nie na wpół uformowani dorośli. Odrzuciliśmy ten staromodny pogląd. — Zdjęła kapelusz i żakiet i ruszyła ku zrujnowanej kuchni. — Teraz niech popatrzę, co mogę tu zrobić, by pomóc. A pan, czy pan czegoś nie potrzebuje, panie Moran?

— Och, proszę się mną nie przejmować — odparł z fałszywą ofiarnością. — Mogę później pójść do jakiejś restauracji.

— Nonsens, absolutnie nie ma takiej potrzeby. Przygotuję coś, zanim pan się spostrzeże. Teraz niech pan poczyta wieczorną gazetę — po tym, jak leży wciąż złożona, poznaję, że nie miał pan ku temu okazji — i niech pan zapomni o wszystkim, całkiem tak, jakby pańska żona nigdzie nie wyjechała. Ona była — pomyślał Moran, wzdychając z wdzięczności — jedną z najmiłszych, najbardziej kompetentnych, najbardziej troskliwych w obejściu młodych kobiet, jakie kiedykolwiek miał przyjemność poznać. Przeszedł do pokoju dziennego, odwinął rękawy i wyłączył się dla świata za stroną z wiadomościami sportowymi wieczornego dziennika.

Zdawało się, że podróż trwa dłużej niż poprzedniego lata, kiedy to ona i Frank odbyli swą ostatnią wyprawę na północ, chociaż Garrison nie przesunęło się ani o kawałek, podobnie zresztą jak miasto,

w którym mieszkali. Wrażenie to wywołał pewnie fakt, że po pierwsze tym razem jechała sama, a po drugie powód tej podróży nie należał do najprzyjemniejszych.

Frank wykupił jej miejsce przy oknie, a obok nikt się nie dosiadł, dzięki czemu udało jej się uniknąć niedogodności zdawkowej rozmowy z pełnym najlepszym intencji towarzyszem podróży; gdyby postanowiła takiej rozmowy nie podjąć, byłaby narażona na jeszcze gorszą niedogodność związaną ze znoszeniem sztywności i wrogości ze strony zlekceważonego rozmówcy.

Wiejskie krajobrazy migają za oknem, przywodząc na myśl przewracanie się oranej ziemi, jak gdyby autobus podążał tuż za pługiem, który odkrywał kolejne drzewa, domy, płoty, pozostawiając je nienaruszone. Widziała je tylko zewnętrzną powłoką oka, żadne obrazy nie przenikały przez źrenicę. Co dwanaście minut, regularnie, przypominała sobie coś, o czym zapomniała powiedzieć Frankowi: a to o Cookiem, a to o domu, o mleczarzu, o praniu. Ale przecież

— sama zdała sobie z tego sprawę — gdyby nawet mu o tym powiedziała, Frank sam pewnie by już o wszystkim zapomniał. To potulne kiwanie głową za oknem autobusu nie zwiódło jej, było zbyt roz-kojarzone.

W dwunastominutowych przerwach między tymi przebłyskami pamięci zamartwiała się o matkę. To naturalne, że się człowiek niepokoi — naturalne dla każdego.

Uświadomiła sobie jednak, że tylko pogarsza własne samopoczucie, martwiąc się na zapas, pisząc, rzec by można, nekrolog, gdy ten mógł się okazać zupełnie niepotrzebny. Tak jak powiedział Frank, wszystko będzie dobrze. Na pewno. A gdyby — nie daj Bóg

— miało być inaczej, to wychodzenie nieszczęściu na spotkanie też nie mogło jej w niczym pomóc. Próbowwała skrócić sobie podróż, porzucić myśli o jej celu, dumając o innych rzeczach. Nie było to łatwe. Nie miała oka malarza, nieożywione widoki nigdy nie robiły na niej większego wrażenia. A ponieważ nigdy też nie interesowała się szczególnie abstrakcyjnym studiowaniem ludzkiej natury, to co mogła robić, jadąc autobusem? Zastanawiała się, czy nie należało kupić na dworcu jakiejś książki lub gazety. Lecz pewnie nic by to nie pomogło. I tak leżała-

by na jej kolanach przez całą drogę otwarta wciąż na tej samej stronie. Nigdy nie przepadała za czytaniem.

W żalostnej niemal desperacji zaczęła sumować wydatki na utrzymanie domu, najpierw za cały ubiegły tydzień, potem za minione dwa. Liczby zlewały się jej w głowie, przybierając jakieś fantastyczne, bezsensowne wartości. Nie mogła zapomnieć o zmartwieniu, które tak ciążyło jej na duszy. Zrobiło się już ciemno i widok ograniczył się do miniaturowego światka w kształcie rury, w którym tkwiła zamknięta. Inni ludzie, podróżujący z nią autobusem, byli... byli jak inni ludzie, którzy zwykle podróżują autobusami. Nie mogła w nich dostrzec niczego szczególnego. Tylko potylice.

Westchnęła i pożałowała, że nie jest Indianką, czy kimkolwiek byli ci ludzie, którzy potrafili opuścić własne ciała i wybiec naprzód ku miejscu, do którego zmierzali. Albo coś w tym stylu. Nie była do końca pewna, jak to działało.

Okolo ósmej zatrzymali się na dziesięć minut w Greendale, gdzie napiła się kawy w dworcowym barze. Jeśli chodziło o Cookie-go, zdała sobie sprawę, że w domu najgorsze powinno być już w tej chwili za nimi. Jeśli tylko nie rozboleł go brzuch, Frank pewnie nakarmił go jak należy i nie było się czym martwić.

Telefonowanie stąd do Garrison wydawało się bezcelowe; miała za sobą już dwie trzecie drogi. A poza tym zniechęciła ją do tego myśl, że gdyby usłyszała wiadomość gorszą od tej, którą wyczytała w telegramie, reszta podróży stałaby się udręką nie do wytrzymania. Lepiej było poczekać, aż dotrze na miejsce, i tam się wszystkiego dowiedzieć.

Przyjechali zgodnie z rozkładem, punktualnie o dwudziestej drugiej trzydzieści. Łokciami torując sobie drogę wśród innych pasażerów, wysiadła z autobusu jako pierwsza.

Nie była zawiedziona, że nikt na nią nie czekał, bo wiedziała, że Ada ma pewnie pełne ręce roboty w domu; w takich okolicznościach nie należało się jej spodziewać.

Skąpe, ograniczone nocne życie w Garrison toczyło się swoim trybem tuż obok dworca. Oznaczało to, że wejście kina wciąż było oświetlone po jednej stronie ulicy, a apteka po drugiej.

Minęła grupkę rozgadanych dziewcząt nasto- i dwudziestokilkuletnich, okupujących fragment chodnika tuż obok wejścia do apteki. Jedna z nich odwróciła głowę i obejrzała się za nią, gdy przechodziła; usłyszała, jak mówi:

— Czy to nie Margaret Peabody — *teraz*?

Przyspieszyła kroku, idąc wzdłuż płotu z desek z pochyloną głową w otaczającej ciemności. Na szczęście nie wołały za nią, żeby spróbować się upewnić. Nie chciała zatrzymywać się i rozmawiać z nikim obcym. Obcy mogli mieć jakieś wieści. A ona nie chciała dowiadywać się niczego akurat od nich. Chciała pójść prosto do domu i tam przyjąć wiadomość, nieważne, czy dobrą, czy złą. Ale to „*teraz*” wciąż wisiało nad nią w drżącym powietrzu, hucząc jej w głowie. Co to oznaczało? Czyżby było już po...?

Pospieszyła wzdłuż przypominającej tunel, ocienionej drzewami Burgoyne Street, skrzyła w lewo i szła tak jeszcze, mijając dwa domostwa (co w mieście oznaczałoby mniej więcej przecięcie dwóch przecznic), wkraczając na dobrze pamiętany chodnik z nierówno ułożonych płyt. Każda sterczała odrobinę wyżej niż poprzednia. Ileż to upadków w czasach nieporadnego dzieciństwa...

Wciągnęła powietrze z lekkim świstem, gdy jej oczom ukazał się dom w całej okazałości. O tak, o tak, paliło się za dużo świateł, stanowczo za dużo świateł. Ściągnęła jednak wodze narastającej paniki, opanowała się. Cóż, nawet... nawet jeśli mama leżała w łóżku po całkiem niegroźnym ataku, Ada mogła pozapalać w domu więcej świateł, nieprawdaż? Wręcz musiała, by móc się nią należycie zająć. Lecz kiedy weszła na niewielką, pomalowaną na biało werandę, przerażenie ogarnęło ją na nowo. Za opuszczonymi płóciennymi roletami przemykało za wiele cieni, z wnętrza dochodził pomruk zbyt wielu głosów, tak jak to bywa w trudnych chwilach, gdy wzywa się na pomoc sąsiadów. Stało się tam coś złego, panowało jakieś zamieszanie.

Wyciągnęła rękę i palcem jak sopel lodu wcisnęła guzik dzwonka. Poruszenie w środku wzmogło się natychmiast. Jakiś głos krzyknął: — Ja otworzę!

Inny zapiszczał: — Nie, ja to zrobię!

Słyszała wszystko bardzo wyraźnie z miejsca, gdzie stała. Czy jeden z głosów nie należał do Ady, która nie mogąc zapanować nad żalem, skrzeczała tak, że nie sposób było jej poznać? Zdawało jej się, że tak. Ogarnęła ją pewnie histeria, podobnie zresztą jak wszystkich.

Zanim serce zdążyło w niej zamrzeć i opaść w dół jak kamień, usłyszała szybkie, pełne niepokoju szuranie nogami, jakby ktoś próbował powstrzymać kogoś innego. Drzwi rozwarły się na oścież i zalała ją fala żółtego światła ze środka. Na jego tle rysowały się dwie nierozpoznawalne sylwetki, groteskowe z powodu czegoś dziwnego, co miały na głowach.

— Ja byłam pierwsza! — oświadczyła mniejsza postać z radością. — Otwierałam drzwi, zanim ty się pojawiłaś na świecie...

Muzyka i gwar pełnych wesołości głosów opływał je, wydzierając się z domu w ciszę wiejskiej nocy. Serce w niej wprawdzie nie opadło — spadła za to z ramienia jej torba, stukając o drewnianą podłogę werandy. — Mamo — sapnęła bezgłośnie.

Drugą postacią w spiczastym kapelusiku na głowie była Ada.

— Margaret, ależ ty jesteś kochana! Jak to możliwe, że pamiętałaś o moich urodzinach? Och, co za wspaniała niespodzianka, nie mogłabym oczekiwać niczego...

We trójkę zaczęły rozmawiać, nie mogąc dojść ze sobą do ładu.

— No nie, Ado...! — Margaret Moran wyrażała swe oburzenie drżącym, tłumionym głosem, nad którym wciąż nie mogła zapanować z powodu szoku. — Jak mogłaś to zrobić w *taki* sposób! Gdybyś tylko wiedziała, przez co ja przeszłam, jadąc tutaj! Nie, nigdy, przenigdy nie powinnaś sobie żartować ze zdrowia mamy! Frankowi absolutnie się to nie spodoba, gdy mu o tym powiem...

Pełne zdumienia milczenie zapadło pomiędzy dwiema stojącymi w wejściu kobietami. Obróciły się, by za nią popatrzeć. Była już w środku, w przyozdobionym krepowymi lampionami korytarzu.

Żywotna starsza pani zapytała w końcu Adę, przekrzywiając głowę niczym zdziwiony ptak:

— O co jej chodzi?

Ada zapytała w tym samym czasie: — O czym ona mówi?

— Dziś po południu dostałam od ciebie telegram. Pisałaś, że mama miała kolejny atak i mam natychmiast przyjeżdżać. Wspomniałaś nawet doktora Bixby'ego...

Margaret Moran zaczęła nawet lekko płakać z oburzenia, co stanowiło naturalną reakcję na długotrwały stres, w jakim się znajdowała.

Matka powiedziała: — Doktor Bixby jest tutaj z nami. Właśnie tańczyłam z nim cakewalka, prawda, Ado?

Twarz jej siostry pobladła jak ściana, gdy znikł z niej rumieniec podniecenia wywołanego zabawą. Cofnęła się o krok.

— Nigdy nie wysyłałam ci żadnego telegramu! — wysapała.

Moran ukradkiem wetknął kciuk za pasek spodni, by choć odrobinę je poluzować.

— Nawet Margaret nie przyrzadziłaby lepszego posiłku — wyznał z głębi serca — a powinna pani wiedzieć, że to największy komplement, jaki mógł paść z moich ust. Będzie w niej pani miała oddaną przyjaciółkę, gdy tylko się dowie, jak tu pani przyszła i uratowała nam życie. Kiedy wróci, musi nas pani odwiedzić i zjeść z nami kolację — oczywiście nie przygotowując jej tym razem.

Przyglądała się pustym talerzom z instynktowną aprobatą kucharki, zadowolona, że jej wysiłki nie poszły na marne. — Dziękuję — odparła. — Przyjdę z przyjemnością. Rzadko zdarza mi się jeść domowe posiłki, znacznie rzadziej, niżbym chciała. Odkąd zaczęłam pracę w przedszkolu, mieszkam na pokoju w Internacie dla Kobiet, a tam nie ma możliwości przyrządzenia czegokolwiek. Oczywiście wcześniej, w domu, sporo przesiadywałam w kuchni przy gotowaniu posiłków.

Podniosła się powoli, zaczęła składać naczynia na jeden stos.

— Teraz niech pan posiedzi i niczym się nie przejmuję, panie Moran, tutaj, w pokoju czy gdziekolwiek pan zechce. Ja zaraz się z tym uporam. — Proszę się nie kłopotać — zaprotestował. — Jutro przychodzi kolorowa służąca Margaret, więc może je pozmywać.

— Och, panie Moran — wzruszyła ramionami lekceważąco — to żaden kłopot. A poza tym nie znoszę widoku brudnych naczyń

walających się po kuchni, nieważne, czy mojej własnej, czy kogoś innego. Skończę, zanim się pan obejrzy.

Któregoś dnia jakiś facet będzie miał wielkie szczęście, gdy zostanie jego cudowną żoneczką, pomyślał Moran, przyglądając się, jak krząta się po kuchni; dziwne tylko było to, że jeszcze się taki szczęściarz nie znalazł. Co się działo z tymi młodymi chłopakami? Czy oni nie mieli oczu?

Przeszedł do pokoju dziennego, włączył lampkę do czytania i po raz drugi rozsiadł się z gazetą, by bliżej przyjrzeć się temu, co w niej pisali. Czuł się prawie całkiem tak, jakby Margaret była w domu, naprawdę, nie widział praktycznie żadnej różnicy. No, może z wyjątkiem tego, że nie słyszał tak częstych zakazów adresowanych do Cookiego. Może zbyt łatwe nimi ferowanie wcale nie było dobre dla dziecka. Panna Baker była nauczycielką, powinna znać się na tym lepiej.

Podeszła raz do drzwi jadalni i odezwała się do niego, wycierając lnianą ścierką trzymany w dłoniach duży talerz.

— Już prawie skończyłam — oznajmiła radośnie. — A jak wy tu sobie radzicie we dwójkę?

— Doskonale — odparł Moran, oglądając się przez ramię i patrząc na nią ponad zaokrągloną górą oparcia fotela. — Czekam na telefon od żony, obiecała, że zadzwoni, jak tylko dotrze na miejsce, i powiadomi mnie, jak się sprawy mają.

— Chyba nieprędko należy się tego spodziewać, co? Spojrzał na zegar po drugiej stronie pokoju. — Pewnie dopiero około wpół do jedenastej albo i jedenastej.

— Wycisnę teraz trochę soku z pomarańczy, żebyście mieli na rano — powiedziała. — Jak tylko poukładam na miejsce wszystkie naczynia. Zostawię go w szklance w lodówce.

— Och, proszę nie robić sobie kłopotu...

— To zajmie tylko chwilę. A Cookie powinien pić go codziennie, sam pan wie. Dla dzieci to bardzo zdrowe. Wróciła do kuchni. Moran pokręcił w zdumieniu głową. Co za ideał...

Cookie do tego czasu był z nim; siedział, bawiąc się w pokoju. Chwilę później podniósł się, podszedł do drzwi na korytarz i stał tam rozmawiając z nią. Najwyraźniej ona także podeszła do drzwi

po drugiej stronie kuchni, kończąc wycieranie ostatnich sztućców. Margaret też miała w zwyczaju spacerowanie dokoła podczas porządkowania naczyń.

Cookie stał absolutnie spokojnie, obserwując ją. Moran usłyszał, jak mówi:

— Po co pani to robi?

— Żeby wszystko było suche, skarbie — odparła z prostotą i wesołością.

Moran odbierał to tylko częścią swojej świadomości, częścią zmysłów, które nie były zaangażowane w czytanie gazety.

Kobieta weszła po jakimś czasie do pokoju, skrupulatnie pucując mały, ostry nożyk, którym zapewne właśnie skończyła obierać i kroić pomarańcze.

Cookie nie odrywał wzroku od jej zręcznych dłoni, wpatrywał się w nie z tym hipnotycznym skupieniem, jakim dzieci obdarzają niekiedy najbardziej trywialne czynności. W pewnym momencie odwrócił głowę i z taką samą koncentracją spojrzął w głąb przedpokoju, gdzieś dalej, niż sięgały otwarte drzwi, w miejsce, gdzie panna Baker stała jeszcze przed chwilą. Następnie zwrócił swe oczy znów na nią.

— Proszę, gotowe — rzekła wesoło, machając w jego stronę ścierką do naczyń. — Teraz pobawię się z tobą przez kilka minut, a potem spróbujemy położyć cię do łóżka.

Moran w tym momencie podniósł wzrok znad gazety z czystego poczucia obowiązku.

— Jest pani pewna, że w niczym nie mogę pomóc? — zapytał, mając skrytą nadzieję, że padnie odpowiedź: „nie”.

Jego nadziei stało się zadość. — Niech pan sobie dalej czyta — odparła życzliwie, acz bardzo zdecydowanie. — Ten młody człowiek i ja pobawimy się teraz w chowanego.

Była po prostu darem niebios. Cóż, jeśli chodziło o zapewnienie spokoju podczas czytania gazety, była nawet lepsza od Margaret. Margaret zdawała się uważać, że człowiek może czytać, jednocześnie prowadząc z nią rozmowę. Skutek był taki, że trzeba było albo zachować się jak gbur, albo czytać każdy akapit dwukrotnie, powoli, raz pobieżnie, a drugi raz, by go porządnie zrozumieć.

Nie to, żeby był, snując takie myśli, wobec Margaret niełojalny, o nie; wołał już ją mieć przy sobie, rozgadaną czy milczącą — nieważne.

Ada usiłowała uciszyć szum głosów zaproszonych gości.

— Ćśś! Proszę, bądźcie przez chwilę cicho. Margaret próbuje z korytarza dodzwonić się do męża w mieście i mu o wszystkim powiedzieć.

Na wszelki wypadek zamknęła drzwi salonu.

— Stąd? — zapiszczała jedna z młodszych dziewcząt z niedowierzaniem. — Na Boga, to będzie kosztować *fortunę!*

— Wiem, ale jest strasznie zdenerwowana i trudno jej się dziwić. Kto mógł coś takiego zrobić?

Przecież to okrutne, tak sobie z kogoś żartować!

Jedna ze starszych kobiet odezwała się z niezachwianą, płynącą z lokalnego patriotyzmu dumą:

— Tu, w naszej społeczności nie znam nikogo, kto byłby do tego zdolny. Wszyscy za bardzo cenimy Delię Peabody i jej córki. — Po sekundzie popsowała wszystko, dodając: — Nawet Cora Hopkins nie mogłaby tego zrobić...

— Na dodatek ten ktoś podpisał się moim imieniem! — dramatyzowała Ada. — To musiał być ktoś, kto zna naszą rodzinę. — Moje nazwisko też się tam pojawiło, tak powiedziała Margaret, nieprawdaż?

— dodał doktor Bixby. — Skąd ta osoba mogła wiedzieć o mnie?

Tu i ówdzie obecni w pokoju zaczęli między sobą wymieniać nieco wystraszone spojrzenia, jak gdyby ktoś właśnie opowiedział historię o duchach. Jedna z dziewcząt, skulona na parapecie, wyjrzała za okno w ciemną noc i zaraz chyłkiem przeniosła się w głąb pokoju.

— To tak, jakby dostała wiadomość napisaną zatrutym atramentem — wycedził ktoś chrapliwym, teatralnym szeptem. Ada uchyliła nieco rozsuwane drzwi, nie mogąc zapanować nad własną ciekawością.

— Dodzwoniłaś się? — spytała przez szparę. — Co powiedział? Margaret Moran pojawiła się przy drzwiach, otworzyła je szerzej i stała niezdecydowana.

— Telefonistka powiedziała, że numer w naszym domu nie odpowiada. *Może* gdzieś wyszedł, ale... spójrzcie tylko, która godzina. A jeśli wyszedł, to co zrobił z Cookiem? Nie wziął go chyba ze sobą o tej porze? Poza tym, gdy wyjeżdżałam, zapewnił mnie, że nie ruszy się z domu. Ktoś przecież powinien tam być, żeby zaopiekować się Cookiem...

Spoglądała bezradnie to na Adę, to na matkę, to na lekarza, którzy stali najbliżej niej.

— Nie podoba mi się to. Nie uważacie, że powinnam pojechać z powrotem?

Goście chórem zaczęli wznosić pełne troski protesty.

— Teraz?

— Przecież dopiero co wysiadłaś z autobusu! Będziesz ledwo żywa!

— Och, Margaret, może zaczekałabyś chociaż do rana?

— Nie chodzi o to... To ten telegram. Sama nie wiem... Nie mogę się pozbyć jakichś złych przeczuć.

Taki żart wcale nie jest zabawny; jest po prostu... po prostu podły. Czuję w tym jakieś niebezpieczeństwo. Jeśli ktoś był w stanie zrobić coś takiego, to skąd możemy wiedzieć, na co *jeszcze* go stać...?

— Może spróbuj zadzwonić za chwilę — podpowiedział stary rodzinny lekarz, starając się ją uspokoić. — Może twój mąż wrócił w międzyczasie. Jeśli się okaże, że nie, a ty nadal będziesz chciała jechać, zawiozę cię na dworzec; mój samochód stoi zaparkowany przed domem.

Tym razem nie kłopotali się zamykaniem drzwi i nikomu nie trzeba było mówić, że ma być cicho. Jak na komendę wszyscy wyszli na korytarz i otoczyli półkolem Margaret wraz z telefonem, nasłuchując ze wstrzymanym oddechem, w pełnym współczucia milczeniu. Było tak, jakby jej najskrytsze cierpienie zatroskanej żony stało się tematem publicznego przedstawienia.

Głos jej drżał lekko. — Centrala, proszę mnie raz jeszcze połączyć... Ten sam numer — Seville 7-6262.

Od czasu do czasu dobiegał go skądś w pobliżu tupot stóp, skrzekli-wy śmiech Cookiego i „Widzę cię!” panny Baker. Głównie z korytarza.

Zabawa w chowanego, pomyślał z rozrzewnieniem. Powiadają, że tylko dwie rzeczy pozostają niezienne: śmierć i podatki; należałoby jednak dodać jeszcze trzecią: dziecięce zabawy. Lecz nawet to ta kobieta potrafiła poprowadzić z delikatnością i opanowaniem, nie pozwalając dziecku na zbytnią hałaśliwość. To pewnie przez to jej zawodowe podejście. Zaciekawilo go, ile takie przedszkolanki mogą zarobić. Ta tutaj na pewno znała się na swej robocie.

Raptem wszelkie dźwięki ucichły i słycać było tylko ukradkowe skradanie się, które trwało dłużej niż poprzednie. Moran podniósł wzrok i ujrzał ją, jak się kryła tuż za drzwiami pokoju. Stała plecami do niego, wyglądając dyskretnie na korytarz.

— Gotowy? — zawołała wesoło.

Odpowiedź Cookiego zabrzmiała nadspodziewanie cicho: — Jeszcze nie! Chwileczkę!

Zdawała się bawić tak samo dobrze jak dziecko. Może tak właśnie należało z nimi baraszkować, dumal, wkładając w igraszki całe swe serce i duszę. Dzieci szybko dostrzegały brak entuzjazmu. A po Cookiem było widać, że już za nią szaleje. Najwyraźniej postrzegał ją tu zupełnie inaczej niż w przedszkolu, gdzie musiała utrzymywać większą dyscyplinę.

Odwróciła głowę i ujrzała, jak przygląda się jej z aprobatą.

— Schował się w tym niewielkim schowku pod schodami — wyznała, puszczając oczko. Po czym dodała poważniej: — Czy nic mu się tam nie stanie?

— Nie stanie? — powtórzył, nie rozumiejąc, Moran. — Ach, oczywiście, że nie. Nic tam nie ma, nie licząc kilku starych płaszczy. — Już! — zawołał stłumiony głos.

Obróciła głowę. — Szukam! — ostrzegła i znikła w korytarzu równie niepostrzeżenie, jak wcześniej zjawiała się w pokoju. Słyszał, jak udaje, że błądzi to tu, to tam, by przedłużyć zabawę. Po chwili dobiegły go odgłosy zmagania się z drzwiami i stłumione drewnem radosne potwierdzenie odkrycia.

Nagle rozbrzmiało wołanie, w którym dało się słyszeć niespodziewaną nerwowość: — Panie Moran! Zerwał się z fotela i ruszył w ich stronę. Wołanie miało właśnie taki naglący ton: szybciej! Powtórzyła je dwukrotnie, zanim zdołał do nich dobiec, choć odległość była naprawdę niewielka.

Ciągnęła mocno za staromodny, żelazny uchwyt umocowany na drzwiach. Twarz jej bladła na brodzie i wokół ust.

— Nie mogę otworzyć... teraz pan wie, o co pytałam chwilę temu!

— Niech się pani nie boi — uspokoił ją. — Nic się nie stało.

Złapał za żelazny uchwyt, zwyczajnie podciągnął go o jakiś centymetr w górę równoległe do drzwi, języczek zamka puścił, a on szarpnął lekko ciężką, dębową płytę. Tkwiła ona w ścianie pod schodami, miała wysokość o połowę mniejszą niż zwykłe drzwi i była nieco szersza. Nie dochodziła też całkiem do podłogi, lecz stykała się z progiem wysokim na jakieś piętnaście centymetrów.

Cookie wygramolił się, tryskając wesołością.

— Widzi pani, na czym to polega? Próbowала je pani ciągnąć do siebie. A ponieważ to jest zatrzask sprężynowy, trzeba najpierw ten żelazny uchwyt podnieść do góry, a dopiero potem pociągnąć.

— Teraz to widzę. Ależ ze mnie gapa — rzekła nieco zawstydzona. Skierowała dłoń niepewnie gdzieś w okolice serca, powachlowała nią twarz. — Nie chciałam dać tego po sobie poznać, ale bardzo się przestraszyłam! Uff! Bałam się, że drzwi się zacięły, a on udusi się tam, zanim zdołamy...

— Och, tak mi przykro... co za wstyd... — tłumaczył się ze skruchą, jakby to była jego wina, że w należącym do niego domu w ogóle znalazły się takie drzwi.

Zdawało się, że ona chce ciągnąć tę rozmowę, omówić różne możliwości, jak gdyby kryła w sobie jakieś makabryczne zamiłowania.

— Przypuszczam jednak, że gdyby stało się to najgorsze, zdołałby pan natychmiast wyważyć drzwi.

— Tak, mógłbym je czymś wyłamać.

Wydawała się zdziwiona. Dostrzegł, jak pełen uznania wzrok przesuwają się po jego silnym torsie.

— Nie dałby pan rady wyłamać ich gołymi rękami? Albo zapierając się barkiem?

Przesunął palcem po krawędzi drzwi, pociągnął je w swoją stronę, żeby mogła się przyjrzeć.

— O, nie. To lity dąb. Gruby na pięć centymetrów. Proszę tylko popatrzeć. To solidny dom. A do tego drzwi tkwią w złym miejscu,

nie ma dość przestrzeni, by wziąć rozbieg, nabrać impetu. Ten zakręt ściany ogranicza odległość zaledwie do kilku kroków. A po tej stronie mamy skos utworzony przez schody, tak że nawet nie można prosto stanąć. Cała ta przestrzeń ma kształt trójkąta, klina, widzi pani? Gdybym się mocniej zamachnął ramieniem, nieważne, z której strony drzwi, trafiłbym w ukośny spód schodów. Albo w zakręt ściany, o, tu.

Nagle, ku jego zaskoczeniu, schyliła głowę i minęła niskie przejście, wkraczając w ciemność. Słyszał, jak opukuje dłońmi grube mury dokoła. Wyszła po chwili.

— To naprawdę niebywale solidny dom! — zdumiała się. — Ale tam w środku jest strasznie duszno, nawet przy otwartych drzwiach. Jak długo, pańskim zdaniem, zdołałby wytrzymać człowiek, gdyby rzeczywiście zatrasnął się w takim miejscu?

Jego męska wszechwiedza choć raz została poddana ciężkiej próbie. Oczywiście nigdy przedtem się nad tym nie zastanawiał.

— Och, nie wiem... — odparł niepewnie. — Godzinę, najwyżej dwie. — Omiótł pomieszczenie wzrokiem od podłogi do sufitu z lekkim roztargnieniem, ale i zainteresowaniem. — Rzeczywiście, jest tam dosyć duszno — przyznał. Skrzywiła się ze wstrętem na jakąś myśl, która uformowała się w jej głowie. Ostatecznie każdemu może się uroić czasem coś makabrycznego. Pochyliła się, chwyciła Cookiego pod pachy i zaczęła maszerować z nim przed sobą, sztywnym, jakby był mechanicznym żołnierzykiem-zabawką. — No, cóż — zwróciła się do Morana — chyba powinnam położyć go już do łóżka, nie sądzi pan? Cookie znów zaczął obrazowo wyrażać odrębność własnego zdania. Zbyt dobrze się do tej pory bawił, by poddać się tak bez walki. — Jeszcze raz! Jeszcze raz!

— Dobrze, ale tylko raz i na tym koniec — zgodziła się wielkodusznie.

Moran wrócił na swój fotel w pokoju dziennym. Skończył już czytać gazetę. Od deski do deski. Zapoznał się nawet z notowaniami akcji, których nie posiadał, a chciałby mieć. Przejrzał też listy od czytelników dotyczące tematów, które go wcale nie interesowały. Wyciągnął cygaro otrzymane od mężczyzny, z którym jadł tego dnia

lunch, ocenił je, uznał, że można spróbować, usunął końcówkę i zapalił. Z niewysłowioną błogością wypuścił ponad swoją głowę błękitną jak niebo smuzkę dymu. Siedział tak przez chwilę, zawieszony w próżni absolutnego ukontentowania.

Rzadko mógł cieszyć się takim luksusem i nie wiedział niemal, co z nim począć. Głowa zaczęła mu opadać. Ocknął się jednak po chwili i odłożył cygaro do stojącej obok popielniczki, by go nie upuścić i nie wypalić dziury w dywanie Margaret.

Cookie wszedł na palcach, przesadnie drobiaz kroczyki, tak że niemal chwiał się podczas tego skradania, co pewnie zostało mu podszeptane przez kobietę. W obu rękach, po jednym w każdej, niósł kaptcie Morana. O miękkich palcach i miękkich piętach.

— Panna Baker mówi, że masz je założyć, żeby ci było wygodniej — wyszeptał z sykiem.

— Podziękuj jej. — Moran rozpromienił się. Nachylił się i zmienił obuwie. — I powiedz, że mnie rozpieszcza.

Cookie wyszedł na palcach ze zdjętymi butami — o grubych podeszwach i twardych czubkach — z taką samą ostrożnością, z jaką tu przyszedł, mimo iż przedmiot jego troski ewidentnie jeszcze nie zasnął. Moran wyciągnął się w fotelu, a gdy głowa opadła mu po raz drugi i trzeci, poddał się. Taka dziewczyna powinna... winna... zdobić wystawę jubilera... mmmm....

Miał jak najlepsze intencje, ale, mój Boże, to była istna męka, siedzieć tak obok niego i go wysłuchiwać.

— Takhh, wszystkim wam trzem pomogłem przyjść na ten świat. Pamiętam noc, kiedy się urodziłaś, tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. A teraz, proszę bardzo, siedzisz tu koło mnie dorosła, zameżna i sama dzieciata...

I przerażona, och, jak bardzo przerażona, pomyślała z rozpaczą, wyteżając wzrok, by dojrzeć autobus, który, jak jej się zdawało, wcale nie miał zamiaru przyjechać.

— To mi się wydaje niemożliwe. Nie. Albo ty dorosłaś za wcześnie, albo ja nie czuję się jak na swój wiek dość stary. Innego wyjścia nie ma.

Uśmiechnęła się słabo przy wtórze jego chichotu w słabym świetle deski rozdzielczej.

— Wiem — zamruczał. Wyciągnął rękę, objął jej barki i potrząsnął nią lekko dla pocieszenia. — Wiem. Martwisz się strasznie i denerwujesz, i chciałabyś już tam być. Ale, skarbie, nie przejmuj się tak. Wszystko będzie dobrze, wszystko *musi* być dobrze, dlaczego niby miałyby być inaczej? Tylko dlatego, że nie odbiera telefonu? Do diaska, pewnie popija sobie piwo w domu któregoś z sąsiadów.

— Wiem, doktorze, ale nic nie mogę na to poradzić. Chodzi o ten telegram. Mam co do niego jakieś niesamowite przeczucie

1 nie mogę się go pozbyć. Ktoś go przecież *wysłał*...

— Tere-fere — zarechotał dobrodusznie. — To fakt, że telegramy nie wysyłają się same. Może jakiś bałwan z jego biura postanowił się na nim za coś odegrać...

Nie rozwinął jednak tej myśli, bo nie była zbytnio przekonująca.

Ona patrzyła przed siebie wzdłuż stanowej drogi, która biegła po przeciwnej stronie dworca od miejsca, gdzie doktor zaparkował swego forda.

— Późno już, nieprawdaż? Może dzisiaj już żaden nie pojedzie... Wciąż wkładała palec między zęby i wyjmowała go tylko po to, by za moment wetknąć następny.

Doktor Bixby po przyjacielsku ściągnął jej dłoń na dół i przytrzymał przyciśniętą do uda.

— Oduczyłem cię tego, gdy miałaś siedem lat. Chyba nie zmusisz mnie teraz, bym znowu zastosował swe sposoby, co? — Patrzył przed siebie przez niezbyt czystą szybę. — Już jedzie. Widzisz te dwa światła na drodze? To musi być twój autobus.

Coś miękkiego otarło się o jego nogi tuż przy podłodze, sprawiając, że się ocknął. Oderwał czubek brody od guzika swojej koszuli, podniósł głowę, a następnie spojrzął nieprzytomnie w dół.

Cookie plątał się na czworakach z głową niemal przy samej podłodze.

— Wciąż szukasz kryjówki? — spytał czule Moran.

Jego synek podniósł wzrok i ostro skorygował błędny odbiór tego, co się akurat działo.

— Nie bawimy się już w chowanego. Panna Baker zgubiła pierścionek, a ja pomagam jej szukać. W tej samej chwili jej głos dobiegł gdzieś z zewnątrz.

— Widzisz go gdzieś, skarbie?

Moran wyprostował się, wstał i wyszedł z pokoju. Pamiętał, że widział ten pierścionek, gdy tylko tu weszła.

Drzwi schowka pod schodami stały otworem, jak gdyby już tam szukała. W tej chwili badała listwę przypodłogową po drugiej stronie korytarza, lekko pochylając się do przodu, z rękoma na kolanach.

— Nie wiem, jak to się stało, że spadł, a ja nawet nie poczułam — rzekła. — Och, pewnie jest gdzieś tutaj. Jedyne powód, dla którego nie chciałabym go stracić, to ten, że dostałam go od mamy z okazji ukończenia szkoły.

— A tutaj? — spytał. — Sprawdzala pani? Raz pani tu weszła, pamięta pani, i opukiwała ściany.

Obejrzała się niedbale przez ramię, kontynuując własne poszukiwania.

— Zaglądałam już, ale nie miałam zapalek, więc nie mogę być pewna...

— Chwileczkę. Ja mam zapalki przy sobie. Sprawdzę tu jeszcze raz.

Przekroczył wysoki próg i zalał malutkie wnętrze słabą, złotą poświatą, po czym przykucnął plecami do wejścia.

Odgłos zamykanych drzwi odbił się echem po wąskim korytarzu jak strzał z pistoletu.

Rozdział 3

Po śmierci Morana

Przełożony Wanger:

— No? Co tam znalazłeś? Wygląda na to, że zostaniesz naszym ekspertem od morderstw, które nie wyglądają na morderstwa, ale nimi są.

— A pewnie, że to było morderstwo! To oczywiste! Jak w ogóle można w to wątpić?

— Dobrze już, dobrze. Tak się nadałeś, że zaraz zdmuchniesz mi te wszystkie papiery z biurka. Kling mówił mi, że ludzie, których przydzielił do tej sprawy, nie są o tym tak przekonani jak ty. Dlatego poprosiłem go, żeby się zgodził na twój udział w dochodzeniu. Był na tyle miły...

— *Co?* — Wanger prawie nie mógł się wysłowić. — Co oni próbują zrobić? Poprowadzić śledztwo tak, jakby facet zatrzasnął się w tym schowku przez przypa...

Szef podniósł rękę, żeby go uspokoić.

— No już, wyhamuj trochę, nie podniecaj się tak bardzo. Powiem ci zaraz, co on o tym sądzi, i muszę przyznać, że według mnie brzmi to całkiem sensownie. To prawda, że pani Moran otrzymała telegram, a w każdym razie twierdzi, że tak było. Telegram podpisany był imieniem jej siostry.

Niestety, nigdzie w domu go nie znaleziono, zniknął, więc nie ma możliwości wytropienia, skąd został wysłany. Mógł wyjść stąd, z miasta, a przejęta pani Moran nie zauważyła daty i miejsca nadania. To prawda, że dzieciak bez przerwy bełkoce o jakiejś „pani”, która się z nim bawiła. Jednakże tylko dwie rzeczy wskazują bezsprzecznie na działanie osoby dorosłej: przecięty przewód telefoniczny i notatka pozostawiona na kołderce chłopca...

Wanger lekceważąco wydał dolną wargę. — A co z kitem?

— Chodzi ci o to, że dzieciak nie sięgnąłby do górnej krawędzi drzwi, czy tak? Nie, Kling twierdzi, że go sprawdzili. Nie pytali go, tylko wręczyli mu przyrządy do kitowania i powiedzieli: „Zobaczmy teraz, czy dasz radę uszczelnić drzwi, tak jak zeszłej nocy”. Stanęli z boku i obserwowali. Chłopiec próbował najpierw dosięgnąć z podłogi, a gdy mu się to nie udało, przytaszczył stołek na trzech nogach, stojący przy telefonie, wspiał się na niego i jego rączki idealnie dosięgły szpary nad drzwiami. A zatem, skoro zrobił to sam z siebie, przez nikogo nie zachęcany wtedy, to czy nie mógł tego dokonać także tamtego wieczora? Oto pytanie, które zadają sobie ludzie Klinga.

— Ech! — Wanger chrząknął z obrzydzeniem.

— Poddali go jeszcze jednej próbie. Powiedzieli do niego: „Chłopcze, gdyby twój tata tam wszedł, co byś zrobił: pozwolił mu wyjść czy kazał zostać?” Odparł: „Kazałbym mu tam zostać i się ze mną bawić”. — Czy ci ludzie powariowali? Czy oni w ogóle nie myślą? Pewnie przewód telefoniczny też przeciął dzieciak. I napisał tamtą notatkę wielkimi, drukowanymi literami...

— Pozwól mi dokończyć, dobrze? Oni nie usiłują nam wmówić, że chłopiec zrobił to wszystko sam. Są jednak skłonni sądzić, że był to wypadek z udziałem kogoś, kto, gdy było już po wszystkim, niezręcznie próbował uniknąć wmieszania w sprawę. Teraz przedstawię ci całą teorię ludzi Klinga, tylko pamiętaj, że to nie jest nic ostatecznego, chłopcy bawią się nią tylko, dopóki nie wykluje się coś lepszego. A zatem: Moran miał jakąś kobietę na boku. To ona wysłała do żony fałszywy telegram, żeby mieć ją z głowy. Przed przyjściem przyjaciółki Moran, sam w domu z dzieckiem, zaczął się z nią bawić. Przez przypadek zamknął się w schowku, a ten głupi bachor zakitował szczelinę. Kobieta przychodzi i zastaje Morana uduszonego. Traci głowę, śmiertelnie przerażona, że może zostać w to wciągnięta, bo boi się o swoją reputację. Kładzie dzieciaka do łóżka i zostawia nie podpisaną wiadomość dla żony, przypiętą do jego kołderki. Być może jeszcze przed jej wyjściem zaczyna dzwonić telefon, a ona boi się odebrać, traci głowę jeszcze bardziej i przecina przewód. Chłopcy uważają, że spanikowała do tego stopnia, iż po

otworzeniu drzwi i znalezieniu Morana martwego zamknęła je z powrotem, zostawiając go tam, a nawet wtykając na miejsca kit, który tymczasem wypadł, by wszystko wyglądało na robotę dzieciaka i nikogo więcej. Innymi słowy, ich zdaniem to wypadek, po którym nastąpiła nieporadna próba ukrycia własnego udziału w sprawie ze strony osoby dręczonej poczuciem winy.

— Phi! — skwitował krótko Wanger, ściskając końcówkę swego nosa. — To teraz przedstawię panu teorię pańskiego człowieka Wanger: to wszystko to kupa łajna. Więc jak: mam tę sprawę czy jej nie mam?

— Masz, masz — zgodził się z roztargnieniem jego pan i władca. — Skontaktuję się z Klingiem. Ostatecznie najwyżej chociaż raz się pomylisz.

Wyglądało to tak, jakby grali w pokoju w kości, kucając pośrodku podłogi. Nie sposób było dostrzec, nad czym tak ślęczeli, jako że ich szerokie plecy zasłaniały to całkowicie. Od czasu do czasu jakaś ręka wędrowała w górę i drapała w zakłopotaniu umęczoną szyję. Złudzenie było idealne. Brakowało tylko grzechotu kości, swoistego języka tej gry.

Jakaś kobieta, oficjalnie przydzielona opiekunka dziecka, czuwała w drzwiach, przyglądając im się, nie biorąc jednak udziału w ich poczynaniach. Było w niej coś, co kłóciło się z ludzkim poczuciem tego, co do czego pasuje, i z poczuciem estetyki. Mierząc ją wzrokiem z góry na dół, człowiek miał wrażenie, że w okolicy kostek się rozwidli, odziana w parę spodni. Tymczasem tuż nad obuwie powiewał rąbek spódnicy i wszelkie poczucie harmonii brało w łeb.

Wanger, stojąc w drzwiach po drugiej stronie pokoju, dokąd właśnie niepostrzeżenie dotarł, przyglądał się temu, co się działo, tak długo, jak tylko zdołał. Wreszcie ruszył przed siebie, a małpie konklawe rozproszyło się, by ukazać krasnala pośród olbrzymów. W porównaniu z ich antropoidalnymi cielskami Cookie wydawał się jeszcze mniejszy niż w rzeczywistości.

— *Nie* w ten sposób, *nie* w ten sposób — zaprotestował Wanger. — Co wy właściwie usiłujecie zrobić? Próbujecie przycisnąć dziecko w tym wieku?

— Kto go niby próbuje przycisnąć?

Wanger wiedział, że wcale nie to miało tutaj miejsce. Jeden z policjantów wyciągnął błyszczący kieszonkowy zegarek i najwyraźniej bujał nim na końcu łańcuszka bez absolutnie żadnego skutku.

Opiekunka odrzuciła do tyłu głowę i ryknęła śmiechem przypominającym końskie rżenie.

Cookie z tą diabłą nagłością, z jaką dzieci potrafią odgadnąć współczucie i się do niego dostosować, spojrział tylko raz na Wanger, zmarszczył buźkę, przybierając grymas małej małpki, i zaczął wydawać z siebie umiarkowanie głośne dźwięki stanowiące preludium do porządnego, serdecznego beku. — Otóż to. Widzicie? — rzekł Wanger, wiodąc po pokoju oskarżającym wzrokiem. — Nie wiecie, że dzieci w tym wieku boją się policjantów? Każdy z was z osobna jest dla niego naturalnym wrogiem, a gdy tak otoczyliście go tu wszyscy razem...

— Jesteśmy przecież po cywilnemu, no nie? — odparował jeden z nich ze śmiertelną powagą. — A odznak mu nie pokazywaliśmy, więc skąd może wiedzieć?

— Też mi ekspert od dzieci — zachichotał inny pod nosem, gdy zmierzali już w stronę drzwi.

Ostatni z nich rzucił posepnie: — Mam nadzieję, że panu poszczęści się bardziej niż nam. Rany, wolałbym już mieć do czynienia z najtwardszym i najbardziej nieugiętym zbirem niż z takim dzieciakiem, co to nawet nie rozumie, co się do niego mówi.

— Rozumie, i to bardzo dobrze — mruknął Wanger. — Tu trzeba tylko trochę finezji, nic więcej.

W pokoju pozostała jedynie opiekunka, choć jej obecność też mogła stanowić problem. Wcześniej w toku śledztwa odkryto, że przeraża ona ich „głównego świadka” bardziej niż wszyscy mężczyźni razem wzięci. Kiedy tylko podchodziła na odległość mniejszą niż ta dzieląca ich teraz od drzwi, chłopiec wpadał w koszmarną histerię.

Wanger przysunął sobie krzesło, usiadł, rozstawił nogi tak, że utworzyły kąt prosty, i posadził na jednym kolanie Cookiego.

— I znów się zacznie zabawa głupiego — zarechotała kobieta z pesymizmem. — Według mnie to on przespał całe tamto zdarzenie wtedy wieczorem...

— Nie przespał, może być pani pewna. Więc jak, poznajesz mnie?

Cookie zaczynał rozpoznawać Wangera z poprzednich „przesłuchań” na jego kolanie. Uśmiechnął się do niego przymilnie, może nawet nieco przekupnie.

— Ma pan jeszcze tamte żelki?

— Nie. Lekarz powiedział, że i tak zjadłeś ich za dużo. — Wanger przeszedł do rzeczy. — Kto kazał twojemu tacie wejść do schowka, Cookie?

— Nikt, sam chciał tam wejść. Bawiliśmy się w taką zabawę.

— Przedtem też pan utknął w tym miejscu — wytknęła kobieta bez potrzeby.

Wanger obrócił głowę z prędkością znamionującą ogromne rozdrażnienie, niezwykle u niego rzadkie.

— Proszę pozwolić, że sam się tym zajmę! — Wziął przeponą długi oddech, który miał mu wystarczyć na długą litanie pytań. — Z kim bawił się tata, Cookie? — Z nami.

— Rozumiem. Co znaczy: „z nami”?

— Ze mną i z tą panią.

— Z jaką panią?

— Z panią.

— Co to była za pani?

— Pani, która tutaj przyszła.

— A co to była za pani, która tutaj przyszła?

— Ta pani... ta pani, która... — Rzecz nie w tym, że Cookie nie chciał powiedzieć, tylko w tym, że jego umysł nie obejmował jeszcze logiki takiego rozumowania. — Ta pani, która się z nami bawiła — wypalił wreszcie w przyływie natchnienia. Wangerowi niemal zabrakło już nabranego wcześniej powietrza; przygnębiony, wypuścił jego resztki z sykiem.

— Widzi pan, jak się wymiguje za każdym razem? Tego dzieciaka nikt nie przegada, gdy dorośnie.

Wanger nie był w nastroju do pogawędek. — Proszę posłuchać, pani McGovern, ja nie żartuję, jeśli jeszcze raz przeszkodzi mi pani w tym, co robię...

„A co pan robi?" — chciała wiedzieć kobieta, lecz przezornie nie wyraziła swej ciekawości na głos. Wanger wyjął mały, czarny, kieszonkowy notatnik. Odwrócił się plecami do siedzącego okrakiem na kolanie świadka, który beztrosko machał sobie nogami.

— No dobrze. Powiedz mi teraz, co to była za zabawa, w którą się bawiliście?

— W chowanego! — wyszczebiotał Cookie bez chwili wahania. Rozmowa zesłała wreszcie na temat dobrze mu znajomy.

— Kto pierwszy się chował?

— Ja!

— A potem?

— Ta pani!

— A jeszcze później?

— Później chował się tatuś.

— Przygotowanie gruntu — mruknął Wanger pod nosem. Bazgrał prawie nieczytelnie na jednym kolanie, zgiętą ręką, przytrzymując ciężar na drugim: „Zabawiony". Skreślił to i poprawił:

„Zawabiony". To też przekreślił i nagryzmołił w końcu: „Ściągnięty do schowka podczas zabawy w chowanego". Podniósł rozgoryczony wzrok. — Do diaska! To się nie trzyma kupy! Jak to możliwe, że obca kobieta, której facet nie widział nigdy wcześniej, wchodzi do jego domu i ot tak sobie wciąga go do zabawy! Sardoniczna opiekunka rzekła bardzo cicho, tak by mieć pewność, że nie zostanie oskarżona o wypowiedzenie choćby słowa. — Zdziwiłby się pan tylko, do jakiej zabawy! Bo na pewno nie takiej, o jakiej pan myśli. Notatnik uderzył w przeciwległą ścianę i opadł z trzepotem.

— Co się stało? — spytał Cookie z zaciekawieniem. — Co panu zrobił ten notesik?

— Chwileczkę, zakłada pan, że on nigdy jej wcześniej nie widział, czy tak? — usiłowała przypomnieć mu kobieta, ryzykując własną głowę.

— Słyszała pani, co chłopiec mówi za każdym razem! — wydarł się na nią gniewnie Wanger. — Zapisalem to w tym notatniku chyba ze sześć razy! Nigdy wcześniej nie była u nich w domu.

Twarz Cookiego znów zaczęła przypominać pomarszczoną małpkę.

— Nie złoścę się na ciebie, chłopcze — zapewnił szybko Wanger, kilkakrotnie głaszcząc Cookiego po potylicy.

Nagle stało się. Cookie podniósł na niego wzrok z niepewnością człowieczka, którego ufność została przed chwilą mocno podkopana.

— To na co się pan złości? Na pannę Baker?

— Co za panna Baker?

— To ta pani, która się z nami bawiła.

Wanger prawie upuścił go na podłogę, tak że dzieciak poleciałby na wznak.

— Mój Boże, wydobyłem z niego wreszcie nazwisko! Słyszała pani? Nawet nie przypuszczałem, że on... Jego entuzjazm trwał jednak krótko. Twarz znowu mu spo-chmurniała. — Ech, pewnie sama je sobie wymyśliła. Zaczęła być panną Baker, gdy się tu pojawiła, a przestała, jak tylko wyszła. Gdybym miał jeszcze choć blade pojęcia, jakiego to chwytu użyła, żeby Moran ją wpuścił, może to by coś pomogło... — A popytać sąsiadów? — podsunęła kobieta.

— Przesłuchaliśmy wszystkich co do jednego w promieniu sześciu przecznic we wszystkich kierunkach. Cookie, co powiedziała panna Baker do twego taty, kiedy otworzył drzwi i ją wpuścił?

— Powiedziała: „Dzień dobry” — odparł z wahaniem i nieśmiałością, najwyraźniej zastanawiając się, jak najlepiej spełnić pokładane w nim oczekiwania.

— *Znów się zaczyna* — westchnęła opiekunka z rezygnacją.

Wanger zerknął w stronę schodów. — Zastanawiam się, czy teraz ona sama nie byłaby pomocna...

Proszę zapytać lekarza, czy nie będzie w stanie zejść tutaj chociaż na minutę. Proszę mu powiedzieć, że nie zamierzam jej przesłuchiwać, chcę tylko sprawdzić, czy nie będzie w stanie rzucić nowego światła na to, co powiedział chłopiec. To potrwa chwilę.

— Tylko niech pan nie ciągnie chłopaka za język, jak mnie nie będzie — ostrzegła. — Mam was pilnować przez cały czas, jak pan z nim jest.

Wróciła po kilku minutach. — Nie chcieli jej pozwolić, ale sama postanowiła zejść. Zaraz tu będzie. Lekarz i pielęgniarz zeszli razem z nią. Szła bardzo powoli. Morderstwo nie zostało popełnione tam, w schowku; zostało dokonane na jej twarzy.

— Tylko proszę się pospieszyć... — przykazał Wangerowi doktor.

— Może mi pan zaufać — zapewnił go policjant.

Cóż znaczy matka... Kobieta sama była ledwie żywa, ale pozostała matka.

— Mam nadzieję, że go pan za bardzo nie męczy, detektywie? Doczłapała do nich obu, nachyliła się i ucałowała pociechę. Lekarz i pielęgniarz podtrzymali ją z obu stron za ramiona.

Wanger niemal zaniechał swego zamiaru — musiałby być bezduszny. Jednakże prędzej czy później i tak musiało do tego dojść, — Pani Moran, chciałem zapytać, czy przez przypadek nie zna pani jakiejś panny Baker. Próbuję ustalić, czy taka osoba rzeczywiście istnieje, czy też może był to tylko... Hm, chłopiec wymienił właśnie to nazwisko. Dostrzegł zmianę zachodzącą w jej twarzy jeszcze przed lekarzem i pielęgniarz, bo stała przodem do niego. Nie dalej jak chwilę temu wydawało się niemożliwe, że coś jeszcze można dodać do emocji, które nią targaly, a okazało się, że jednak tak. Skrajne przerażenie, przytłaczające wszelkie lęki, jakich już doświadczyła, zdawało się pokrywać stopniowo jej twarz jak zimna, lepka błona. Przycisnęła dwa palce do zewnętrznego końca każdej z brwi, jakby chciała zapobiec rozpadowi własnej czaszki. — Tylko nie *ona* — wyszeptała.

— Tak powiedział chłopiec — rzekł równie cicho i niechętnie Wanger.

— Och, nie... *nie!*

Dokładnie zrozumiał znaczenie tego żarliwego zaprzeczenia. Nie była to negacja istnienia wspomnianej osoby, lecz odrzucenie oskarżenia — tylko dlatego, że było ono zbyt niewyobrażalne.

— A zatem taka osoba istnieje... — naciskał delikatnie.

— To wychowawczyni... — Wskazała na dziecko, prawie nie będąc w stanie wydobyć z siebie słowa. Łzy — już nie żalu, lecz śmiertelnego przerażenia — płynęły niepohamowanie z jej oczu. — Wychowawczyni Cookiego z przedszkola...

Jeśli istniało coś, co mogło dodać jeszcze tragizmu do jej sytuacji, to było to właśnie nadanie przyczynie nieszczęścia realnych kształtów, ludzkiej sylwetki, która nie stanowiła już dłużej abstrakcji, nie kojarzyła się jedynie z zamkniętymi przez nie wiadomo kogo drzwiami, lecz stała się młodą kobietą przez kilka godzin dziennie opiekującą się jej własnym dzieckiem.

Zachwiała się, ale nie dlatego, że miała zemdleć; po prostu nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Pielęgniarka i lekarz złapali ją i podtrzymali pomiędzy sobą. Obrócili ją powoli twarzą do drzwi i poprowadzili ku wyjściu małymi kroczkami. Nie była w stanie powiedzieć nic więcej, ale też nic więcej nie trzeba było mówić. Wszystko było teraz w rękach Wangerera.

Nim drzwi zdążyły zamknąć się za tą żalną procesją, lekarz warknął gderliwie przez ramię:

— Gdy widzę takich jak pan, robi mi się niedobrze.

— Nic na to nie poradzę — odparł zdecydowanie detektyw. — Na tym polega moja praca.

Stała pośrodku grupki maluchów na wydzielonej części boiska, odseparowanej od zachowujących się bardziej agresywnie starszych dzieci. Przedszkolaki bawiły się, przechodząc pojedynczo pod połączonymi w łuk rękoma dwójki stojących nieruchomo jak słupki dzieci, a gdy zostały między nimi uwięzione, kiwały się w przód i w tył, dopóki nie usłyszały szeptu dającego im wybór dwóch bezcennych skarbów, po czym stawały za jednym ze „słupów”, zgodnie z wyborem, jakiego dokonały. W czasach Wangerera na ulicy Jedenastej Wschodniej nigdy się w to nie bawiono, więc nie do końca rozumiał zasady tej gry.

Cierpiał z powodu tego, co musiał zrobić, cierpiał bardziej niż kiedykolwiek, chociaż nie było to jeszcze aresztowanie ani nawet nic, co mogłoby je choć trochę przypominać. Doszedł do wniosku, że to pewnie obecność dzieci podziałała na niego w ten sposób. Było coś brutalnego, niemal nieczystego w tym, że musiał ją teraz stąd wyciągnąć, żeby dowiedzieć się, czy nie odebrała komuś życia.

Zauważyła, że się jej przygląda, i podeszła do niego. Miała drobną sylwetkę, niską i szczupłą, a do tego miedzianozłote włosy; była młoda — mogła liczyć nie więcej niż dwadzieścia cztery, dwadzie-

ścia pięć lat — i ładna, nie licząc okularów w rogowych oprawkach. Prawdę mówiąc, nawet w nich wyglądała ładnie, choć może nieco surowo. Jej kości policzkowe zdobiły rzadkie piegi. Wyglądały bardzo twarzowo.

— Czekają pan na któreś z nich? — spytała miłym tonem. — Zajęcia potrwały jeszcze...

Poprosił, by pozwolono mu ją znaleźć samodzielnie, bez żadnej eskorty — przyprowadził go tylko „dyżurny”, jedno ze starszych dzieci, które już sobie poszło — i nie wyjawiał powodu swej wizyty dyrektorce; uznał, że tak będzie rozsądniej.

— To z panią chciałbym porozmawiać — oznajmił. Starał się wykonać to zadanie tak, by nie wystraszyć jej za bardzo. Ostatecznie jak dotąd jej jedyną winą było nazwisko rzucone z ust dziecka. — Nazywam się Wanger, jestem z wydziału policji...

— Och. — Nie była szczególnie wystraszona, raczej zaskoczona.

— Jak tylko skończy pani pracę, chciałbym, jeśli nie ma pani nic przeciwko, żeby pojechała pani ze mną i spotkała się z Cookiem Moranem — no, wie pani, dzieckiem państwa Moran.

— Ach tak... Biedaczek — rzuciła współczująco. Zabawa tymczasem utknęła w martwym punkcie. Dzieci stały wciąż w takim szyku, w jakim je zostawiła, twarzami do niej, w oczekiwaniu na dalsze instrukcje. — Czy mamy teraz zacząć ciągnąć, panno Baker? Spojrzała na niego pytająco.

— Proszę dokończyć zajęcia — rzekł. — Zaczekam na panią. Natychmiast wróciła do swoich obowiązków i wydawało się, że żadna zapowiedź nadciągających kłopotów nie jest w stanie zaprzętnąć jej uwagi, którą powinna poświęcić swym zadaniom. Energicznie zaklaskała w dłonie.

— Dobrze, dzieci. Gotowe? Ciągnąć!... Nie za mocno... Uważaj, Marvin, urwiesz Barbarze rękaw... Nieco później, w sali, gdy dzieci zostały bezpiecznie zapakowane do autobusu i wysłane do domów, przyglądał się jej, jak sprząta biurko, zza którego tutaj panowała, układając wszystkie rzeczy porządnie w szufladzie.

— Te obrazki, które kolorują kredkami... takie jak te tutaj na stolikach... Czy dzieci nie zabierają ich codziennie do domu?

Było to pozbawione większego znaczenia pytanie stojącego z boku i obserwującego coś, co nie jest mu znajome. Tak to przynajmniej zabrzmiało.

— Nie, robią to tylko w piątki. W ciągu tygodnia gromadzimy wszystkie w klasie, a w piątki zabieramy dzieła z ich ławek i oddajemy do domu, żeby dzieci mogły się pochwalić mamom, jakie robią postępy. — Zaśmiała się dobrodusznie.

Podniósł pierwszy z brzegu barwny rysunek. Przedstawiał wielkiego rudzika przycupniętego na gałęzi. Zachichotał z udawanym podziwem.

— To rysunek z tego tygodnia? — Kolejne nic nie znaczące, mające wypełnić ciszę pytanie, jak gdyby chciał zwyczajnie podtrzymać konwersację, podczas gdy ona nakładała kapelusz.

— Tak, z tego — odparła, oglądając się za siebie, by spojrzeć na obrazek. — Poniedziałkowe zadanie. Poniedziałkowy wieczór był tym, kiedy...

Pojechali do domu Moranów taksówką. Z nich dwojga to Wanger wydawał się bardziej nieśmiały, przez cały czas wyglądając przez okno po swojej stronie.

— Czy jadę tam, by pomóc w czymś policji, czy... errr... chodzi może raczej o misję miłosierdzia? — spytała w końcu, nieco zawstydzona. Nie był to jednak wstyd wywołany winą, a raczej niepewnością związaną z kompletnie nowym, nieznanym doświadczeniem.

— To rutynowa czynność. Proszę się nie przejmować. — Wyjrzał znów za okno, jak gdyby błędził myślami setki kilometrów stąd. — A tak przy okazji, czy była pani u nich tego wieczora, kiedy się to stało?

Nie mogło to zabrzmieć bardziej swobodnie, nawet gdyby się bardzo starał. Nie, żeby zbytnio o to zabiegał czy stawał na głowie, by przybrać taki ton; dotychczasowy rozwój wypadków nie wymagał po prostu ostrzejszego postępowania. Większy nacisk byłby teraz nie na miejscu.

— U nich? U *Moranów*? — Uniosła brwi w skrajnym zdumieniu. — Na Boga, skądże!

Nie powtórzył pytania, a ona nie powtórzyła swego zaprzeczenia. Jeden raz wystarczył. Jej słowa miały stanowić część oficjalnych zeznań.

Wanger był świadkiem wielu konfrontacji, lecz pomyślał, że nigdy nie uczestniczył w żadnej bardziej dramatycznej niż ta. Z jednej strony kobieta — w obliczu dziecka kompletnie bezbronna. Z drugiej zaś dziecko — równie bezbronne w obliczu całego dorosłego świata.

Chłopiec był w siódmym niebie, widząc ją, gdy został przyprowadzony przez opiekunkę.

— Dzień dobry, panno Baker! — Przebiegł przez pokój, objął ją poniżej bioder i spojrzał w górę na jej twarz. — Nie mogłem dziś przyjść do przedszkola, bo mój tatuś nas opuścił. Wczoraj też nie mogłem przyjść.

— Tak, wiem, Cookie, wszystkim nam ciebie brakowało. Odwróciła się do Wangera, jak gdyby chciała zapytać: „Co mam teraz zrobić?”

Wanger przykucnął i starał się mówić niskim, wzbudzającym zaufanie głosem: — Cookie, pamiętasz ten wieczór, gdy twój tatuś wszedł do schowka?

Cookie przytaknęła posłusznie.

— Czy to ta pani była z wami tutaj, w domu? Czekali.

Musiała w końcu ponaglić go sama. — Czy to byłem ja, Cookie?

Zdawało się, że chłopiec już nigdy nie odpowie. Dla obecnych w pokoju dorosłych napięcie stało się wręcz nie do zniesienia.

Przedszkolanka wzięła głęboki oddech, wyciągnęła ręce i ujęła jedną z małych rączek w swoje dłonie.

— Czy to panna Baker była tu z wami tego wieczora, gdy tatuś wszedł do schowka, Cookie? — spytała. Tym razem odpowiedź padła nagle jak strzał z procy.

— Tak, panna Baker tu była. Panna Baker jadła ze mną i z tatusiem kolację, to chyba wiadomo? —

Chłopiec zwracał się bezpośrednio do niej, nie do wszystkich obecnych.

Wyprostowała się powoli, w osłupieniu kręcąc głową. — Och, nie, nic nie rozumiem...

Ich twarze zdawały się wokół niej zaciskać krąg. Nikt nic nie mówił.

— Ależ Cookie, spójrz na mnie...

— Nie, proszę na niego nie wpływać — przerwał jej Wanger uprzejmie, lecz stanowczo.

— Nawet nie próbuję... — odrzekła bezradnie.

— Zechce pani zaczekać na mnie poza tym pokojem, panno Baker? Za chwilę do pani przyjdę...

Zanim potem przyszedł, siedziała sama na krześle pod ścianą. To prawda, że jeden z ludzi pilnujących drzwi wejściowych czuwał w przyległym pokoju, lecz ona o tym nie wiedziała. Zapinała i odpinała zamek swojej torebki, w kółko od nowa. A potem podniosła wzrok i spojrzała na niego z rozbrajającą szczerością. — Nie potrafię tego zrozumieć...

Nie skomentował jej słów w żaden sposób. Zarówno one, jak i wypowiedzi chłopca też miały stanowić część zeznań.

Przyniósł ze sobą barwną kolorowankę, żeby jej pokazać. Przedstawiała wielkiego rudzika na gałęzi.

— Już mi pani powiedziała, że ten rysunek dzieci miały zadany w poniedziałek. I że maluchy przynoszą swoje prace do domu tylko raz w tygodniu, w piątki.

Jej wzrok spoczywał na obrazku znacznie dłużej, niż wymagałoby tego tylko rozpoznanie rysunku. Odczekał jeszcze chwilę, po czym złożył i schował kartkę.

— A jednak znaleziono go tutaj, w domu, panno Baker, we wtorek wcześniej rano. Jak pani zdaniem mógł się tutaj znaleźć?

Wpatrywała się w to miejsce jego ubrania, gdzie rysunek zniknął przed chwilą.

— Jest możliwe, że tamtego dnia chłopiec przyniósł go do domu sam, bez pozwolenia, jeszcze zanim obrazek został oceniony. — Sugestia ta padła z jego ust, zabrzmiała jednak bardziej jak pytanie niż stwierdzenie. Podniosła szybko wzrok. — Nie... nie sądzę, by było to możliwe. Zwolniłam go wtedy wcześniej do domu, bo jego matka czekała na zewnątrz, by go zabrać. Może pan zapytać panią Moran... — Już to zrobiłem.

— Ach tak, a więc... — Wstała. Lekki rumieniec wystąpił jej na twarz. — Więc cóż to miało znaczyć? Zastawił pan na mnie słowną pułapkę? Poruszył tylko głową w nic nie znaczącym geście.

— Zdaje się, że stawia mnie to w dość niezręcznej pozycji.

— Ależ skąd — zaprzeczył nieszczerze. — Skąd to przypuszczenie?

Spojrzała w dół, na swoją torebkę, rozpięła i zapięła jeszcze raz jej zamek, po czym nagle podniosła wzrok i napadła na niego z płomienną żarliwością, która tak pasowała do koloru jej włosów:

— Choć, prawdę mówiąc, sama nie wiem, czemu miałabym się czuć niezręcznie. Próba, której mnie pan właśnie poddał, była bardzo krzywdząca.

Jego uprzejmość mogła niemal przyprawić o mdłości. — A to czemu? Czyż chłopiec nie zna pani wystarczająco dobrze? Czy nie widuje pani przez pięć dni w tygodniu? Ta próba o niczym jeszcze nie rozstrzyga, w tym mógłbym pani przyznać rację, lecz nie uważam, żeby była krzywdząca.

— Pan chyba czegoś nie rozumie: umysł dziecka w tym wieku jest wrażliwy jak klisza fotograficzna — zawsze utrwali się w nim pierwszy wizerunek, jaki napotka. Przed chwilą poprosił mnie pan, żebym na niego nie wpływała, gdy tymczasem to wy, panowie, może nawet nieświadomie, wpływaliście na niego w tych ostatnich dniach. Mały słyszał, jak mówiliście o mojej obecności tutaj i uwierzył, że faktycznie tu byłam. U dzieci granica między wyobraźnią a rzeczywistością jest bardzo... Wtrącił się z wielką cierpliwością i rozwagą: — Jeśli chodzi o nasz wpływ na dziecko, to zupełnie się pani myli. Nigdy nie słyszeliśmy pani nazwiska, żaden z nas go nie znał, dopóki nie padło z ust chłopca, więc jak mógł usłyszeć o pani od nas? Faktem jest też to, że musieliśmy posłać po panią Moran, żeby nam wyjaśniła, kim pani jest, gdy pierwszy raz panią wspomniał.

Nie tupnęła wprawdzie nogą, ale poruszyła ciałem w sposób wyrażający stan umysłu, jakiemu tupanie nogami zwykle towarzyszy. — Ale co ja właściwie pańskim zdaniem zrobiłam — zechce mi pan to w końcu *powiedzieć*? Wysłałam stąd, gdy wydarzyło się coś tak okropnego, nikogo o niczym nie powiadamiając?

— Ależ proszę pani... — Podniósł ręce, pokazując jej spody płaskich dłoni, jakby się poddawał. — Już mi pani raz powiedziała, że pani tu nie było, a ja po raz drugi nie pytałem, prawda?

— Ja jednak powtórzę. Powtórzę stanowczo! Dziś jestem w tym domu po raz pierwszy i nigdy tu wcześniej nie byłam.

— I to mi najzupełniej wystarczy. — Wykonał uspokajający ruch, jak gdyby napierał dłońmi na kogoś lekko w dół. Pokój za wszelką cenę. — Nie trzeba nic więcej w tej sprawie robić ani mówić. Proszę mi tylko opowiedzieć pokrótce, co pani robiła tamtego wieczora, i na tym skończymy. Chyba nie ma pani nic przeciwko temu?

Uspokoila się. — Nie, oczywiście, że nie.

— Proszę się nie obrażać, taka jest procedura. Pytaliśmy też o to samą panią Moran.

Usiadła z powrotem. Jej spokój ustąpił miejsca zamyśleniu. — Oczywiście, że się nie obrażam... — Zamyślenie przybrało formę całkowitego zatracenia w wewnętrznej kontemplacji. — Oczywiście...

Po chwili Wanger chrząknął. — Proszę zacząć, gdy będzie pani gotowa.

— Och, przepraszam. Zdaje się, że wszystko robię nie tak, prawda? — Otworzyła i zamknęła torebkę jeszcze ten jeden, ostatni raz. — Dzieci pojechały do domów o tej samej godzinie co zwykle. O szesnastej, jak pan wie. Zanim uprzątnęłam biurko, zrobiłam jeszcze to i owo, była już pewnie szesnasta trzydzieści, gdy wychodziłam. Wróciłam do swego pokoju w Internacie dla Kobiet i pozostałam w nim mniej więcej do osiemnastej; odpoczywałam i zrobiłam małą przepierkę. Następnie wyszłam, by zjeść kolację w niewielkiej jadłodajni na tej samej ulicy co mój internat, gdzie zwykle spożywam posiłki. Zapewne chce pan poznać jej nazwę?

Popatrzył smutno i przepraszająco.

— To mała prywatna stołówka „U Karen Marie” prowadzona przez pewną Szwedkę. Po kolacji poszłam na spacer, a około dwudziestej postanowiłam obejrzeć film w kinie...

— Pewnie nie pamięta pani, co to było za kino? — rzucił tak spokojnie, jakby to była najmniej istotna rzecz na świecie.

— Ależ tak, pamiętam. Kino Standard. Chciałam zobaczyć *Pana Smitha*, wie pan. Nieczęsto wybieram się na jakiś film, lecz gdy już to robię, idę właśnie do Standardu. Cóż, to by chyba było wszystko. Wyszłam po zakończeniu projekcji i wróciłam do internatu tuż przed północą.

— Bardzo dobrze, to w zupełności wystarczy. Dziękuję bardzo, to nam załatwia sprawę. Teraz nie będę już pani dłużej zatrzymywał.

Wstała niemal niechętnie. — Wie pan, właściwie wolałabym chyba nie wychodzić w tak... w takiej sytuacji. Czułabym się lepiej, gdyby wszystko wyjaśniło się w taki czy inny sposób, kiedy wciąż tutaj jestem.

Machnął ręką. — Nie ma tu czego wyjaśniać. Zdaje się, że przypisuje pani swojemu udziałowi w tej sprawie więcej niż my sami. Teraz proszę się już tym nie przejmować, niech pani po prostu żyje własnym życiem i o wszystkim zapomni.

— Cóż...

Odeszła niechętnie, oglądając się za siebie tak długo, jak tylko mogła, lecz w końcu jednak wyszła. Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, Wanger jakby doznał elektrowstrząsu z jakiegoś niewiadomego źródła. — Myers!

Człowiek, który znajdował się w pokoju przy wejściu, wyszedł z niego, a Wanger dwukrotnie wytknął palcem drzwi.

— Dzień i noc. Ani na chwilę nie spuszczaaj jej z oka. Myers ruszył pośpiesznie, by znaleźć tylne wyjście.

— Brad! — zawołał znów Wanger. I zanim schody przestały się chwiać od pędu na łeb, na szyję, dodał: — Ruszaj mi stąd zaraz, i to szybko; sprawdź kino Standard i dowiedz się, jaki był tytuł drugiego filmu wyświetlanego w poniedziałkowy wieczór razem z *Panem Smithem*. To właśnie podoba mi się najbardziej w podwójnych seansach — przydają nam się nieraz w pracy. Potem jedź do tej stołówki „U Karen Marie” i dowiedz się, czy ona tam jadła. Zamierzam sprawdzić to jej alibi krok po kroku i niech ją Bóg ma w swojej opiece, jeśli nie będzie trzymało się kupy w każdym calu!

Pierwszy telefon do Wangera w domu Moranów, dwadzieścia minut później:

— Cześć, Lew, tu Bradford! Słuchaj, czego dowiedziałem się w kinie Standard. Ten drugi tytuł to *Piątka małych Pepperów*, o ile nadal cię interesuje. Ale ciekawe jest to, że ktoś inny zatrzymał się

w kinie tuż przede mną i zadał to samo pytanie, jak mi powiedziano. Kasjerka była zdziwiona, skąd to nagle zainteresowanie jakimś niskobudżetowym zapychaczem.

— Kto to był? — naskoczył na niego Wanger przez telefon.

— *Ona*. Nasza panna Baker. Kasjerka podała mi jej opis. Musiała ruszyć do tego kina, jak tylko cię opuściła. Jak ci się to podoba?

— Bardzo — odparł Wanger z ponurą dosłownością. — Zajmij się teraz resztą. Dzieciak właśnie podał nam kolor ubrania, w jakim zjawiała się tamtego wieczora. Granat, zapisałeś? Idź do jej internatu i spróbuj wywęszyć, jakiej barwy rzeczy miała na sobie, gdy wychodziła z pokoju w poniedziałkowy wieczór; ktoś mógł to zauważyć. I zrób to nieoficjalnie, bez pokazywania odznaki. Nie chcę, żeby się połapała, iż próbujemy coś fastrygować, dopóki wszystkiego do końca nie zszyjemy. Jesteś po prostu facetem usiłującym namierzyć babkę, która mu się spodobała, a o której nie wie nawet, jak się nazywa. Chcesz dojść do niej drogą eliminacji...

Drugi telefon do Wangera, to samo miejsce, pół godziny później:

— Tu znowu Brad. Jasny gwint, to jej alibi jest cieniutkie jak gaza! Myślę, że teraz naprawdę coś na nią mamy.

— Dobrze, dobrze, daj już spokój z tą szczenięcą euforią; jak posiedzisz w tej robocie tak długo jak ja, zrozumiesz, że wtedy, gdy wydaje ci się, że masz najwięcej, okazuje się często, iż nie masz absolutnie nic. — No to jak, chcesz to usłyszeć, czy mam wszystko zachować dla siebie?

— Nie bądź bezczelny, żółtodziobie. Co tam masz?

— Tamtego wieczora wcale *nie jadła* „U Karen Marie"! Najpierw ta Szwedka, która to prowadzi, stanęła za nią murem. O, thak, thak. Bhyła tuthaj. Ale po tym, co zdarzyło się w kinie, coś mnie tknęło, więc postanowiłem zaryzykować i zabawić się z kobieciną. Opłaciło się! Zablefowałem, zrobiłem się nieprzyjemny i powiedziałem: „Co pani mi tu próbuje wcisnąć? Myśli pani, że nie wiem, że przyszła tu i kazała tylko tak gadać, gdyby ktoś zapytał? No to jak, chce pani mieć kłopoty czy woli się pani od nich trzymać

z daleka?" Zmiękła jak masło na patelni. „Thak”, przyznała chyba lekko wystraszona, „właśnie tu bhyła. Chciałam jej pomóc, ale skhoro już i thak wiecie, nie chcę pakhować się w taraphaty...” I zgadnij, co jeszcze. Pokręciłem się trochę po holu Internatu dla Kobiet. Dziewczyna obsługująca windy i recepcjonista pamiętali, jak ich mijiała tamtego wieczoru ubrana na... *granatowo*.

— Zuch chłopak! — zawołał Wanger z zachwytem.

Trzeci telefon do Wanger, nazajutrz.

— Halo? Lew? Tu Myers. Jestem przed szkołą, będzie tu uziemiona aż do czwartej po południu. Siedzę jej od wczoraj na karku praktycznie przez cały czas. Ale posłuchaj, czego się właśnie dowiedziałem, chcę, żebyś usłyszał to od razu. Może to coś znaczy, a może nie. Zacząłem ją śledzić, gdy tylko opuściła swój internat, a po drodze na przystanek autobusowy zauważyłem, że sprzedawca ze straganu z owocami kiwa do niej na powitanie głową jak stary, dobry znajomy, a ona się do niego uśmiecha. Zostałem więc nieco w tyle i przepytalem go szybko, tak, żeby zdążyć na ten sam autobus co ona. Straganiarz powiedział mi, że w poniedziałkowy wieczór około osiemnastej kupiła u niego pół tuzina florydzkich pomarańczy. O ile dobrze pamiętam, w lodówce Moranów stały dwie szklanki soku pomarańczowego, a pani Moran nie mogła sobie z całą pewnością przypomnieć, by przygotowała je przed wyjazdem do matki. — Też to pamiętam. O osiemnastej nasza panna Baker była w drodze z, a nie *do* internatu, o czym zresztą sama mówiła. Zabrała więc pomarańcze ze sobą. Zaraz tam pojedę i porozmawiam z pokojówką, która sprząta jej lokum. W pomarańczach z naszego punktu widzenia dobre jest to, że nie można ich jeść ze skórką.

Wanger w rozmowie z przełożonym:

— Jak to wygląda, Lew?

— Niemal tak pięknie, że aż nieprawdziwie. Boję się wziąć głębszy oddech, bo mam wrażenie, że przy lekkim wydechu wszystko się rozsypie. Może pan wierzyć lub nie, szefie, ale wreszcie mam prawdziwą podejrzaną, taką z krwi i kości, bo do tej pory goniliśmy tylko za duchem. Rozmawiałem z nią nawet i uzyskałem pewne od-

powiedzi. Przez cały czas się szczypię, by mieć pewność, że to nie sen.

— Lepiej uszczypnij ją, kajdankami, gdy ją będziesz zakuwał, z tego będzie trochę większy pożytek.

— Ta dziewczyna podsunęła nam pod nos stek kłamstw jako swoje alibi. Miałem już do czynienia z takimi, gdzie było jedno słabe ogniwo, czasem dwa, ale tutaj to jest czysta fantazja! Nie było jej w restauracji, gdzie wedle własnych słów była, nie poszła do kina, a ze swego pokoju wyszła ubrana na granatowo. Mały Moran powiedział jej prosto w twarz, że to ona była z nim i jego ojcem tamtego wieczora. Rysunek pokolorowany kredką w poniedziałkowe popołudnie w przedszkolu został znaleziony u Moranów wczesnym rankiem we wtorek, a pani Moran ma stuprocentową pewność, że chłopiec nie miał go z sobą, gdy go odbierała. I jakby tego było mało, nasza podejrzana kupiła w poniedziałek około osiemnastej na straganie w pobliżu swego internatu pół tuzina florydzkich pomarańczy i zabrała je ze sobą tam, dokąd się udała. W lodówce Moranów stały dwie duże szklanki soku z tych owoców, a pani M. twierdzi stanowczo, że ona do ich przygotowania ręki nie przyłożyła. Choć z tego, co pamiętała, zostawiła w domu kilka pomarańczy. Ale jeśli nawet, to gdzie podziały się te kupione przez pannę Baker? Na pewno nie dotarły do jej pokoju; przesłuchałem pokojówkę, a ona zapewniła, że od tygodnia nie wyrzucała z jej pokoju pomarańczowych skórek ani nawet jednego zeschniętego ziarenka. I jak to według pana wygląda?

— Wygląda na to, że ją mamy. Pozwólcie jej powłóczyć się jeszcze przez, powiedzmy, dobę i zobaczcie, czy nie ugrzęźnie jeszcze głębiej. Wtedy bądźcie gotowi na działanie. Tylko pod żadnym pozorem jej nie zgubcie. Depczcie jej po piętach we dnie i w nocy...

— I o każdej innej porze — dokończył Wanger bezlitośnie.

Tu Wanger, szefie.

— Miałem nadzieję, że się skontaktujesz. Chyba lepiej, żebyś już przyskrzypił tę pannę Baker.

— Właśnie usiłuję to zrobić. Dzwonię do pana z holu Internatu dla Kobiet. Chciałem się upewnić, że mam pańską zgodę, zanim pójde do jej pokoju na górę.

— Jasne, że masz moją zgodę. Właśnie dostałem raport, w którym opowieść chłopca zyskuje choć częściowe potwierdzenie z ust dorosłego. Człowiek o nazwisku Schroeder, mieszkający po drugiej stronie ulicy kilka budynków w bok, spuszczał akurat rolety w swojej sypialni, gdy dostrzegł sylwetkę kobiety opuszczającej dom Moranów. Nie mógł jej poznać z tej odległości, w dodatku po ciemku, ale nie widzę powodu, by wstrzymywać się z tym jeszcze.

— Ja też nie. Zwłaszcza że już tyle razy nam znikwała. Będę na posterunku za jakieś piętnaście, dwadzieścia minut...

Dziewczyna obsługująca windy próbowała zastąpić mu drogę.

— Przykro mi, proszę pana, lecz dżentelmenom nie wolno wchodzić do pokoi na górze.

„Nie jestem dżentelmenem, jestem detektywem”, miał ochotę powiedzieć, ale się powstrzymał. Musiał przyznać, że istniały lepsze odzywki niż ta.

— Recepcjonista mi na to pozwolił — odparł burkliwie.

Dziewczyna spojrzała na drugą stronę holu, by odebrać jakiś sygnał, że może go wpuścić. W przypadku tej nieuchwytej zwierzyny Wanger wolał nie ryzykować, czekając na dole, aż ktoś ją tutaj zawoła. Dziewczyna wysadziła go potem na siódmym piętrze.

— Proszę tu na mnie zaczekać. I w drodze powrotnej nie zabieramy żadnych innych pasażerów, zjedziemy prosto na parter. Zastukał do drzwi. Jej głos zapytał bez strachu:

— Kto tam? — Proszę otworzyć — odparł spokojnie.

Otworzyła natychmiast, z zaskoczeniem wywołanym dźwiękiem męskiego głosu wciąż malującym się na twarzy. Miała za plecami miednicę z praniem, pełną jedwabnych pończoch.

— Czy mogłaby pani pójść ze mną? — Był dość posepny, ale nie agresywny.

— Och... — wyrwało się jej tylko słabym głosem.

Czekał na nią w otwartych drzwiach. Szukała w szafie wierzchniego okrycia, ale nie mogła znaleźć tego, o co jej chodziło.

— Sama nie wiem, dlaczego się nie boję — wyjąkała. — Przecież chyba powinnam...

Bała się, i to strasznie. Upuściła wieszak z płaszczem i musiał go podnieść. Później próbowała założyć płaszcz, zapominając wyjąć wieszak.

— Nic złego się pani nie stanie, panno Baker — rzekł ze smutkiem.

— Pewnie muszę zostawić tak te moje pończochy, prawda? — spytała.

— Raczej tak.

Ściągnęła brwi, a wychodząc, nastawiła zamek na zatrzaśnięcie.

— Żałuję, że nie zdążyłam ich uprać, zanim pan przyszedł — westchnęła. — Czy ja tu jeszcze wrócę?

— spytała, nim wygasła światła. — Czy może... może powinnam zabrać ze sobą coś na noc? — Była naprawdę przerażona.

Bez słowa zamknął za nią drzwi.

— Widzi pan, nigdy wcześniej nie byłam aresztowana — rzekła pojednawczo, przemierzając korytarz szybkimi, nerwowymi kroczkami, tak drobnymi w porównaniu z jego wydłużonym, wolniejszym stapaniem. — Niech pani przestanie, dobrze? — rzucił burkliwie jak ostatni zrzęda.

Wszedł do pograżonego w półmroku pokoju, spojrzał na nią i zapalił papierosa, którego dym, rozchodząc się i tworząc coraz szersze kręgi, po chwili wdarł się w stożek światła padającego z sufitowej lampy nad jej głową. Gdy już się tam dostał, przybrał barwę bladego błękitu niby jakiś roztwór w próbówce.

— Płacz nic pani nie pomoże — rzekł chłodno, ale grzecznie. — Nie jest pani źle traktowana. A za swoją obecność tutaj może pani winić tylko siebie.

— Wy nie wiecie, co to znaczy... — zaczęła, zwracając się w kierunku, z którego dochodził głos. — Dla was aresztowania to chleb powszedni. Nie wiecie, co przeżywa osoba, która odpoczywa po pracy w pokoju, bezpieczna, zadowolona z życia, pogodzona ze światem, aż tu nagle przychodzi ktoś i ją zabiera. Prowadzi przez budynek, w którym ta osoba mieszka, na oczach wszystkich lokatorów, prowadzi ulicami... a gdy doprowadza ją w końcu tutaj, oznajmia tej osobie, że jest podejrzana o... o zamordowanie człowieka! Och,

nie mogę tego znieść! Jestem śmiertelnie przerażona! Czuję się tak, jakby jedna z historii, jakie opowiadam moim przedszkolakom, nagle się ziściła, a ja stałam się jej bohaterką — zaczarowaną, pozostającą we władzy jakiegoś potwora.

I biadoląc tak, próbowała się do nich uśmiechnąć w ciemności, ze skruchą.

Inny głos wydobył się z mroku:

— Myśli pani, że Moranowi było łatwo przez te ostatnie pół godziny, czy ile tam, w schowku? Nie widziała go pani, kiedy go stamtąd wydostano; my — tak.

Przycisnęła włosy do skóry głowy, nie wydając z siebie żadnego dźwięku.

— Przestań — rzekł Wanger na stronie. — To jedna z tych wrażliwych.

Niewidoczna strażniczka klasnęła językiem, wyrażając w ten sposób swe zdanie na ten temat.

— Nie wiedziałam, że chodziło o morderstwo. Nie wiedziałam, że ktoś zrobił mu to specjalnie! — mówiła dziewczyna siedząca na drewnianym krześle. — Kiedy zabraliście mnie wczoraj do domu Moranów, myślałam, że to był zwyczajny wypadek, że on zamknął się jakoś w tym schowku, a dziecko nie uświadomiło sobie zagrożenia, zaś po wszystkim, może by uciec przed poczuciem winy, jak to dzieci mają w zwyczaju, zmyśliło historyjkę, że u nich byłam.

Wanger powiedział:

— To absolutnie niczego nie zmienia. Nie o tym z panią rozmawiamy. Nie jadła pani wtedy u tej Szwedki. Nie była pani w kinie Standard. A jednak poszła pani w oba te miejsca *później* i kazała pracującym tam ludziom powiedzieć, że była w nich pani w poniedziałek! A teraz dziwi się pani, że tutaj trafiła. Trzymała dłońią za nadgarstek ręki przeciwnej i wykręcała go w kółko. Wreszcie rzekła: — Wiem... nie przypuszczałam, że tak od razu zaczniecie mnie śledzić... wydawaliście się tacy mili tamtego popołudnia.

— My nie wysyłamy ostrzeżeń.

— Nie wiedziałam, że chodzi o morderstwo; myślałam, że muszę się chronić tylko przed dziecięcym kłamstwem. — Wzięła głęboki wdech. — Byłam... z moim mężem. Nazywa się Larry Stark

i mieszka... mieszka przy Mercy Avenue numer 420. Przygotowałam mu kolację w jego mieszkaniu i spędziłam tam cały wieczór. Nie zrobiło to na nikim żadnego wrażenia.

— Dlaczego nie powiedziała pani o tym od razu, gdy pytaliśmy?

— Nie mogłam, nie rozumiecie tego? Jestem młodą nauczycielką, nie wolno mi mieć męża; to by mnie kosztowało utratę pracy.

— Nie zostawiliśmy na pani pierwszej historyjce suchej nitki; to naturalne, że próbuje ją pani teraz zastąpić, bo na czymś przecież musi się pani oprzeć. Dlaczego więc w tę opowieść mielibyśmy wierzyć bardziej niż w poprzednią?

— Zapytajcie Larry'ego... on wam powie! Powie wam, że byłam z nim przez cały ten czas.

— Pewnie, że go zapytamy. A on bez wątpienia powie nam, że pani z nim była. Ale syn Moranów twierdzi, że była pani z *nim*. Ko-lorowanka mówi nam, że była pani z *nim*. Dwie szklanki soku pomarańczowego mówią, że była pani z *nim*. Pani granatowy kostium mówi nam, że była pani z *nim*. No i pani własne poczynania w ciągu ostatnich kilku dni mówią nam, że była pani z *nim*. Takie argumenty raczej trudno podważyć, panienko.

Bezgłośnie wciągnęła powietrze i zwiesiła głowę do tyłu, ponad oparciem krzesła.

Smuga żółtego światła z korytarza przecięła czworoboczną ciemność wokół niej, a jakiś głos oznajmił: — Może ją teraz przyjąć. Wanger, szurając, odsunął swoje krzesło. — Za późno już na to. Nie pomoże to pani tak, jak mogło pomóc, gdyby przedstawiła nam pani tę wersję na samym początku. Zajechaliśmy już z tą sprawą zbyt daleko, panno Baker, a rzadko opłaca się przesiadać z pociągu do pociągu w trakcie jazdy — łatwo wtedy wpaść pomiędzy pędzące składy.

Jego dłoń i nadgarstek stały się widoczne, gdy wyciągnął ją do niej poprzez stożek padającego światła. Znowu płakała, jak zwykle bezgłośnie, kiedy strażniczka i Wanger przyprowadzili ją przed biurko jego przełożonego. — A więc to jest ta młoda dama?

W innych okolicznościach można by to uznać za niemal życzliwe powitanie. Nie taka jednak była jego wymowa.

Telefon na biurku zabrzączał: D-d-d-d-ding, br-r-r-r-ring.

Przełożony powiedział: — Chwileczkę. — A za moment: — Kto? Tak, jest tu niejaki Wanger, ale osobom postronnym nie wolno korzystać z tego numeru wewnętrznego. No dobrze, a zatem czego...

Odjął słuchawkę od ucha i spojrzał ponad biurkiem na Wangerę.

— Ktoś chce ci coś powiedzieć na temat tej dziewczyny, którą właśnie przyprowadziłeś. No, dalej, dowiedz się, o co chodzi.

Pokazał coś, a strażniczka z panną Baker wyszły znowu na zewnątrz.

— Pewnie to mąż — mruknął Wanger, przechodząc za swego przełożonego i podnosząc słuchawkę.

Kobiecy głos zapytał: — Halo? Czy to pan Wanger?

— Tak. Kto chce ze mną... — zaczął ze znużeniem.

Kobiecy głos wciął się jak nóż w masło: — To *ja teraz* będę mówić, a pan niech słucha. Zatrzymał pan właśnie dziewczynę z Internatu dla Kobiet. Niejaką pannę Baker, przedszkolankę. Zgadza się? Chcę tylko powiedzieć, że ona nie miała nic wspólnego z tym, co przydarzyło się Moranowi w tamtym schowku; nie obchodzi mnie, jak to wygląda ani co wam się wydaje, czy też co odkryliście...

Wanger czuł już w tej chwili mrówki w spodniach, wiercił się w kółko, starając się zakryć mikrofon słuchawki, a jednocześnie przekazać swemu przełożonemu wiadomość: Namierzyć ją! Namierzyć!

Głos musiał należeć do telepatki. — Wiem, chcecie mnie namierzyć — wtrąciła ironicznie. — Zaraz mnie tu nie będzie, więc nie marnujcie czasu. A teraz, na wypadek, gdyby miał pan jeszcze jakieś wątpliwości albo gdyby chciał mnie pan po prostu uznać za wariatkę, niech pan słucha. Na kartce przypiętej do kołderki dziecka Moranów było napisane: „Ma pani słodkiego synka, pani Moran. Zostawiam go tu, gdzie będzie bezpieczny do pani powrotu, bo nie chciałabym, żeby stała mu się jakakolwiek krzywda”. Panna Baker na pewno tego nie wie, bo nie pokazaliście jej tej notatki.

Morano-wie mają radio marki Philco, pan domu czytał *Suna*, przyrządziłam jako ostatni posiłek jajecznicę, w schowku wisiały dwa stęchłe płaszcze przeciwdeszczowe, a całe jego cygaro wypaliło się, nie tracąc

kształtu, tuż obok fotela, na którym ostatnio siedział. Lepiej ją wypuście. Żegnam i powodzenia.
Dryn.

W tej samej chwili rozdzwonił się drugi telefon na biurku szefa.

— Budka telefoniczna w aptece Neumanna na rogu Dale i Dwudziestej Trzeciej!

Wanger niemal wyrwał drzwi z zawiasów i zostawił je za sobą otwarte.

Sześć minut i osiemnaście sekund później dyszał, jakby miał wypluć płuca, w twarz przerażonemu właścicielowi wywleczonemu z za lady apteki.

— Kto dzwonił z tamtej środkowej budki, gdzie słuchawka jest wciąż jeszcze ciepła?

Aptekarz wzruszył ramionami ze skrajną bezradnością. — Jakaś kobieta. Chyba nie sądzicie, że wiem coś więcej?

Notatki Wanger na temat Franka Morana:

Materiał dowodowy:

— 1 notatka sporządzona drukowanymi literami, przypięta do kołderki na dziecięcym łóżku.

— 1 kolorowanka, prawdopodobnie dorosła podróbka pracy dziecka.

Sprawa nierozwiązana.

Część czwarta

FERGUSON

*I znak ten mi odsłonił,
Potworność w tej dłoni.*
Guy de Maupassant

Rozdział 1

Kobieta

Wystawa nie cieszyła się najlepszą frekwencją, nawet jak na pokaz prac pojedynczego artysty. Może nie był jeszcze dość znany. A może dał się poznać aż za bardzo — z niewłaściwej strony. Bo jego prace można było spotkać nie tylko tutaj, w tej galerii; można je było znaleźć w każdym kiosku w metrze tego miasta, niemal co dzień, zwisające krzywo, zaczepione niewielką klamerką. Za dwadzieścia pięć centów można je było zabrać ze sobą do domu, i to nie samą okładkę, lecz całe czasopismo oferujące tak wiele do czytania. Zaś to, prawie każdy z obecnych w galerii mógł to potwierdzić, z pewnością był sukces niewłaściwy.

Kilka osób przyszło jednak, mimo wszystko, może nie tyle po to, by obejrzeć jego prace, ile po to, by odwiedzić wystawę sztuki. Należeli oni do tego typu ludzi, co to nigdy nie opuszczają żadnej wystawy, nieważne czyjej, nieważne gdzie. Para dyletantów, czy też, jak sami woleli się nazywać, koneserów, snuła się dokoła, zadzierając nosa, tylko po to, by mieć o czym paplać przy drinku podczas następnego przyjęcia.

Obecnych było też może ze dwóch zabłąkanych marszandów, na wypadek gdyby talent tego akurat konkretnego artysty spotkał się z większym zainteresowaniem. Kilku drugorzędnych krytyków również przyszło tu ze względu na swą pracę. Wystawie zostanie poświęcone nie więcej niż pół kolumny w jutrzejszych gazetach. Recenzja może nawet będzie brzmiała zachęcająco, niemniej jednak będzie to tylko pół kolumny.

Poza tym na wystawie były jeszcze dwie panie z Keokuk, które przyszły ją obejrzeć, bo nazajutrz wieczorem wyruszały w drogę powrotną do domu i nie miały możliwości zobaczenia czegokolwiek in-

nego, a przecież będąc w mieście, *musiały* zaliczyć jakiś pokaz dzieł sztuki. Poza tym jego nazwisko miało takie piękne, amerykańskie brzmienie, łatwe do zapamiętania i przekazania „dziewczętom” podczas ich kolejnego czwartkowego spotkania Kółka Kobiet.

No i znalazła się tam jeszcze ta studentka sztuki o bardzo profesjonalnym podejściu. Można ją było poznać od razu, wystarczyło spojrzeć. To tu, to tam coś sobie notowała. Wyglądała na jedną z takich, co to przesiadują w muzeach sztuki i kopiują dzieła starych mistrzów. Niebywale poważna, bystry, chłonący wszystko wzrok, okulary w rogowych oprawkach, słabe, równo obcięte włosy do ramion pod mało eleganckim szkockim beretem z pomponem; nie zważając na wszystko, co się dokoła działo, przechodziła w zadumie od płótna do płótna, od czasu do czasu skrobiąc coś w swym małym kołonotatniku za dziesięć centów.

Zdawało się, że stosowała własne, nie do końca jeszcze rozwinięte kryteria oceny; miała martwe natury, pejzaże i grupy, obdarzając je zaledwie przelotnym spojrzeniem. Jedynie portretowane głowy stawały się przedmiotem jej skrzętnych notatek. Mdzie była to kwestia specjalizacji; była już w swych studiach zbyt zaawansowana, by interesować się owocami i zachodami słońca.

Skradała się jak myszka z jednej sali wystawowej do następnej, przystając nieco z tyłu, ilekroć ktoś inny chciał przyjrzeć się bliżej wybranemu przez nią obrazowi. Nikt się za nią specjalnie nie oglądał. Przede wszystkim oboje koneserzy zachowywali się zbyt głośno, by w ich obecności można było dostrzec obecność kogokolwiek innego. Już oni o to zadbali.

— Och, te obrazy to istne *fotografie*, jak Boga kocham! Równie dobrze mogły powstać w roku 1900. Całkiem tak, jakby Picasso się nigdy nie narodził. Te jego drzewa wyglądają po prostu jak *drzewa*. Ich miejsce nie jest na płótnie, ich miejsce jest w lesie, wśród innych drzew. Co niezwykłego może być w drzewie, które *wygląda* jak drzewo?

— Masz absolutną rację, Herbercie! Czy nie mdli cię na ich widok?

— Fotografie! — powtórzył koneser, ten płci męskiej, wodząc wzrokiem dokoła, by się przekonać, czy aby na pewno został podsłuchany.

— Zdjątką — dodała jego towarzysząca, gdy obrażeni pomaszrowali dalej.

Jedna z pań z Keokuk, która miała drobne problemy ze słuchem, zapytała swoją krajanę: — Co ich tak rozzłościło, Grace?

— To, że można rozpoznać, co się znalazło na obrazach — wyszeptała ta druga tonem pouczenia.

Studentka sztuki niepostrzeżenie przeszła obok, nie przystając nawet na moment przy zelżonych drzewach, które powinny stać już bezlistne i suche po ogniu krytyki, jaki na nie spłynął.

Koneserzy zatrzymali się i znów wyciągnęli swe skalpele, tym razem ostrząc je na jeden z portretów.

— Czyż to nie jest żalodne? Odmalował każdy jej włos z osobna, pokazał nawet cień rzucany przez jej dolną wargę. Po co w ogóle zawracać sobie głowę malowaniem? Czemu nie przyprowadził tu zwyczajnie tej dziewczyny i nie ustawił jej za pustą ramą? *Realizm!*

— Albo czemu po prostu nie powiesił lustra i nie zatytułował go *Portret przechodnia? Naturalizm! A fe!* Studentka stanęła za nimi i tym razem sporządziła notatkę. Ara-czej postawiła haczyk. W małym notesiku w linie, który ze sobą nosiła, widniały cztery hasła: „brunetka”, „blondynka”, „ruda”, „nieokreślona”. Pod „brunetką” znajdowała się długa kolumna haczyków. Pod „blondynką” były tylko dwa. Pod pozostałymi dwoma ziała na razie pustka. Najwyraźniej postanowiła poświęcić to popołudnie na dokonanie zestawienia kolorów włosów, jakie można spotkać w reprezentatywnej grupie dzieł tego akurat konkretnego artysty! Dziwne zachowania cechują niekiedy tych studentów sztuki. Galerię zamykano już tego popołudnia. Zabłąkani marszandzi poszli sobie dawno; nie znaleźli tu dla siebie nic ciekawego. Prace może nawet były niezłe, ale nie było sensu się na nie rzucać z pazurami. Najbardziej wytrwali zwiedzający wysypywali się teraz z galerii. Wyłonili się koneserzy, wciąż głośno wyrzekając. — Co za strata czasu! Mówiłam ci, że lepiej pójść obejrzeć ten nowy zagraniczny film, niż przychodzić tutaj! Warto jednak zauważyć, że pozostali w galerii tak długo, jak przebywał tam ktoś, kto mógł usłyszeć te ich perory.

Panie z Keokuk wyszły, roztaczając wokół siebie aureę powagi płynącej z rzetelnie wypełnionego obowiązku.

— Cóż, dotrzyśmy słowa — pocieszyła jedna drugą. — Choć naszym nogom z pewnością nie było łatwo to wytrzymać, nieprawdaż?

Studentka sztuki wyszła jako ostatnia. Zapiski w jej maleńkim notatniku wyglądały teraz tak: brunetka — 15 haczyków; blondynka — 2; ruda — 0; nieokreślona barwa włosów — 1. Znając osiemnaście portretów wystawionych w galerii, można było wysnuć jeden wniosek: artysta lubił ciemnowłose modelki.

Przynajmniej ona jedna spośród wszystkich zwiedzających miała minę osoby, która spędziła całkiem satysfakcjonujące popołudnie, osiągnęła dokładnie to, do czego dążyła.

Zapięła swój znoszony płaszcz wysoko pod szyję i ruszyła bez specjalnej energii ciemniejącą ulicą ku anonimowości, z której wcześniej się wyłoniła.

Rozdział 2

Ferguson

Ferguson skończył właśnie ustawiać sztalugę i płótno, gdy dobiegło go pukanie do drzwi.

— Chwileczkę — zawołał i zaczął wykladać tubki z farbą olejną. Nie wyglądał na malarza. Może dlatego, że nikt już teraz tak

nie wyglądał. Nie nosił brody ani beretu, ani kitla, ani aksamitnych spodni. Zgarniał okrągły tysiączek za okładkę. Jednak pomiędzy jedną a drugą lubił zająć się czymś poważniejszym, tak „dla siebie”, jak mawiał. Całą jedną ścianę jego atelier stanowiło szkło — chodziło o niezbędne do pracy północne światło. Jednak ta ściana nie wznosiła się prosto do góry jak pozostałe trzy, lecz chyliła się, tworząc pewien kąt, tak iż wydawała się czymś pośrednim pomiędzy normalną ścianą a dachowym oknem. Podeszedł do drzwi i otworzył.

— To pani jest tą nową modelką? — spytał. — Niech pani podejdzie tu, bliżej światła, i pozwoli mi się obejrzeć. Sam nie wiem, czy będę mógł panią wykorzystać. Powiedziałem w agencji, że potrzebuję... Przystanął z krytycznym nastawieniem i wstrzymał oddech. Widział ją teraz w pełnym świetle przeszklonej ściany.

— A niech mnie... — wydusił wreszcie, wydając z siebie przy okazji coś pomiędzy przeciągłym gwizdem i sapnięciem wyrażającym najwyższy szacunek. — Gdzie się pani do tej pory ukrywała? Proszę się lekko obrócić, o tak. Może pani włosy nie mają barwy imbirowego piwa, kotku, ale z pewnością panią wykorzystam! Idealnie pani pasuje do mojego wyobrażenia o Łowczyni Dianie, którą miałem namalować tak dla siebie. Chyba zabiorę się za to od razu, skoro już pani tu jest, a okładka może zaczekać.

Miała kruczoczarne włosy, śmietankową cerę, a jej oczy wydawały się fiołkowe dzięki ledwo zauważalnej warstwie cienia, jaki wokół nich nałożyła.

— Dla kogo pani ostatnio pracowała?

— Dla Terry'ego Kaufmanna.

— Do czego on zmierza, chce zagarnąć panią wyłącznie dla siebie?

— Zna go pan? — zapytała.

— Pewnie, że znam tego łazęgę — odparł żartobliwie. Natychmiast spuściła oczy i przygryzła dolną wargę. Następnie podniosła wzrok z większą pewnością siebie.

Zacierał ręce, tryskając energią, uradowany takim niezwykłym odkryciem.

— Cóż, wygląda na to, że może pani mieć najwyżej jeden defekt... Jaka ma pani figurę?

— Chyba dobrą — odparła skromnie.

— Lepiej, żebym sam to ocenił. Może pani pójść do przebieralni i powiesić swoje ubranie. Rzeczy, które ma pani założyć, już tam leżą. Złotą bransoletę proszę założyć na lewe ramię, a spódniczkę ze skóry lamparta niech pani upnie w pasie tak, żeby rozcięcie było z boku; ma być przez nie widać udo. Zwilżyła wargi. Jedną dłoń podniosła bezradnie do barku. — To wszystko?

— Wszystko. To ma być półakt. O co chodzi? Przecież pozowała pani wcześniej, prawda?

— Tak — rzekła z niewzruszoną miną i pewnie ruszyła do przebieralni.

Po jakichś pięciu minutach wyszła z niej z taką samą pewnością, tylko lekko odwracając twarz. Jej białe stopy bezgłośnie stąpały po podłodze.

— Pięknie! — zawołał z zapalem. — Jaka szkoda, że taka uroda nie trwa wiecznie. Za dwa lata nie będzie po niej śladu, gdy tylko zaczną panią włóczyć po przyjęciach. Jak się pani nazywa?

— Christine Bell — odparła.

— Dobrze, teraz pani pokażę, jak ma pani pozować. Może być ciężko utrzymać tę pozycję, ale będziemy robić częste przerwy. Proszę teraz uklęknąć, kierując się dokładnie w stronę płótna, jedną

nogę wysuwając do tyłu. Chcę, żeby odbiorcy wydawało się, że ona zaraz rzuci się na niego spośród ram, kiedy będzie patrzył. Prawe ramię zgięte przed panią, jakby pani coś chwyciła, o tak. Lewa ręka odgięta do tyłu ponad barkiem. O właśnie. *Tak!* Spokojnie teraz, spokojnie. Czai się pani na coś, zaraz wypuści pani strzałę. Łuk dołączę później; oczywiście nie dałaby pani rady pozować z naprężoną cięciwą zbyt długo; napięcie mięśni byłoby nie do zniesienia...

Gdy zaczął pracę, nie odzywał się więcej. Minęło już prawie trzydzieści minut, kiedy jęknęła cicho.

— W porządku, odpocznijmy pięć minut — rzucił niedbale. Wziął do ręki wymiętą paczkę papierosów, wyciągnął jednego

i rzucił lekko resztę w jej stronę, ku podwyższeniu.

Pozwoliła im upaść na podłogę. Jej twarz była blada ze wstydu, gdy się odwrócił i na nią spojrział.

— Czy rzeczywiście jest pani tak doświadczona, jak mi powiedziała?

— Ależ tak, ja...

Nim zdążyła dokończyć, rozległo się nagłe pukanie do drzwi.

— Pracuję, proszę przyjść później — zawołał.

Stukanie powtórzyło się. Zaklął pod nosem, zrobił krok w stronę drzwi. Dziewczyna na podwyższeniu uczyniła błagalny gest i rzekła pospiesznie:

— Panie Ferguson, ja tak bardzo potrzebuję pieniędzy, niech mi pan da szansę, proszę. To pewnie modelka z agencji... — Więc skąd *pani* się tu wzięła?

— Kręciłam się tam, próbując się załapać, ale nie było na to szans, bo mają bardzo długą listę oczekujących, a w międzyczasie usłyszałam, jak dzwonią, wysyłając ją tu, do pana, więc poszłam na dół, zadzwoniłam do niej z budki i zaczęłam udawać, że jestem z tej agencji. Powiedziałam, że zaszła pomyłka, że jednak nie będzie potrzebna i przyszłam zamiast niej, ale wygląda na to, że się o wszystkim dowiedziała. Nie zechce mnie pan chociaż wypróbować, czy się nie nadaję?

Błagalny wyraz jej twarzy zmiękczyłby kamień, a co dopiero podatne serce artysty, zawsze wrażliwe na piękno.

— Odpowiem za chwilę. — Wyglądało na to, że z trudem zachowuje powagę. — Proszę się ukryć — wyszeptał konspiracyjnie. — Dokonamy starożytnego sądu Parysa.

Podszedł do drzwi, uchylił je lekko, wglądając na zewnątrz i poddając nowo przybyłą uważnej, krytycznej ocenie. Raz odwrócił głowę i spojrzał na pierwszą kandydatkę, tulącą się do ściany i zakrywającą swe nagie piersi z nieświadomym — a może całkiem świadomym? — artyzmem.

Następnie sięgnął do kieszeni, wyciągnął zmięty banknot i podał go przez drzwi.

— Proszę, masz tu za fatygę, drogie dziecko. Nie będziesz mi potrzebna — rzekł burkliwie.

Wrócił do sztalugi, walcząc z szerokim uśmiechem, który czaił się w kącikach ust, jakby za wszelką cenę usiłował wydobyć się na twarz.

— *Ta* tygrysyca w dodatku potrafi walczyć — zachichotał. Uśmiech już bez skrepowania wykrzywił mu twarz. — No, Diano, do roboty!

I już znowu dzierżył w dłoni pędzel.

Corey, trzymając w dłoni szklanekę whisky z wodą sodową, w trakcie swej bezcelowej wędrówki po atelier zatrzymał się wreszcie przed sztalugą i palcami pomacał zarzucone na nią bezładnie grube płótno. — Co to? Najnowsze dzieło? Mogę zerknąć?

— Ani mi się waż. Nie lubię, by oglądano moje prace, zanim zostaną ukończone — odparł Ferguson przy akompaniamencie syku gazowanej wody.

— Mnie nie musisz się wstydzić, nie stanowią przecież dla ciebie żadnej konkurencji. Moja niewiedza na temat sztuki mogłaby...

Grube płótno powędrowało nad obraz, a on sam zastygł — jakby go wmurowało.

Ferguson odwrócił głowę, zdziwiony przedłużającą się ciszą.

— No, no, jeśli odbiera ci mowę, jeszcze nim zdążyłem skończyć — rzekł tonem pełnym nadziei — to pomyśl, co będzie, gdy już całość utrwale.

Corey niepewnie pokręcił głową. — Nie w tym rzecz; zastanawiam się. Jest coś znajomego w twarzy tej dziewczyny.

— No jasne, mogłem się tego spodziewać — rzekł ironicznie Ferguson. — Cóż, nie wydobędziesz ode mnie jej numeru telefonu, przynajmniej dopóki nie dokończę obrazu, jeśli o to ci...

— Nie, mówię poważnie. Poraziło mnie to jak prądem, gdy tylko uniosłem zasłonę. A teraz nie mogę sobie przypomnieć. To tak, jakbyś miał jakieś słowo na końcu języka, a jednak nie mógł go wypowiedzieć. *Gdzie* ja, u licha, wcześniej widziałem te lodowate oczy i te ciepłe, stworzone do pocałunków usta? Jak ona się nazywa?

— Christine Bell.

— Nazwisko nic mi nie mówi. Pozowała ci już kiedyś? Może widziałem ją na którejś z twoich okładek?

— Nie, jest całkiem nowa. Dopiero wprowadzam ją w ten fach, więc nie mogłeś jej widzieć.

— W jej oczach i ustach jest coś, co nie daje spokoju mej pamięci. Głowa i twarz jako całość czy też, na przykład, włosy, nie pozwalają jej umiejscowić w żadnym konkretnym miejscu ani sytuacji. Do diaska, Ferg, ja *wiem*, że widziałem już gdzieś tę dziewczynę!

Ferguson zarzucił z powrotem na obraz płótno ochronne, trochę jak zazdrosna kwoka broniąca swe kurczę, i obaj odeszli na bok. Jednak Corey wrócił do tego tematu później, krótko przed swoim wyjściem, jak gdyby twarz z obrazu przez cały czas zajmowała najpoczytniejsze miejsce w jego umyśle. — Nie będę mógł teraz zasnąć, dopóki tego nie wyjaśnię. Wyszedł, oglądając się za siebie niespokojnie na zakryte malowidło — do samego końca, dopóki nie zatrzasnęły się drzwi.

Skrzywiła się lekko, gdy Ferguson napinał cięciwę, mocując strzałę, i wkładał jej tak przygotowaną broń do upozowanych rąk. — Czyż to nie było straszne, to, jak wczoraj strzała wymknęła mi się z palców? Niemal boję się jej po tamtym dotknąć. Roześmiał się dobrodusznie.

— Nie było w tym nic strasznego, chociaż mogło być — gdybym mojej szyi nie skręcił akurat o jakieś pięć centymetrów od tego miejsca, gdzie jeszcze moment wcześniej się znajdowała! Ocaliło mnie to, że akurat pochyliłem się, by dopracować jakiś szczegół. Poczułem tylko pęd powietrza na karku, a gdy się obejrzałem, zoba-

czyłem strzałę dygoczącą w drewnianej ramie pomiędzy dwiema szybami przeszklonej ściany.

— Ale to mogło cię zabić, nieprawdaż? — zauważyła płacząco, otwierając szeroko oczy.

— Gdyby strzała trafiła w odpowiednie miejsce — w aortę albo w sam środek serca — pewnie tak. Ale nie trafiła, więc po co się tym przejmować?

— Ale czy nie byłoby lepiej, gdybym używała bezpiecznej strzały, z ochronną kulką zamiast grotu?

— Nie, nie, jestem stuprocentowym realistą i nic mi nie wychodzi, gdy tylko próbuję coś sfałszować, choćby coś tak trywialnego jak grot strzały. Nie bój się teraz. Prawdopodobieństwo trafienia we mnie tamtą strzałą wynosiło jeden do stu. To musiało być tak, że ty nieświadomie naciągałaś cięciwę coraz bardziej, w miarę, jak narastało zmęczenie wywołane pozowaniem, aż wreszcie, nie zdając sobie z tego sprawy, rozluźniłaś mięśnie, a to diabelstwo wyskoczyło! Pamiętaj tylko, żeby nie naciągać cięciwy do oporu. Wystarczy napiąć ją tak, by nie zwisała, tylko tworzyła prostą linię przy piórze strzały; na nic więcej nie musisz się silić.

Kiedy pierwsza część sesji dobiegła końca, a paczka papierosów przefrunęła między nimi podana tak, jak ręcznik przekazywany wśród gimnastyków, zauważyła:

— To dziwne, że zostałeś akurat malarzem.

— Dlaczego?

— Zawsze uważa się ich za ludzi delikatnych. Przynajmniej ja tak zawsze myślałam, aż do teraz.

— Ja *jestem* delikatny. Skąd to przekonanie, że jest inaczej? Mruknęła pod nosem tak cicho, że ledwo ją usłyszał: — Może teraz tak, ale nie zawsze byłeś.

Nieco później, kiedy znów klęczała na podwyższeniu z łukiem gotowym do strzału, rzekła:

— Ferguson, uszczęśliwiasz tylu ludzi. A czy kiedykolwiek... zadałeś komuś śmierć?

Jego pędzel zawisł w powietrzu, ale sam malarz nie odwrócił się, by na nią spojrzeć. Wpatrywał się w przestrzeń przed sobą, jak gdyby widział w niej coś ze swojej przeszłości.

— Owszem — odparł przytłumionym głosem. Jego głowa przechyliła się lekko. Po chwili wyprostował ją i wrócił do nanoszenia na obraz ostatnich poprawek. — Nie rozmawiaj ze mną, kiedy pracuję — upomniął ją spokojnie.

Nic już więcej nie powiedziała. W atelier nie rozległ się żaden dźwięk, prawie nic nie drgnęło. Poruszały się tylko dwie rzeczy: długi, wysmukły uchwyt pędzla w jego zręcznych palcach i cofający się, ostro zakończony, stalowy grot strzały, gdy przesuwała się powoli w tył do pozycji, w której cięciwa osiągnęła największe napięcie. Poruszyła się jeszcze i trzecia rzecz: cień zatańczył na ramieniu modelki, gdy biała skóra napięła się, a ścięgną pod nią stężały. Tylko te trzy rzeczy nie pozostawały w bezruchu w wibrującej, elektryzującej ciszy.

Raptem na drzwi atelier spadł grad serdecznych uderzeń, a chór głosów zaczął wołać:

— No, dalej, Ferg, wpuść nas. Czas na obowiązkową przerwę w pracy!

Grot strzały niepostrzeżenie przesunął się znów nieco do przodu, mijając punkt krytyczny, a napięcie cięciwy zaczęło powoli, stopniowo ustępować. Zrobiła tak dziwny, zmęczony wydech, że odwrócił się, by spytać:

— Pozwolisz? Przebolejesz to jakoś?

Wzruszyła ramionami i posłała mu lodowaty uśmiech: — Pewnie, tylko... szkoda, że nie dokończyliśmy, skoro była ku temu okazja.

Nigdy w życiu nie doświadczyła takich kłopotów podczas ubierania się. Drzwi przebieralni nie miały zamka, a gdy tylko ktoś odkrył, że się tam kryje, co chwila to ten, to ów próbował wtargnąć, żeby się z nią podroczyć. Nawet Ferguson dołączył swój głos do dobrodusznego rozgardiaszu.

— No, wyjdź, Diano, nie bądź taka skromna... jesteś wśród przyjaciół.

Gdy tylko krytyczny moment zamiany lamparciej skóry na kompletną nagość, a potem na własną bieliznę minął bezpiecznie, najgorsze miała za sobą. Dokonała tego, zapierając własnym ciałem drzwi, które otwierały się do wewnątrz, i w ten sposób zmagając się z poszczególnymi częściami garderoby. Co rusz drzwi obijały się

o nią, popychając ją lekko do przodu; wtedy napierała na nie płaskimi plecami i ubierała się dalej. Jeszcze nigdy wcześniej nie zakładała w ten sposób pończoch; to była czysta akrobatyka.

Sądząc po odgłosach dochodzących z atelier, nie zapowiadało się na krótką przyjacielską wizytę. Zanosiło się raczej na całonocną imprezę z rodzaju tych przypominających śniegową kulę, która tocząc się, gromadziła coraz większą liczbę ludzi. Już dwukrotnie wejściowe drzwi otwierały się z hukiem, wpuszczając nowe, wrzaskliwe głosy.

— A więc tu jesteście! Szukaliśmy was u Mario, a skoro was tam nie było...!

W pewnej chwili usłyszała Fergusona wydzierającego się, by przekrzyczeć tę całą zgraję wariatów i porozmawiać przez telefon:

— Halo? Tony? Przyślij mi tu parę beczek włoskiego czerwonego wina. Właśnie uderzyło tutaj to comiesięczne tornado. Tak, wiesz, o co chodzi.

Rozległy się piski protestu: — Facet zgarnia tyle szmalu za same okładki, a nas częstuje tylko włoskim sikaczem!

— Szampana! Szampana! Szampana albo wszyscy idziemy do domu.

— To idźcie! — I właśnie dlatego nie pójdziemy! Blee!

Ubrana, niepewnie pogładziła się po policzku i rozejrzała dokoła. Odwróciła się, uchyliła lekko drzwi i wyjrzała. Już było ich tam tyle co pszczoł w ulu — tak się przynajmniej wydawało, bo bez przerwy niespokojnie kręcili się po pokoju. Ktoś przyniósł jakiś strunowy instrument — jako cyganeria najwyraźniej nie chcieli muzyki płynącej z żadnych mechanicznych urządzeń — i z zapalem, choć bez wprawy, szarpał mocno za naprężone druty. Jakaś dziewczyna tańczyła na podwyższeniu dla modelek. Wypatrywała swojej szansy, a gdy tłum na drodze jej ucieczki z przebieralni do drzwi studia rozrzedził się nieco, wyslizgnęła się, ścięła róg obszernego pokoju i usiłowała wyjść przez nikogo niezauważona — a przynajmniej nie zatrzymywana. Taka próba skazana była jednak na niepowodzenie. Ktoś wykrzyknął:

— Patrzcie! Diana!

Zgodnie ruszyła w jej kierunku fala ludzi i porwała ją jak wodny wir. Nikt nie czuł się skrepowany faktem, że nie została oficjalnie przedstawiona.

— Jaka piękna! Och, popatrzcie tylko, jaka piękna!

— Drży jak przestraszona gazela. Ach, Sonyu, dlaczego ty już tak dla mnie nie drzysz?

— Ależ drzę, mój drogi, wciąż to robię, tylko że ze śmiechu, za każdym razem, gdy na ciebie spojrzę. Kiedy początkowe uniesienie minęło, burza ocen i pochwał wreszcie ucichła, udało jej się odciągnąć Fergusona na stronę.

— Muszę iść...

— Ależ dlaczego?

— Nie chcę, żeby ci wszyscy ludzie... żeby mnie widzieli. Nie jestem do tego przyzwyczajona.

Nie zrozumiał jej. — Chodzi ci o obraz? O to, że to pólakt?

Uznał jej zachowanie za tak ujmujące, że natychmiast powiedział o nim najgłośniej, jak potrafił, reszcie zgromadzenia. Oni też uznali to za coś czarującego; była tym, czego zawsze poszukiwali — niezwykłością. Znow zebrała się wokół niej grupa ludzi. Kobieta o imieniu Sonya chwyciła jej dłoń, ujęła opiekuńczo w swoje i chuchnęła, jak gdyby czciła w ten sposób nieuchwytny skarb, który tam ukryła. — Och, wciąż jest taka niewinna! — rzuciła tonem współczucia, pozbawionym wszelkiego sarkazmu. — Nic się nie martw, moja droga. Spędź tylko dziesięć minut w towarzystwie mojego Gila, a pozbędziesz się tej nieśmiałości.

— A ty się pozbyłaś? — zapytał ktoś z tłumu.

— Nie. — Wzruszyła ramionami. — To on spędził pięć minut ze mną i pozbył się swojej.

Wszyscy byli jej tak życzliwi. Ferguson odsunął płótno pod ścianę.

— Niech nikt nie patrzy na ten obraz. Niech nikt nawet nie ośmieli się o tym pomyśleć!

— Pewnie kończy się tuż pod barkami! — stwierdził jakiś głos.

— To tylko biust — dodała z zapalem Sonya. Po czym szybko chwytając ją za rękę, dodała: — Nie dosłownie, moja droga, nie tylko to się w tobie liczy.

Gdyby przyczyna jej niepokoju rzeczywiście była taka, jak im się wydawało, na pewno w końcu by go przewyciężyła, bo wszyscy tak szczerze się starali, by poczuła się swobodniej. Ponieważ jednak przyczyna była inna, niepokój pozostał. Uległa im w końcu na tyle, że przycupnęła pod odległą ścianą z kubkiem nietkniętego czerwonego wina po jednej stronie i żarliwym młodym mężczyzną, który recytował jej jakiś swój biały wiersz, po drugiej. Siedziała bez ruchu i tylko jej oczy nieustannie odmierzały odległość dzielącą ją od drzwi atelier. Raptem jej dłonie zacisnęły się spazmatycznie na podłodze, po czym na powrót się otworzyły.

— Ach! — krzyknął z radości autor białego wiersza. — To ten ostatni wers zrobił na tobie takie wrażenie. Jego piękno przeszło ci serce. Poznałem to po zmianie, jaka zaszła na twojej twarzy. Mylił się. Po drugiej stronie pokoju pojawił się właśnie Corey i stał dokładnie naprzeciwko niej, przy wejściu — trafiłby na przyjęcie, na każde przyjęcie, nawet takie, które miałyby miejsce na drugim końcu miasta, jak pies myśliwski zwabiony zapachem posoki, którą miał wytropić.

Sekundy znieruchomiały w powietrzu długie jak minuty, minuty jak kwadransy. Jej oczy, które szukały schronienia na podłodze, powoli, niechętnie powędrowały po wznoszącym się łuku sylwetki, która prawie natychmiast objawiła się tuż przed nią.

— Cii, daj mu skończyć — rzekła zduszonym głosem.

Biały wiersz młodego człowieka jeszcze nigdy nie został tak doceniony i nigdy już większego uznania miał nie zyskać.

Grube przeszywane podeszwy. Ciężkie, brązowe półbuty z dziurkowaną ślimacznicą na czubkach. Takie za dziesięć dolarów. Dalej długie nogi obleczone w spodnie z jakiejś tweedowej mieszanki z lekkim meszkiem.

Dłonie — one z czymś by się jej zdradziły, prawda? Wciąż nieruchome. Jedna zaczepiona kciukiem o boczną kieszeń marynarki, druga niedbale trzymająca papierosa tuż nad biodrem. Sygnet na małym palcu. Dostrzeżony mimowolnie złocisty połysk włosków na knykciach. Dwa guziki marynarki; górny — odpięty. Zaraz ujrzy twarz, zaraz ujrzy jego twarz, nie da się tego dłużej odwlec. Krawat,

kołnierzyk, podbródek. Wreszcie twarz. Zderzenie dwóch spojrzeń dokładnie w chwili, gdy wybrzmiały ostatnie głoski białego wiersza.

I raptem serdeczny głos Fergusona gdzieś tuż obok nich: — No, Diano, powiedz teraz, że on blefuje! Podniosła się powoli, uwięziona przez ścianę, opierając się o nią lekko plecami, by pomóc nieco własnym nogom.

— Nie mogę — skierowała swą odpowiedź do mówiącego, wcale na niego nie patrząc — dopóki nie powiesz mi, na czym ów blef polega... i dopóki mnie nie przedstawiś.

— Proszę bardzo! Masz swoją odpowiedź! — zadrwił Ferguson. Corey nie mógł oderwać od niej wzroku. Podobnie jak ona od

niego, jakby bała się spuścić go z oka choćby na ułamek sekundy. Powiedział w końcu:

— Żarty żartami, ale czy nie spotkałem cię już wcześniej? Gdyby mu nawet odpowiedziała, gdyby nawet chciała to zrobić, jej słowa pochłonałby głośny, serdeczny śmiech, który właśnie eksplodował w pobliżu: — Daj spokój! To podryw tak stary, że mole się wokół niego kręcą!

— Powinieneś trochę unowocześnić swą technikę. — To wszystko, na co stać Wielkiego Casanovę? Sonya krzyknęła tonem pouczenia z właściwą sobie szczerością: — Co? Nie wiedziałeś? Tak podrywa się dziewczęta w wyższych sferach. Pewna moja przyjaciółka, która się wśród nich znalazła, mi o tym powiedziała. Jednego wieczora usłyszała to aż trzy razy!

Corey śmiał się z siebie wraz z nimi; barki mu się trzęsły, mięśnie twarzy drżały, wydawał się tryskać humorem i tylko chłodne, zaaferowane oczy nie opuściły jej ani na chwilę.

Dziewczyna, którą przybiły do ściany swym przesywającym spojrzeniem, lekko pokręciła głową i uśmiechnęła się słabo, ze smutkiem, odprawiając go. Stała tak przez chwilę, aż wreszcie wypatrzyła drogę wyjścia z kąta, do którego była przyciśnięta, przeszła przez pokój, świadoma, że jego głowa obróciła się, by za nią popatrzeć, świadoma jego oczu, śledzących każdy jej bezcelowy krok.

Znalazła chwilowe schronienie po drugiej stronie atelier, ukryła się za niemal całym tłumem gości, który odgradzał ją od niego. Po

piętnastu minutach znowu ją przyuważył i zbliżył się z kubkiem czerwonego wina na przeprosiny. Zdawało się, że zeszywniała, gdy dostrzegła, co jej niesie, przełknęła głośno, jak gdyby właśnie w owej grzeczności, a nie w tym że się do mej zbliżał, leżało największe niebezpieczeństwo.

Dotarł do niej w końcu, wyciągnął rękę z winem, a źrenice jej oczu rozszerzyły się. Wyglądało to, jakby bała się je przyjąć i tak samo bała się odmówić, jakby w równym stopniu lękała się je wypić i odstawić na bok nietknięte - jak gdyby wszystko, cokolwiek by zrobiła, niosło z sobą karę błysku przypomnienia. Wzięła w końcu kubek i uniosła go do ust, po czym schowała za siebie, trzymając w jednej ręce bezpiecznie, poza zasięgiem wzroku.

Mrugając z zakłopotaniem, powiedział: — Już prawie sobie przypominałem, gdy podawałem ci wino, i nagle znów zapomnia-

— Męczysz mnie tym okrutnie, przestań! — napadła na niego z niespodziewaną ostrością.

Odwróciła się i skierowała do przebieralni.

Ruszył za nią nawet tam, odczekując z przyzwoitości jakieś dziesięć minut. Nie było w tym żadnej niestosowności, salka ta jako szatnia została bowiem udostępniona gościom.

Zaczęła z przejęciem pudrować sobie nos przed lustrem gdy tylko zobaczyła, jak zbliża się do drzwi. Czyżby teraz... Zakradł się do niej od tyłu. Widziała go w lustrze, choć nie dała tego poznać. Stając nieco z boku, przyłożył dłonie po obu stronach jej twarzy, jakby usiłował zakryć bujną masę ciemnych włosów która ją okalała. Stała nieruchomo, poddając się tym zabiegom ze wstrzymanym oddechem.

— Po co to wszystko?

Nie udawała, że wzięła ów gest za pieszczotę.

Westchnął, a jego dłonie opadły. Ostatecznie nie był w stanie schować w nich całej głowy.

Obróciła się częściowo w jego stronę, założyła przed sobą ręce boleśnie chwyciła się za ramiona, spuściła głowę. Taka poza nieodłącznie kojarzyła się z pokutą. Oczami wyobraźni widziała ostry niewielki nożyk Fergusona, używany do zeskrobywania farby który gdzieś tutaj leżał. Oczami wyobraźni widziała tłum ludzi obecnych

w przyległym pokoju. Może też przekątną linię stanowiącą drogę jej ucieczki z przebieralni do wyjścia z atelier.

Zapalił papierosa. Odezwał się, wypuszczając dym:

— Nie dręczyłoby mnie to tak bardzo, gdybym rzeczywiście cię już kiedyś nie spotkał.

— Nie spotkałeś — odparła ze smutkiem. Ze złowieszczym smutkiem, wciąż patrząc w podłogę.

— W końcu na to wpadnę. Doznam nagłego olśnienia w chwili, gdy będę się tego najmniej spodziewał. Może za pięć minut. Może późnym wieczorem, jeszcze przed końcem przyjęcia. A może za kilka dni. Zresztą jakie to ma znaczenie? Chyba trochę pobladłaś.

— Bo tu duszno... I to czerwone wino — nie jestem do niego przyzwyczajona, zwłaszcza na pusty żołądek, wiesz, jak to jest...

— Nic nie jadłaś? — rzekł z przesadną troską.

— Nie, pozowałam, wiesz, a potem oni się tu wdarli i od tamtej chwili nie mogę się wydostać. *On* zdaje się nie czuć głodu, aleja nie miałam nic w ustach od dziesiątej rano.

— To może wyjdziemy i zjemy teraz coś razem? Choć nie wydaje mi się, bym zrobił na tobie najlepsze wrażenie... — Właściwie czemu miałabym z tobą nie pójść? Nic przeciwko tobie nie mam. Z wdzięcznością przyjmę każdy poczęstunek. — Nie wspominaj o tym reszcie, bo zaraz coś przeciw nam uknują. — Nie — przyznała — lepiej będzie, jeśli wyjdziemy stąd niezauważeni...

— Masz wszystko? Ja miałem kapelusz gdzieś tutaj na tej hałdzie. Zobaczą, może uda mi się go jakoś znaleźć. Spotkajmy się przy drzwiach, stamtąd rzucimy się do ucieczki.

Ich chytre przygotowania do wyjścia nie pozostały jednak niezauważone, tak jak tego pragnęli. Sonya minęła ich przypadkiem, posapując i ciągnąc za sobą chmury papierosowego dymu jak sterana lokomotywa pnąca się na strome wzgórze.

— Uważaj na siebie w jego towarzystwie — rzuciła krótko przez ramię.

Kryjąca się w cieniu postać za jej plecami szepnęła z błyskiem w oczach: — Dopilnuję, żeby nie posunął się za daleko... Niech mi tylko powie, gdzie jego zdaniem mnie już spotkał.

— A w razie gdybyś jednak nie zdołała utrzymać wodzy, proszę... weź mój adres... jutro będziesz mogła wpaść i wypłakać się do woli na moim ramieniu. Nie ma to jak solidny potok łez, by zmyć z siebie brudy uwiedzenia. I poczęstuję cię moim doskonałym barszczem.

— Będę uważała.

Sonya nie żartowała, bynajmniej. — Nie w tym rzecz. Ostrzegam cię, bo on jest tak bezpośredni, że nikt nie bierze go na poważnie — dopóki nie jest po wszystkim. Znałam kiedyś taką dziewczynę... śmiała się z niego przez pół nocy na przyjęciu. Potem pozwoliła się tylko odprowadzić do drzwi swego mieszkania. A nazajutrz przyszła do mnie i połykała mój barszcz.

Odeszła, sapiąc znowu i wyrzucając w górę kłęby dymy. Miało się wrażenie, że za chwilę rozlegnie się gwizd pociągu.

Nie zdążyli zejść zewnętrznymi schodami na dół, gdy znowu zostali zatrzymani. Rozległ się za nimi szaleńczy tupot, jakby ścigało ich co najmniej pół tuzina ludzi. A był to tylko sam Ferguson.

— Słuchaj, czy nie możesz poszukać sobie ofiary gdzieś indziej? Potrzebuję jej, żeby dokończyć obraz.

— Czy ty jesteś panem jej duszy?

— Tak!

— W porządku, zabieram więc ze sobą wyłącznie ciało. Jej duszę odnajdziesz na płótnie.

Ferguson z determinacją poprawił krawat. — W takim razie idziemy z tym ciałem we dwójkę.

Nie zachowywali się wobec siebie agresywnie, ale obaj byli już w tak wojowniczych nastrojach, że linia graniczna pomiędzy szczeniackimi wybrykami a prawdziwą wrogością prawie przestała istnieć. Dziewczyna ukradkiem przesunęła dłonią po ramieniu Coreya, jakby prosiła go, by zostawił to jej, po czym odciągnęła Fergusona na bok.

— Idę z nim, *żeby się go pozbyć*. To najprostszy sposób. Spróbuj jakoś wygonić całą resztę; wrócę tu za jakiś czas i dokończymy obraz. Czy może za dużo dziś wypijeś?

— Tego czerwonego atramentu? To żaden alkohol.

— A zatem nie pij już więcej. Wrócę za godzinę — najdalej za półtorej. Dopilnuj, żeby nikogo już wtedy nie było. I czekaj na mnie.

— Czy to obietnica?

— To coś więcej niż obietnica; to zobowiązanie. Odwrócił się i bez słowa powlókł się flegmatycznie na górę. Corey nacisnął na włącznik w ścianie i pokój dzienny niewielkiego mieszkania rozświetlił się. — Pani przodem — rzekł z udawaną galanterią.

Zrobiła dwa znużone kroki, znalazła się w środku i pozwoliła oczom błąkać się po wnętrzu bez specjalnego zainteresowania.

— Co my tu właściwie robimy? — spytała ostro.

Rzucił swój kapelusz tam, gdzie nie było nic, na czym mógłby się zaczepić.

— Chyba nie łapiasz pewnych rzeczy w lot, co? — rzekł, zaciskając usta ze zniecierpliwienia. — Czy mam ci to wszystko wyrysować jak kredą na asfalcie?

W jednej chwili odwróciła twarz i usiłowała zakryć ją podniesionym barkiem. — Przestań. Nie cierpię takich porównań. — Przesunęła się w stronę ciemnego wejścia. — Co tam jest?

— Drugi pokój — odparł zrzędlawie. — Idź i zobacz sama, jak chcesz. Ale ostrzegam cię, że tylko wszystko przyspieszasz. Powinniśmy się tam znaleźć dopiero za jakieś dziesięć minut.

Pokój zajaśniał, gdy znikła mu z oczu. Znow zapadła w nim ciemność, a ona wróciła na swe poprzednie miejsce. On tymczasem mieszał porcję whisky na dnie szklanki.

— Nie jesteś przerażona? — zaszydził. — Przecież to była sypialnia!

Z jej gardła wydobyło się pogardliwe prychnięcie.

— To ty wydajesz się przerażony. Co teraz zamierzasz, dodać sobie odwagi kieliszkiem alkoholu?

— Alkohol przyda się za kilka minut — jeśli starczy ci tchu, by poprosić.

Podeszła do biurka, otworzyła jedną szufladę, drugą.

— Biurko — rzucił zjadliwie. — No wiesz: cztery nogi, mebel, przy którym się pisze. — Odstawił szklankę. — Wyjašnjmy coś sobie, tak dla zasady. Co *twoim* zdaniem miało się wydarzyć, kiedy

zgodziłaś się przyjść tu ze mną na górę? Byłaś całkiem chętna, gdy rzuciłem takie hasło.

— Zgodziłam się, bo wcześniej *ty* byłeś zbyt chętny, by iść *do mnie*. Moja chęć wygrała po prostu z twoją chęcią, to wszystko.

— A co takiego jest u ciebie, że tak bardzo chcesz to ukryć? Otworzyła trzecią szufladę i też ją zamknęła. — Sam zgadnij.

Moja kochana matka-staruszka. Półroczne dziecko, które utrzymuję za pieniądze z pozwania. A może wstydzę się tylko pękniętej umywalki...

Rozluźnił kołnierzyk tak gwałtownie, że odleciał mu guzik.

— Do diabła z twym pochodzeniem i przeszłością, zaraz pokażę ci przyszłość. Łóżko czeka — no już! Otworzyła czwartą szufladę, spojrzała w dół i uśmiechnęła się lekko.

— Wiedziałam, że musi tu gdzieś być. Widziałam pudełko z nabojami w szufladzie komody.

Wyjęła automatyczny pistolet.

Zbliżał się do niej z przekrzywionym krawatem. — Odłóż to! Chcesz spowodować wypadek?

— Ja nie powoduję wypadków — mruknęła spokojnie. Położyła broń na płaskiej dłoni, dotknęła kciukiem spustu. — Jest naładowany, ty kretynko!

— Więc nie próbuj mi go odebrać; one zawsze przy tym wypalają. Teraz jest też odbezpieczony.

Położyła pistolet przed sobą na biurku, nie zdejmując palca z języczka spustu. Corey zaś był w takim stanie, że nie zrobiłyby na nim wrażenia nawet wybuchy artylerii przeciwlotniczej. Chwycił ją, oplótł ciasno ramionami i zakrył jej twarz własną. Jej dłoń pozostawała w bezruchu na biurku, przez cały czas zaczepiona o broń. Jego głowa cofnęła się w końcu — musiał zaczerpnąć powietrza — i odsłoniła jej twarz. Przesunęła po ustach wolną ręką z grymasem, który na pewno nie podbudował ego Coreya.

— Nie całuj mnie, głupcze, nie przyszedłam tu dla miłości.

— A po co przyszedłaś?

— Po nic, co mógłbyś mi dać, nie masz nic, czego bym pragnęła, nie masz niczego... co by się dla mnie mogło liczyć.

Jej zachowanie sprawiło, że skurczył się jak robaczek świętojański w świetle płomienia zapalki. Wcisnął ręce w kieszenie z taką siłą, jakby chciał je tam wepchnąć aż po łokcie. Pistolet ześlizgnął się z biurka i zadyndał na jej kciuku; ruszyła z nim tak, niedbałym krokiem, do wyjściowych drzwi.

— Wracaj tu z nim. Gdzie chcesz z tym iść?

— Tylko do drzwi. Nic o tobie nie wiem. Chcę mieć tylko pewność, że się wydostanę. Zostawię go przy progu.

Jego głos drżał od samczej furii: — A idź, skoro tak bardzo chcesz! Wcale nie jestem taki napalony! Usłyszał, jak otworzyły się drzwi, a gdy wyjrzał szybko na niewielki przedpokój, pistolet leżał i zdawał się drwić z niego na progu. Słyszał ją na schodach — szła zdecydowanie, ale bez pośpiechu. Nawet w ten sposób nie dane było mu poprawić zrujnowanej samooceny.

— Jeszcze sobie przypomnę, kim jesteś! — zawołał za nią gniewnie.

Jej odpowiedź dobiegła z piętra niżej: — Lepiej bądź wdzięczny, że jeszcze tego nie wiesz.

Huk, z jakim zatrzasnął drzwi, wstrząsnął domem jak wybuch pocisku. Wziął do ręki pustą szklanekę po whisky i roztrzaskał ją o przeciwległą ścianę. Podniósł glinianą popielniczkę i ją też rozbił.

Wyzwał ją od najgorszych, tylko nie od morderczyń; to akurat nie przyszło mu do głowy.

Nazwał ją tyloma imionami, tylko nie tym jednym właściwym.

Niecałą godzinę później światło rozbłysło w ciemnej jak piekło sypialni z nagłością wybuchu, jak lampa błyskowa fotografa, ukazując Coreya w piżamie w paski, leżącego w barłogu pomiętej pościeli z ręką sięgającą do włącznika. Zmrużył oczy, nie mogąc znieść takiej jasności po wielu godzinach leżenia w kompletnym mroku. Jego włosy stanowiły krzaczastą plataninę, która świadczyła o częstym pocieraniu palcami. Stos petów piętrzył się w stojącej tuż obok popielniczce, do której dołożył jeszcze jeden niedopałek, dżgając nim triumfalnie, bo ten papieros przyniósł wreszcie pożądany rezultat.

— Do diabła, wiedziałem, że gdzieś ja ją już wcześniej...! — wymamrotał bełkotliwie.

Zegar wskazywał 3:20.

Gdy tylko konsekwencje własnego odkrycia dotarły w pełni do jego świadomości, jego oczy rozwarły się najszerzej, jak mogły, a nogi opuściły się na podłogę.

— To ta dziewczyna, która była wtedy z Blissem! Zabiła już raz człowieka! Muszę ostrzec go zaraz, żeby na siebie uważał!

Wybiegł bosy na zewnątrz i wrócił, niosąc z korytarza książkę telefoniczną; usiadł z nią na łóżku, przebiegł palcem w dół kolumny nazwisk na F i zatrzymał się przy Fergusonie.

Wtedy spojrział na zegarek raz jeszcze. 3:23.

— Pomyśli, że mi odbiło — mruknął niezdecydowanie. — Wystarczy, jak zadzwonię zaraz z rana.

Ciekawe, czy to naprawdę *jest* ta sama dziewczyna. Tamta miała włosy żółte jak jaskier; ta ma czarne jak u kruka.

Nagle zeszytniał, podejmując swe postanowienie na nowo:

— Nigdy w życiu nie myliłem się w takich sprawach. Muszę mu powiedzieć, nieważne, że jest środek nocy! Odrzucił książkę na bok, znowu na bosaka odniósł ją na korytarz i zaczął wykრęcać numer atelier Ferguson. Wolny sygnał po drugiej stronie linii brzmiał bez końca; nikt nie odbierał. Odwiesił w końcu słuchawkę i jeszcze kilka razy potarł zmierzwione włosy. Przyjęcie musiało się już skończyć. Może Ferguson nie nocował w swym studiu. Ależ nocował, na pewno; Corey przypomniał sobie, że widział w jednym z pokoi łóżko. Cóż, pewnie poszedł gdzieś z całą tą zgrają. Z przekazaniem wiadomości trzeba będzie poczekać do rana. Wrócił do łóżka i zgasił światło.

Dwie minuty później zapalił je znowu i zaczął walczyć ze spodniami.

— Właściwie nie wiem, czemu to robię — zaczął dyskusję z samym sobą — ale nie zasnę, dopóki się z nim nie skontaktuję.

Zarzucił na ramiona marynarkę, potem ciągnąc za oba końce krawata, zawiązał go byle jak, wreszcie zamknął za sobą drzwi. Zszedł po schodach, wsiadł do taksówki, podał adres Ferguson

Musiał przyznać, że nie istniało żadne racjonalne wytłumaczenie takiego zachowania. Stanie się pośmiewiskiem dla wszystkich swoich znajomych; ci najzyczliwsi będą mówili, że spił się i dopadło go niezbyt groźne delirium. Uganiał się w środku nocy za facetem, żeby mu powiedzieć: „Uważaj, twoja modelka zamierza cię zabić!” Jakaś irracjonalna siła jednak całkowicie nim zawładnęła, sam nie potrafił powiedzieć, co to było. Przeczucie, obawa, wrażenie czyhającego niebezpieczeństwa. Jeśli Fergusona nie będzie, wsunie mu kartkę pod drzwi: „To dziewczyna, która była z Blissem tamtej nocy, kiedy zginął, właśnie to sobie przypomniałem. Uważaj na nią”. Przynajmniej stworzy facetowi szansę do obrony.

Stukanie do drzwi atelier, gdy wreszcie do niego dotarł, odniosło taki sam skutek jak telefonowanie. Dostrzegł jednak coś, co potwierdziło jego obawy: Ferguson nie tylko tu pracował, ale i mieszkał. Było to coś małego, coś kruchego — pusta butelka na mleko stojąca obok drzwi.

To dopełniło miary. Butelek na mleko nie wystawia się przed wyjściem z domu, ale po powrocie. On tam był, był tam prawie na pewno. Przeczucie nadciągającego nieszczęścia zawładnęło Core-yem całkowicie. Zszedł na dół i obudził dozorcę, nie bacząc na gniew, z jakim ten go powitał.

— Tak, nocuje zwykle w tym atelier. Ale może wyszedł. Ci artyści nie śpią nieraz całymi nocami. O co tyle hałasu?

— Niech pan otworzy te drzwi — wysapał Corey głosem nie znoszącym sprzeciwu. — Jeśli się mylę, wezmę odpowiedzialność na siebie. Ale nie ruszę się stąd, dopóki nie pójdzie pan ze mną i nie otworzy tych drzwi, rozumiano?

Gderając, dozorca ruszył przodem po schodach, zabrzączał kluczami i całkiem niepotrzebnie zapukał w drzwi, nim wsunął jeden z całego ich pęku w zamek. Corey wiedział, gdzie znajduje się włącznik lamp, sięgnął do niego wierzchem dłoni i rozświetlił pokój. Obaj stali tam, wpatrując się w długie pasmo światła ciągnące się na przeciwległy koniec pokoju, gdzie czarne szyby świetlika tworzyły skos, a za nimi zaczynała się ciemność.

Corey wydukał dziwnie zawiedzionym, stłumionym głosem tylko jedno słowo: — Wiedziałem.

Ferguson leżał twarzą w dół przed sztalugą. Morderczy stalowy grot sterczał mu z pleców tuż nad sercem, wypchnięty pod wpływem siły upadku, przy którym strzała wbiła się głębiej. Z przodu kiedy go odwrócili, ujrzeli pierzastą końcówkę, połamaną przy tym samym upadku, zwisającą prostopadle do reszty drzewca. Musiał stać twarzą dokładnie na wprost podwyższenia dla modelek gdy strzała frunęła w jego kierunku, skoro dostał w samo serce

Nad nim górowała Łowczyni Diana, Diana-morderczyni - teraz bez twarzy. Rysy, które tak dręczyły Coreya, znikły. Ich miejsce zajęła owalna dziura wycięta nożem do skrobania farby. Łuk z obwi- dla modelek^{^' ^ M 2 rogÓW} Peszenia

Corey dumiał: - Nie zdążyłem na czas, ubiegła mnie. Kazał jej pewnie pozować po zmierzchu, żeby skończyć obraz

- Co to pańskim zdaniem było? - sapnął ledwo słyszalnie dozorca, kiedy już wykonali telefon i stali w otwartych drzwiach, cze-mknęła? ' ~ * niech^{^ ci^ciwe 1 s^}zała jej się wy-

- Nie - mruknął Corey. - Nie. To ożyła Łowczyni Diana.

Rozdział 3

Po śmierci Fergusona

I wtedy podeszła tutaj, o tak...

Corey rozgrzewał się, odgrywając całą scenę jak dobry aktor prezentujący ulubioną rolę przed sprzyjającą mu publicznością. Papieros zwisający z kącika ust podrygiwał z ożywieniem za każdym razem, gdy mówił. Był bez marynarki, w nie zapiętej kamizelce. Kosmyk włosów opadł mu na czoło w ferworze akcji.

— Proszę dalej — skinął głową Wanger.

— Raptem zaczyna otwierać szuflady, jedną po drugiej, ciach-ciach-ciach. Do diaska, w ogóle się nie połapałem. Myślałem, że gra na zwłokę, że chce po prostu zająć czymś ręce, no wie pan, że próbuje wypełnić czymś czas przed tym, po co tu naprawdę przyszła. Aż wreszcie otwiera tę ostatnią i wyjmuje...

— Chwila, moment... — Wanger wyskoczył z fotela i w pośpiechu pokazał mu, żeby się powstrzymał.

— Proszę nie ruszać. Może uda nam się jeszcze pobrać jej odciski palców. Dotykał go pan po tym, jak wzięła go do ręki?

Corey stał z ręką zawieszoną w powietrzu jak szpon. — Tylko wkładając go z powrotem do szuflady. Ale nie skończyłem jeszcze opowiadać, co zrobiła z nim potem...

— W porządku, jednak najpierw go zapakuję; chcę, by go zbadano — za pozwoleniem.

— Proszę bardzo.

Stał z boku, gdy Wanger wyjął chusteczkę, zanurzył ją w szufladzie i przeniósł zawiniątko do swojej kieszeni. — Dopilnuję, by go pan odzyskał — obiecał Coreyowi.

— Nie ma pośpiechu. Najbardziej cieszy mnie to, że mogę okazać się pomocny. — Przedstawienie potoczyło się dalej. — A więc za-

czyna się tym bawić. Ja podchodzę, przyciskam swe usta do jej warg, a ona... — Znow wyglądał na rozwścieczonego do granic wytrzymałości, mimo że była to już tylko relacja. — ...a na nią to w ogóle nie działa.

Wanger pokiwał głową w przyływie męskiej solidarności. — Nie zmięła.

— Nie zmięła. Mówi: „Nie chcę tu żadnej miłości, nie chcę pocałunków”, i rusza do drzwi, cały czas z pistoletem w dłoni. Rzucam się za nią, patrzę i widzę, że zostawiła go na progu, a sama jest już w połowie schodów. Zawołałem więc, że przypomnę sobie, kim jest, choćby mi to miało zająć resztę nocy, a ona na to: „Lepiej bądź wdzięczny, że jeszcze tego nie wiesz”.

Twarz pobieliała mu wokół ust ze świętego oburzenia.

— Co za mała ladacznica, chętnie rozkwaślibym jej nos! Jestem w stanie jakoś to przeboleć, że babka daje mi kosza, o ile sama jest tym faktem przerażona. Ale też nic nie wkurza mnie bardziej niż kosz od baby, która ma z tego powodu radochę! Wanger doskonale go rozumiał. Został zwiedziony z powodów tylko jej znanych przez małą morderczynię i oszustkę, a potem pozbawiony przyjemności, której miał przecież pełne prawo oczekiwać. Gdyby w całej tej sprawie liczyły się osobiste odczucia Wan-gera — a się *nie* liczyły — to mógłby powiedzieć, że lubi tego faceta.

Zabębnił palcami o bok fotela. — Moim zdaniem istnieją trzy możliwe wytłumaczenia, dlaczego przybyła tu z panem, a dopiero potem poszła i zabiła człowieka, o którego przez cały czas jej chodziło. Po pierwsze: zamierzała pozbyć się pana, zanim zdążyłby pan ostrzec Fergusona i pokrzyżować jej plany. Gdy tu dotarliście, pan wciąż nie pamiętał, kim jest, więc zmieniła zdanie. Wyciągnęła pana z przyjęcia i to było najważniejsze. Doszła do wniosku, że wystarczy jej czasu, by wrócić tam i dokończyć dzieła, zanim pan wreszcie dozna olśnienia, gdzie ją już wcześniej widział. Po drugie: przyszła tu z panem tylko po to, by zdobyć broń i wykorzystać ją do zamordowania Fergusona... Nie, to się nie trzyma kupy. Mój niózg pracuje chyba tylko na pół gwizdka. Zostawiła przecież broń na progu. No cóż, trzecie wytłumaczenie jest takie, że nie dawał jej pan spokoju na przyjęciu i obawiała się, że zostanie pan, gdy inni już

pójdą, psując tym samym jej szyki. Wybrała więc najprostszy sposób, by pana wyeliminować. Rozbudziła w panu apetyt, a potem zostawiła na lodzie.

Corey wyglądał tak, jakby ta ostatnia uwaga nie wpłynęła najlepiej na jego poczucie własnej wartości, ale jakoś to przełknął.

— Myślę, że jeśli połączymy pierwsze wytłumaczenie z trzecim, będziemy najbliżej prawdy — ciągnął Wanger, szykując się do wyjścia. — Przyszła tu z panem, bo nie mogła się od pana uwolnić. Zamierzała posłać panu kulkę, gdyby przypomniał pan sobie, kim jest, albo oszczędzić, gdyby jednak pan sobie tego nie uświadomił. Ponieważ miało miejsce to drugie, darowała panu... Może pan przyjść do nas jutro? Chcę jeszcze raz to wszystko omówić. Niech pan zapyta o mnie, moje nazwisko Wanger. Świtało już, gdy dotarł na komisariat, ale ten świt wcale nie wydał mu się ładny ani w samym komisariacie, ani wcześniej. Był zmęczony, a o tej porze ludzka witalność osiąga najniższy poziom. Wszedł do pustego gabinetu swego przełożonego, opadł na fotel za biurkiem i opuścił głowę na rozstawione szeroko palce.

— Że też ta kobieta w ogóle musiała przyjść na świat! — jęknął cicho.

Po chwili podniósł głowę, wyjął pistolet przyniesiony od Coreya, włożył go do szarej koperty, zakleił, nabazgrał prawie nieczytelnie: „Zobaczcie, czy uda wam się tutaj coś znaleźć. Wanger, ...sty Post-runek”. Podniósł słuchawkę telefonu. — Przyślijcie mi tu gońca.

— O tej porze żadnego jeszcze nie ma — odparł sierżant dyżurny.

— Spróbujcie kogoś znaleźć. Obojętnie kogo.

Młodziak, który zjawił się po jakichś dziesięciu minutach, był taki zielony, że zmyliłby pasącą się krowę. Wanger mruknął: — Skąd oni cię wystrasnęli?

Powiedział to jednak prawie bezgłośnie. Ostatecznie każdy ma uczucia, które łatwo zranić.

— Co tak długo?

— Byłem najpierw w kilku innych pokojach. Gubię się jeszcze w tym budynku.

Wanger patrzył na niego zamglonym wzrokiem.

— Weź to i zanieś w moim imieniu gdzie trzeba. To pistolet. Będą wiedzieli, co z nim zrobić. —

Nagle, tknięty obawą, dodał: — Myślisz, że uda ci się tam trafić?

Młodziak rozpromienił się dumnie. — Jasna sprawa. Posyłano mnie tam już dwa razy, odkąd zostałem tu przydzielony.

Odwrócił się, podszedł do drzwi z niewłaściwej strony, tam, gdzie nie było klamki, tylko zawiasy, i przyjrzał się ich krawędzi, jakby splełano mu nieprzyjemnego figla. Wreszcie zrozumiał, w czym rzecz, znalazł klamkę, chwycił ją, lecz nadal nie mógł się wydostać.

— Przesuń stopy — pouczył go Wanger z anielską cierpliwością. — To one blokują drzwi.

Był zbyt zmęczony, by się złościć.

Nadal jest pan pewny wszystkiego, co powiedział mi tamtej nocy?

Dwie doby później Wanger rozpoczął swe drugie, bardziej dokładne przesłuchanie Coreya.

— Absolutnie. Miała te same oczy, usta, wszystko właściwie, prócz włosów, co tamta dziewczyna w czerni obecna na przyjęciu zaręczynowym u Marjorie Elliot dwa lata temu, gdy Bliss stracił życie.

Mogę przysiąc, że to ta sama osoba!

— To, co pan mówi, jest dla mnie ważne z dwóch powodów; nie tylko ze względu na istotę takiego oświadczenia samą w sobie, ale i dlatego, że potwierdziłoby to pewną teorię, która nie daje mi spokoju, odkąd zacząłem prowadzić te sprawy: że wszystkie te kobiety to jedna i ta sama osoba. Teorię, winienem dodać, w której słuszność nikt poza mną nie wierzy.

Corey zacisnął pięść i uderzył nią w blat stolika. — Gdybym tylko domyślił się szybciej, kogo przypomina mi ten portret! Ale nie zdążyłem na czas.

— Bez wątplenia uratowałby mu pan życie, dokonując swego odkrycia choćby o godzinę wcześniej. Jednak los działał na jej korzyść. A pan tylko przyspieszył wszystko, sprawił, że postanowiła działać szybciej — poprzez to swoje ciągłe powtarzanie, że gdzieś już ją pan widział. Rozpoznała pana i uświadomiła sobie zagrożenie, zdała sobie sprawę, że ma ograniczony czas. I zrobiła swoje — być może zaledwie na kilka minut przed pańskim pierwszym

ostrzegawczym telefonem! Zmarł o trzeciej dwadzieścia jeden nad ranem; jego zegarek stanął na skutek upadku.

— A ja dzwoniłem o 3:22 albo 3:23; spojrzałem akurat na zegarek w swoim pokoju! — Corey wykrzywił twarz w cierpieniu. — Strzała nie przestała pewnie jeszcze wibrować w jego sercu, nie zdążył pewnie nawet zwalić się na podłogę!

— Proszę nie brać tego tak do siebie — próbował uspokoić go detektyw. — Już jest po wszystkim, już jest na to za późno. Teraz najistotniejsze jest to, że może pan być dla mnie bezcenny; jest pan tym, czego tak bardzo brakowało mi przez cały czas, aż wreszcie to dostałem. Nareszcie mam powiązanie pomiędzy dwoma z tych czterech mężczyzn. Nie znał pan Mitchella, prawda?

— Nie, nie znałem. — A Morana?

— Też nie.

— Ale znał pan przynajmniej tych dwóch, jeśli nawet nie pozostałych. Jest pan naszym pierwszym takim świadkiem — świadkiem, który ma związek z dwoma epizodami, stanowi między nimi pomost. Czy pan rozumie, co to może dla nas znaczyć?

Corey popatrzył z powątpiewaniem. — Tylko że ja nie znałem ich dwóch jednocześnie. Poznałem Fergusona dopiero jakieś osiem miesięcy temu, na jakimś koktajlu. Bliss już od dawna wtedy nie żył. Wanger zwiesił głowę. — A zatem nawet mając pana, będziemy mogli dojść do powiązania między tymi dwoma tylko na podstawie pogłosek, niejako z drugiej ręki.

— Obawiam się, że tak. Nawet Bliss'a znałem tylko przez ostatni rok, góra dwa lata jego życia. Tymczasem drogi jego i Fergusona zdążyły się już wtedy rozejść, obaj krążyli po zupełnie różnych orbitach. — Coś ich poróżniło? — spytał czujnie Wanger.

— Nie. Żyli po prostu w dwóch różnych światach, to wszystko. Mieli odmienne zawody, stąd też odmienne zainteresowania; jeden żył giełdą, drugi sztuką. Zabrakło im punktów styčných, gdy zaczęli tężeć każdy w swojej skorupie.

— Czy któryś z nich kiedykolwiek wymienił nazwisko Mitchella?

— Nie, bynajmniej sobie nie przypominam.

— AMorana?

— Nie.

— Cóż, Mitchell i Moran na pewno jakoś się z nimi łączą — twierdził z uporem Wanger. — Ale zostawmy ich na razie i zajmijmy się tymi dwoma, o których coś wiemy. Oczekuję od pana jednego: chcę, żeby poszperał pan w pamięci i przypomniał sobie wszystko, co tylko jeden z nich powiedział kiedykolwiek o drugim — Bliss o Fergusonie, a Ferguson o Blissie — i żeby spróbował pan sobie uprzytomnić, z czym takie wzmianki się wiązały, jakich tematów dotyczyły: kobiet, koni, pieniędzy, czegokolwiek. Czy wyraziłem się jasno? Według mojej teorii istnieje gdzieś jakiś punkt, w którym krzyżują się ścieżki życia tych czterech mężczyzn — może zresztą nie tylko ich czterech. Ale ponieważ o innych nic mi na razie nie wiadomo, będę musiał ograniczyć się do tych czterech, o których wiem. Kiedy już uda mi się znaleźć taki punkt, może zdołam wytropić tę kobietę gdzieś w *przyszłości*, skoro nie zdołałem jej wysledzić, cofając się od zbrodni w *przeszłość*.

Wanger do przełożonego:

— Prawdę mówiąc, aby oczyścić horyzont, postanowiłem zrobić coś, co pewnie wyda się panu samobójstwem, czynem prawdopodobnie fatalnym w skutkach. Zamierzam całkowicie wykluczyć tę kobietę ze swojej dedukcji, zapomnieć o niej na jakiś czas, jakby w ogóle nie istniała. Zresztą ona tylko zaciemnia nam obraz. Zamierzam skoncentrować się na tych czterech mężczyznach. Gdy tylko uda mi się znaleźć między nimi powiązanie, ona wróci niejako automatycznie, prawdopodobnie zdradzając nawet swój motyw. Przełożony z powątpiewaniem pokręcił głową. — To kompletnie kłóci się z naszymi technikami śledztwa, delikatnie mówiąc. Kobieta popełnia morderstwa, a ty zamiast skupić się na niej, koncentrujesz się na ofiarach.

— To akt samoobrony. Ona będzie wodzić nas za nos bez końca, tak jak robi to już od dobrych dwóch lat. Jeśli nie można się gdzieś dostać jednymi drzwiami, trzeba zawsze próbować innymi. Jeśli nawet nie będą prowadziły do tego samego pomieszczenia, to przynajmniej będzie się już w domu.

— Cóż, próbuj się tam dostać choćby i przez komin — jęknął żałośnie przełożony. — Prasa nie narobiła jeszcze wokół tego smrodu chyba tylko dlatego, że w całym wydziale nikt poza tobą nie wierzy, że te cztery sprawy są ze sobą w jakikolwiek sposób powiązane. Pewnie łatwiej nam pogodzić się z faktem, iż zostaliśmy przechytzeni przez czterech różnych przestępców niż przez jednego cztery razy z rzędu.

Wanger schodził po schodach na **komisariacie**, gdy wpadł na wspinającego się po nich na górę Coreya. Corey chwycił go za ramię. — Niech pan poczeka, właśnie pana szukam.

— Co pana tu sprowadza o tak nieludzkiej godzinie? Akurat miałem iść do domu.

— Grałem do tej pory w karty i niech pan posłucha, pamięta pan o tych wzmiankach, które kazał mi pan sobie przypomnieć — Blissa na temat Fergusona i vice versa? Otóż coś mi właśnie przyszło do głowy, dlatego rzuciłem grę i przyszedłem tutaj.

— Doskonale. Proszę wejść i posłuchajmy, co pan odkrył. Razem ruszyli po schodach na górę.

Wanger zaprowadził go do wolnego pokoju na tyłach i zapalił światło.

— I tak zawsze nieźle mi się obrywa, nieważne, czy wracam do domu za późno, czy za wcześnie — wyznał ze smutkiem — więc półgodzinne spóźnienie nie robi wielkiej różnicy.

— Nie wiem, czy o to właśnie panu chodziło, ale w końcu na coś wpadłem. Chciałem to panu przekazać od razu, żebym znowu nie zapomniał. Pewne skojarzenia nasunęły mi jedno wspomnienie. Graliśmy dziś wieczór w pokera i ktoś, zgarniając ze stołu stos żetonów, rzucił: „I tak ich do grobu ze sobą nie zabiorę”. To przywiodło mi na myśl Fergusona. Którejś nocy graliśmy u niego w atelier i on, zgarniając ze stołu pulę, rzucił podobną uwagę. *To* z kolei przypomniało mi o czymś, co mówił wtedy o Kenie Blissie — i o to chyba chodziło panu podczas tamtej naszej rozmowy. Widzi pan, jak to działa? Ciąg skojarzeń sytuacji, o których już dawno zapomniałem... On powiedział: „Już dawno karta mi tak nie szła, chyba od czasów, gdy należałem do Biesów Piątkowej Nocy”. Spytałem: „Co za Biesy Piątkowej Nocy?” Odparł: „Ken Bliss, ja i jeszcze paru innych utworzyliśmy swego rodzaju nieformalny klub karciany. Zad-

nych opłat, składek ani takich tam; spotykaliśmy się po prostu w piątki — w dniu wypłaty dla większości z nas — na sesję pokera za każdym razem u kogoś innego. Potem pakowaliśmy się wszyscy do samochodu, który posiadaliśmy na spółkę, i szaleliśmy po mieście, robiąc piekło". Tylko tyle zdążył mi powiedzieć, nim znów rozdano karty. I jak, jest to dla pana cokolwiek warte?

Wanger klepnął go po łopacie z taką siłą, że Corey musiał przytrzymać się stołu, by zachować równowagę. — To w tej sprawie pierwszy wielki przełom!

Wanger do przełożonego:

— Należeli razem do karcianego klubu, Bliss i Ferguson To jeszcze niewiele, prawda? Niemniej jednak to jest to, o co mi chodziło więc nie narzekam: punkt, w których ścieżki ich życia się krzyżują!

— Co ci to daje?

— Pojedyncza nitka nie znaczy zbyt wiele. Dwie nici ze sobą splecione to już coś więcej. Gdyby połączyć je z jeszcze kilkoma nićmi, skrzyżowanymi w tym samym miejscu, uzyska się coś, co utrzyma już pewien ciężar. W ten właśnie sposób wypłata się sieci. Teraz czeka mnie mnóstwo żmudnej roboty. Muszę poznać datę, a przynajmniej rok, w którym zawiązał się ten nieformalny klub Muszę dowiedzieć się, kto do niego należał, poza Blissem i Fergusonem Muszę poznać dokładne daty piątków, w które się spotykali. Gdy już je będę miał, muszę sprawdzić je dokładnie i spróbować się dowiedzieć, co właściwie robili, gdy, jak to określił Ferguson, szaleli półprzytomni po mieście. Mogę coś na ten temat znaleźć w protokołach jakiegoś posterunku na peryferiach. Potem, gdy już to wszystko będę wiedział, mogę zacząć szukać tej kobiety. Będę miał jakiś punkt zaczepienia, nie będę wisiał w próżni, tak jak teraz. — A tak poza tym — rzucił przełożony tonem współczucia, lecz bynajmniej wcale nie poważnie — nie masz praktycznie nic innego do roboty. Więc jak zamierzasz spędzać swój wolny czas? Dziesięć dni później:

— Masz już coś konkretnego?

— Taaa, chociaż posuwam się w ślimaczym tempie. Mam rok zawiązania klubu i nazwiska dwóch pozostałych członków Biesów

Piątkowej Nocy. Ale podczas dochodzenia pojawiła się biała plama, która w ogóle mi się nie podoba. Jeśli wkrótce jej nie zapełnię, cała ta linia śledztwa może wziąć w łeb.

— O co chodzi?

— O Mitchella. Nie był członkiem tej karcianej ferajny; jego nazwisko wśród nich nie figuruje. Sprawdziłem zakurzone policyjne protokoły tak długo, aż się na coś natknąłem, tak jak się tego spodziewałem. W pewną piątkową noc przyskrzyniono czterech pijanych mężczyzn za nieostrożną jazdę, zakłócanie porządku publicznego, rozbicie mijanej wystawy sklepowej butelką po alkoholu, a wreszcie przewrócenie hydrantu. Spędzili po sześćdziesiąt dni w zakładzie karnym, musieli zapłacić za szkody i oczywiście stracili prawa jazdy. Nazwiska, które figurowały w protokole, to Bliss, Moran i Ferguson. Dzięki Bogu podali prawdziwe. Czwarte nazwisko jednak nic mi nie mówi — Honeyweather. Spisałem też z protokołu ich ówczesne adresy. Łatwiej mi teraz będzie wytropić tego Honeyweathera. Ale jeśli Mitchell był członkiem klubu, to powinien znaleźć się w tarapatach razem z pozostałymi, tymczasem choć go tam nie było, to został zabity. Dlatego mam śmiertelnego stracha, że karciane grono nie ma nic wspólnego z naszymi zabójstwami, a ja idę niewłaściwym tropem.

— Mitchell mógł być akurat wtedy chory albo może spał się tak, że zasnął, i odstawili go do domu, zanim wpadli w kłopoty, a może zwyczajnie nie było go wtedy w mieście. Ja bym się jeszcze nie poddawał; dalej robiłbym to, co robisz. Przynajmniej jest to jakiś trop; lepszy rydz niż nic.

Tydzień później:

— I jak ci idzie, Wanger?

— Widzi pan ten wyraz twarzy? To mina człowieka, który zaraz rzuci się z mostu.

— Proszę bardzo! Tylko najpierw wyjaśnij nam sprawę tych morderstw dokonanych przez nieznaną kobietę. A wtedy sam zawiozę cię na most, uiszczę nawet za ciebie stosowną opłatę.

— Żarty na bok, szefie, ta sprawa to istny koszmar. Skończyłem gromadzić materiały od naszego ostatniego spotkania. Mam teraz wszystko skompletowane, wszystko do ostatniego szczegółu.

Wypełniłem nawet białą plamę po Mitchellu. I kiedy tego wszystkiego dokonałem — nic z tego nie wynika, w niczym nam nie może pomóc! Wszystko to zebrane do kupy ma tę samą wadę, co każde z tych morderstw z osobna: od początku do końca brak tu jakiegokolwiek motywu do popełnienia morderstwa. Nic z tego, co zrobili, nie było na tyle występne, nie zraniło nikogo tak mocno, by sprowokować do tak krwawego odwetu.

— Ten motyw może tam być, tylko go jeszcze nie zidentyfikowałeś. Tak czy inaczej, chcę wysłuchać twojego raportu.

— Usiłowałem wytropić tego Honeyweathera, czwartego członka klubu, na podstawie adresu, który podał tamtej nocy, gdy wszyscy czterej zostali aresztowani. Ale ślad kompletnie się urwał. Jakby facet zniknął z powierzchni ziemi. Udało mi się ustalić, gdzie mieszkał przez około rok po wypadku — a Bóg świadkiem, że facet nie potrafił usiedzieć w jednym miejscu! Później wydaje się, że się pod ziemię zapadł, znikł całkiem jak ta kobieta — tylko że on nigdzie się już więcej nie pojawił.

— Kim był z zawodu? — Zdaje się, że był permanentnie bezrobotny. Przesiadywał całymi dniami w swoim pokoju, stukając w maszynę do pisania, z tego co powiedziała mi jego gospodyni. Potem się wyprowadził i nie wypłynął już nigdzie indziej.

— Zaczekaj chwilę, może coś ci podpowiem — rzekł przełożony. — Bezrobotny... stukot maszyny do pisania... Może chciał zostać pisarzem. Oni niekiedy zmieniają nazwiska, prawda? Masz jakiś w miarę dokładny rysopis? — Tak, jest dosyć szczegółowy.

— Pochodź z nim po wydawnictwach, sprawdź, czy nie znają nikogo, kto by mu odpowiadał. A teraz powiedz mi, co z Mitchellem? Mówiłeś, że to się wyjaśniło.

— Tak. Był barmanem w lokalu, który często wtedy odwiedzali. Niekiedy zabierali go ze sobą na te przejażdżki. Przypuszczam, że głównie dlatego, iż podprowadzał alkohol z półek swego chlebodawcy i za każdym razem ich zaopatrywał. Tak więc choć nie był członkiem karcianej ferajny, często uczestniczył w ich rajdach po mieście. Dzięki temu przynajmniej cała linia śledztwa nie bierze w łeb, tak jak się tego obawiałem; te piątkowe samochodowe hulanki po-

zostają punktem, w którym krzyżują się ścieżki życia ich wszystkich. Pozostaje jednak wciąż najważniejszy problem: nie wydają się winni niczego, co mogłoby spowodować to wszystko, z czym się teraz zmagamy.

— Jesteś pewien?

— Na tyle, na ile można wierzyć policyjnym dokumentom w mieście z tego okresu; sprawdziłem też dodatkowo miejscowości pobliskie.

— Ale czy nie zdajesz sobie sprawy, że to musiało być coś, co umknęło w tamtym czasie uwadze policji, inaczej nie chodziliby potem wolno? To zapewne jakiś występki, który nigdy nie stał się przyczyną postawienia im oficjalnych zarzutów.

— Co więcej — rzekł Wanger w zamyśleniu — przychodzi mi właśnie do głowy, że była to zbrodnia, popełnienia której sami nie byli świadomi. No, ale mam sposób, by dowiedzieć się także tego! Mam zamiar przejrzeć wszystkie numery gazet, które ukazały się nazajutrz po ich balangach. To musi być w którejś z nich, ukryte, zakamuflowane, jakby nie miało z nimi nic wspólnego. Od tego są biblioteki. Tam właśnie będę od tej pory siedział. Im trudniejsza wydaje się sprawa, tym trudniej *mnie* do niej zniechęcić!

Wanger do wydziału ekspertyz sądowych, rozmowa telefoniczna:

— Co się, do diabła, dzieje z tym pistoletem? Posialiście go? Wciąż czekam na raport.

— Z jakim pistoletem? Nie przysłałeś nam żadnego pistoletu, o czym ty gadasz?

Mimowolny pisk, taki jak wtedy, gdy tenor przechodzi nagle do falsetu, i słowa:

— Że co? Wysłałem wam pistolet do zbadania, Bóg jeden wie ile tygodni temu, i nie dostałem od was ani słowa raportu! Wciąż czekam! To nie miał być dla was gwiazdkowy prezent, jeśli to wam akurat przyszło do głowy! Co to za szmatławce laboratorium? Przecież to wasz zakichany obowiązek, odesłać mi go z powrotem, a może o tym nie wiedzieliście? Jesteście bandą patałachów!

— Słuchaj, panie gromowładny, nie musisz nam mówić, co należy do naszych obowiązków. Co ci się, u diabła, wydaje, że jesteś szefem policji? Gdybyś przysłał nam pistolet do zbadania, tobyśmy

ci go odesłali! Ale jak mamy ci odesłać coś, czego w ogóle nie dostaliśmy?

— Słuchaj, kimkolwiek jesteś, lepiej mi nie pyskuj. Wysłałem wam pistolet i chcę go z powrotem!

— To sprawdź lepiej w swoim notesie, czy rzeczywiście nam go wysłałeś!

Trach!

Miejski dom popularnego, odnoszącego sukcesy pisarza, trzy tygodnie później:

— Panie Holmes, w przedpokoju czeka jakiś dżentelmen, który koniecznie chce się z panem zobaczyć, nie daje się zbyć.

— Wie pani przecież, co ma robić! Jak długo już pani dla mnie pracuje?

— *Powiedziałam* mu, że dyktuje pan coś akurat tej mądrej maszynie, ale on twierdzi, że to nie może czekać. Zagroził, że jeśli nie wejdę i panu o tym nie powiem, sam to zrobi.

— Gdzie jest Sam? Proszę zawołać Sama i kazać go wyrzucić! Jak będzie sprawiał kłopoty, wezwijcie policję! — Ale, panie Holmes, to *on* jest z policji. Dlatego pomyślałam, że lepiej przyjdę i panu...

— Niech szlag trafi policję! Pewnie parkowałem gdzieś źle... Przyłążą w chwili, gdy jestem w środku najważniejszej sceny w całej książce! Czy zdaje pani sobie sprawę, że ta rozmowa też się nagrała i że będę musiał zaczynać od nowa w miejscu, gdzie skończył się ostatni fragment? Przykro mi, panno Truslow, ale złamała pani najważniejszą, nienaruszalną zasadę, której zgodziła się pani przestrzegać, gdy przyjmowałem panią do pomocy. Żadnego przerywania, gdy tworzę, choćby nawet dokoła hulał pożar! Obawiam się, że już nie będę pani potrzebował. Niech pani skończy przepisywać fragment, który pani zaczęła, a Sam wręczy pani czek, gdy będzie pani gotowa pójść do domu... To o pana chodzi? Co pan sobie wyobraża, wdzierając się tutaj i robiąc takie zamieszanie? O czym chciał pan ze mną rozmawiać?

Wanger (cicho): — O pańskim życiu.

Czesc Piata

HOLMES.

OSTATNI.

*Zdawało mi się, że za moim fotelem stała
Zjawa z uśmiechem zimnym i okrutnym,
bez życia i nieporuszona.*

Guy de Maupassant

Rozdział 1

Kobieta

Było ich cztery w sali sypialnej, wszystkie w różnego rodzaju nocnych strojach. Jedna wyciągnęła się na łóżku, trzymając stopy u wezglowia, zaś brodę i ręce zwieszając bezwładnie w jego nogach. Druga przycupnęła na okiennym parapecie, dla równowagi podpierając się palcem jednej stopy jak zastygła w bezruchu baletnica. Trzecia siedziała na podłodze z podciągniętymi kolanami i spoczywającą na nich brodą. Czwarta, ostatnia, jedyna, którą było słyhać, zajmowała fotel. Nie siedziała w nim jednak tak, jakby to sobie można wyobrazić. Leżała rozciągnięta w poprzek jak pled. Na jednym boku fotela wsparła łokcie, przez drugi przewiesiła nogi. Pośrodku, gdzie wygięła się, by znaleźć oparcie w miejscu zwykle przeznaczonym do siedzenia, balansowała nie podtrzymywana książka, wznosząc się i opadając w rytm jej oddechu. W tej akurat chwili wznosiła się i opadała dość szybko.

— „Pośród jodeł i świerków czeka chata, której przydałaby się kobieca ręka, panno Judith — rzekł. Ona zaś uśmiechnęła się speszona i spuściła głowę. Jego silne ramiona oplotły ją powoli...”

W tej chwili ramiona czytającej zadrżały niczym w ekstazie, jakby to ona sama doświadczała owego uścisku. Pozwoliła książce osunąć się jak w omdleniu na podłogę.

— Założę się, że on sam właśnie taki jest — zaczęła się rozplýwać w rozmarzeniu. — Silny, godny zaufania i jakby trochę nieśmiały. Zauważyłyście, jakim ją darzył szacunkiem? Do samego końca nazywał ją „panną Judith”.

— A ja się założę, że w rzeczywistości nie byłby tak pełen szacunku.

Dziewczyna w fotelu wykrzyknęła: — Pewnie, że nie. Sama bym się postarała, by dał spokój tym formalnościom już po pierwszym rozdziale.

Ta z łóżka stwierdziła: — Naprawdę jej odbiło.

— Śniłam o nim wczoraj w nocy. Uratował mnie z igloo, które się miało zawalić.

Cała pozostała trójka zachichotała: — I co jeszcze zrobił?

— Na nic więcej nie starczyło czasu, dzwonek o ósmej mnie obudził — niech go szlag trafi.

— Dajcie jeszcze jednego papierosa — rzuciła któraś.

— Został ostatni.

— I co z tego? Na jutro kupimy drugą paczkę.

— Tak, tylko nie zapomnij, że teraz twoja kolej. Ja przyniosłam dzisiaj.

— W porządku, palimy. Trzeba tylko znów otworzyć okno. Jak dym się wydostanie na korytarz i przyjdzie stara Fraser...

Dziewczyna w fotelu wydała z siebie głębokie westchnienie, które wygięło ją w połowie. — Dlaczego człowiek musi się zestarzeć, zanim spotka kogoś ekscytującego, zanim przydarzy mu się coś naprawdę ciekawego? — Ona wciąż myśli o *nim*.

— Skąd wiesz, czy nie jest żonaty i nie ma gromadki dzieci? — Wiem, że tak nie jest, to *niemożliwe*.

— Dlaczego? — Bo to by była wielka niesprawiedliwość.

— Biedactwo, nie mogę patrzeć, jak cierpi.

Ta na łóżku zniecierpliwiła się: — Ech, ona tylko tak *gada* i na tym się wszystko kończy. Gdyby go kiedykolwiek spotkała twarzą w twarz, nie wiedziałaby, co robić, pewnie by się pod ziemię zapadła. Rozciągnięta w fotelu odparowała zadziornie: — Tak myślisz? No to byś się przekonała. Nawet byś się nie obejrzała, a już jadłby mi z ręki.

Insynuatorka z łóżka drażniła się z nią dalej: — Założę się, że nie minęłabyś nawet progu jego frontowych drzwi.

— A ja założę się, że tak, gdybym to sobie mocno postanowiła! To o co się zakładamy?

— A co chcesz postawić?

— Całe moje kieszonkowe z domu, jakie dostanę w przyszłym miesiącu!

Ta z łóżka przyglądała jej się mściwie. — W porządku, ja też stawiam swoje. I zrobisz to, co powiedziałaś, albo raz na zawsze przestaniesz o nim gadać. Mam już tego powyżej uszu.

— Tak, wylecz się z tego raz na zawsze — zasugerowała jedna z bardziej przychylnie usposobionych słuchaczek. — Nie ma sensu przez cały czas tak do niego wzdychać.

Sceptyczka na łóżku odezwała się znowu: — Ale skąd będziemy wiedziały, że mówi prawdę, jak wróci? — Przyniosę wam dowód.

— Przynies jeden z jego krawatów — podszeptnęła jedna wesoło.

— Nie, to żaden dowód, mam lepszy pomysł. Niech przyniesie zdjęcie ich dwojga stojących razem.

— Takie, gdzie obejmuje ją ramieniem — zaskrzeczała okupująca parapet. — Niech ten zakład będzie wart postawionych w nim pieniędzy!

— Phi! — prychnęła pewna siebie uwodzicielka na fotelu. — Najlepszego i tak nie zobaczycie; najciekawsze rzeczy nigdy nie pojawiają się na zdjęciach. Ale jeśli już raz zagnę na niego parol, to pewnie przyjdzie tu za mną jak na smyczy.

— A jak się stąd wydostaniesz?

— Wszystko już sobie przemyślałam. Marzyłam o tym od dawna na lekcjach francuskiego i innych, tak więc dobrze wiem, co robić. Wiecie, jak panna Fraser panicznie boi się epidemii — wystarczy, że pokażę jej dwa czerwone pryszczki na twarzy, a zaraz odeśle mnie do domu. Ämoja rodzinka akurat wyjechała... — Lepiej postaraj się wygrać — rzuciła współczująco jedna z niezaangażowanych w zakład — inaczej będziesz bez grosza przez cały miesiąc — a nie oczekuj, że będziemy ci pożyczać własne kieszonkowe. Siedząca na podłodze poderwała się raptownie. — Fraser! — syknęła ostrzegawczo. — Słyszę jej kroki na korytarzu.

W pokoju powstało nagłe zamieszanie, w którym wszystkie obecne zaczęły biegać, przecinając sobie nawzajem drogę. Dwie rzuciły się do wewnętrznych drzwi prowadzących do przyległego pokoju.

Okupująca parapet dała nura do opuszczonego właśnie łóżka i znikła, burząc pościel. Dziewczyna rozparta w fotelu Została z papierosem. Zgasiła światło, a czerwony ognik zaczął rysować szalone spirale w ciemności, poszukując miejsca, gdzie mógłby wylądować.

— Weźcie to! Weźcie to! — szeptała gorączkowo.

— *Sama weź!* — nadeszła nieczuła odpowiedź. — Ty ostatnia się zaciągałaś.

Ognik zatoczył łuk i wypadł przez otwarte okno, pościel wzburzyła się po raz drugi i nastąpiła pełna westchnień cisza. Ułamek sekundy później w uchylonych drzwiach na korytarz zarysowała się ponuro czujna głowa. Wciągnęła podejrzliwie nosem powietrze, zastygła w bezruchu na moment lub dwa, a wreszcie wycofała się, pokonana, choć nie przekonana.

Kiedy odeszła w końcu, sprawdziwszy też przyległy pokój, rozbrzmiała w nim gorliwa szeptana konwersacja. — Nie uważasz, że ona jest jakaś dziwna? To znaczy, nie jest taka jak reszta z nas, wydaje się starsza. — Tak, ja też to zauważyłam.

— Właściwie nikt tu niczego o niej nie wie. Nawet rodzice jej nie przywieźli na początku roku; słyszałam pannę Fraser, jak mówiła, że jej podanie przyszło pocztą, a przyjęto ją na podstawie doskonałych opinii. Kim ona jest? Skąd się tu wzięła? Nagle ląduje pośród nas nie wiadomo skąd, w dodatku w środku semestru.

— Wiesz przecież, została przeniesiona.

— Och, to *ona* tak twierdzi.

— Nikt nigdy nie widział jej rodziny. I nigdy nie dostaje listów z domu, tak jak inne z nas.

— Czemu tak jej odbiło na punkcie tego głupiego pisarza? Ja nie widzę w nim nic szczególnego.

— On ma wiejski dom gdzieś w tej okolicy. Może dlatego właśnie się tu znalazła — żeby być blisko niego.

— Może ona wcale nie jest uczennicą.

Nastąpiła chwila cichych, przyprowadzających o dreszcze domysłów.

— Więc kim jest?

Rozdział 2

Holmes

Roadster Holmesa włókł się jak zwykle w ślimaczym tempie, trzymając się zewnętrznej krawędzi drogi, z owczarkiem alzackim tkwiącym sztywno na siedzeniu obok niego, kiedy wyprzedziła ich zmierzająca w tę samą stronę taksówka. Tak wolna jazda stała się nawykiem, który pomagał mu myśleć. Odkrył, że może zastanowić się nad wieloma sprawami, wybierając się samotnie na zwykłą samochodową przejażdżkę, krążąc po drogach bez celu.

Nie mógł mieć, rzecz jasna, pewności, ale zdawało mu się, że taksówka wiozła tylko jedną pasażerkę, młodą dziewczynę na tylnym siedzeniu. Doszedł do takiego wniosku dlatego, że jej głowa znajdowała się dokładnie pośrodku niewielkiego owalnego okienka umieszczonego z tyłu pojazdu, zaś kiedy pasażerów jest dwoje albo więcej, zwykle siedzą bardziej po bokach.

Zanim dotrze do skrótów prowadzących do jego własnej posesji, taksówka pewnie już dawno zginie mu z oczu przy prędkości, z jaką jechała; jednak ku jego zaskoczeniu, gdy wspiał się na ostatnie wzniesienie, wciąż ją widział. Włókła się teraz w nierównym tempie, jak gdyby kierowca wypełniał sprzeczne ze sobą polecenia pasażerki.

Kiedy dotarła już do drogi na skrót z umieszczonym przy niej ostrzeżeniem: T. HOLMES, DROGA PRYWATNA, PRZEJAZD WZBRONIONY, wydobyły się z niej trzy doskonale słyszalne krzyki. W następnej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i postać dziewczyny albo wyskoczyła, albo została wypchnięta na miękką glebę na poboczu drogi. Przetoczyła się raz i zatrzymała na lewym boku. Taksówka ruszyła z impetem w dół drogi, błyskając mściwie czerwonymi tylnymi światłami.

Chwilę później Holmes zatrzymał się gładko naprzeciwko niej i wysiadł. Siedziała teraz bokiem, ściskając oburącz stopę. Owczarek krnąbrnie pozostał w samochodzie, jakby to auto darzył prawdziwą psią miłością a nie swego pana.

— Coś się pani stało? — Holmes pochylił się, chwycił ją pod pachy i podniósł.

W tej samej chwili zachwiała i na niego wpadła.

— Nie mogę ustać na jednej nodze. I co ja teraz zrobię?

— Niech pani pojedzie na jakiś czas do mnie. To niedaleko, na końcu tej drogi.

Pomógł jej wsiąść do samochodu, pokonał krótką prywatną drogę, po czym znowu jej pomógł, tym razem wsiąść przed typowym przerobionym dla mieszczucha wiejskim domem. Pies nie miał dość rozumu, by ruszyć za nim nawet teraz, dopóki się nie odwrócił i nie warknął:

— Chodź tu, głupcze. Zamierzasz spędzić na dworze całą noc? Pies wyskoczył z samochodu i zbliżył się do drzwi domu oddzielnie, jakby celowo chciał podkreślić, że do nikogo nie należy.

Na łomot kolonialnej kołatki przymocowanej do drzwi odpowiedział kolorowy mężczyzna. Powitał Holmesa z poufałością będącą owocem wielu lat bliskich relacji.

— I co, wpadło panu do głowy genialne zakończenie tego rozdziału, który nie dawał panu spokoju?

— Wpadło — odparł Holmes nieco kapryśnie — ale zaraz wypadło. Ta młoda dama miała wypadek, pomóż mi posadzić ją w fotelu. Potem idź i wprowadź samochód do garażu.

We dwójkę pomogli jej przejść przed podłużny, wyłożony sosnową boazerią pokój dzienny, który rozciągał się na całą szerokość domu i w którym w jedną z bocznych ścian wbudowany był stożkowaty kominek wysoki od podłogi do sufitu. To znaczy, do sufitu sięgała obudowa, bo samo palenisko sięgało najwyżej ramion.

Chciała zatrzymać się i usiąść w ogromnym, wyściełanym fotelu, stojącym tyłem do łososiowego blasku. Kolorowy mężczyzna szybko pchnął ją leciutko, kierując naprzód w stronę innego siedzenia, kilka kroków dalej.

— Nie tu, to „fotel natchnienia”.

Gdy już siedziała, Holmes przyjrzał się jej w poświacie bijącej od ognia na kominku, wspomaganej bladym światłem elektrycznym spod sufitu, zasilanym, sądząc po słabym natężeniu, przez przydomowy generator.

Była młoda, a już sam fakt, że próbowała zrobić wrażenie całkiem odwrotne, świadczył o tym, jak niewiele naprawdę miała lat. Osiemnaście, najwyżej dziewiętnaście. W dzieciństwie miała pewnie złociste włosy, które teraz przybierały odcień kasztanowy, wciąż jednak przetykany pasemkami złota. Oczy miały barwę błękitu.

Na skutek upadku przy drodze była — chyba tylko — cała upstrzona liśćmi i drobinami patyków. Strzepywała je niedbale, prawie tak, jakby nie chciała ich usunąć, dopóki nie zyska pewności, że zauważył, w jakim jest stanie.

— Co się stało? — zapytał, gdy tylko Sam wyszedł, by zająć się samochodem.

— To co zwykle. Kiedy widzi pan, jak dziewczyna wyskakuje z samochodu, nie czekając nawet, aż ten się zatrzyma, sam pan może wyciągnąć wnioski.

— Ale to była przecież *miejska* taksówka, nieprawdaż? — Przyszło mu do głowy, że kierowca odjechał już trochę za daleko jak na coś takiego.

— I działy się w niej bardzo miejskie rzeczy. — Zdawało się, że nie chce więcej o tym rozmawiać.

— Myślę, że lepiej sprowadzić lekarza, żeby obejrzał tę pani nogę.

Nie wykazała dla tego pomysłu zbyt wielkiego entuzjazmu.

— Może opuchlizna zejdzie, gdy przez chwilę nie będę na niej stawała...

— Z tego, co widzę, to wcale nie spuchła — zauważył. Cofnęła ją nieco, chowając za drugą tak, że jej zarys nie był zbyt wyraźny.

Wrócił Sam.

— Sam, jak nazywa się najbliższy lekarz?

— Doktor Johnson, zdaje się. Ale on nas nie zna. Mogę spróbować, jak pan chce.

— Jest dość późno, może nie będzie chciał przyjechać — napomknęła.

Sam powrócił z odpowiedzią: — Będzie tu za pół godziny.

— Aha — skomentowała raczej beznamiętnie. Po chwili, gdy oboje czekali, rzekła:

— Zawsze zastanawiałam się, jaki pan jest.

— Och, więc wie pani, z kim ma do czynienia?

— A kto tego nie wie? Przeczytałam wszystkie pana książki. — Westchnęła z głębi serca. —

Pomyśleć tylko, że siedzę teraz z panem w tym pokoju!

Odwrócił się. — Proszę przestać.

— I na dodatek wygląda pan jak należy — ciągnęła nie zniechęcona. — To znaczy, tak wielu ludzi piszących o prawdziwych mężczyznach, którym niestraszny chłód Północy, okazuje się wychudzonymi anemikami owiniętymi w koce. Z pana przynajmniej jest chłop, w którego niejedna dziewczyna chętnie wbiłaby swoje zęby.

— Powinienem panią przepędzić za takie gadanie — oznajmił jej zde gustowany.

Jej wzrok błąkał się po krokwiach sufitu, migocząc odbitym blaskiem płomieni jak fale na morzu. —

Mieszka pan w tym wielkim domu sam?

— Przyjeżdżam tu pracować.

Jeśli nawet miała to być jakaś aluzja, dziewczyna kompletnie ją zignorowała.

— Co za kominek; założę się, że może w nim stanąć prosto dorosły człowiek.

— W dawnych czasach pieczono w nim całe szynki i indyki; w kominie wciąż jeszcze tkwią haki. Jest wręcz za duży, za długo się w nim rozpala. Próbowałem go nieco skrócić, dając w środku okładzinę, taki fałszywy daszek i boki z cynku.

— Ach tak, widzę szczelinę, która chyba przy tym powstała. Myślałam, że to jakaś wada kamieni.

Sam poruszał żar w palenisku ciężkim żelaznym pogrzebaczem, gdy rozległo się pukanie lekarza.

Oparł przyrząd o kamienną obudowę kominka i poszedł otworzyć drzwi.

Holmes podążył za nim na korytarz, by powitać doktora. Zdawało mu się, że usłyszał jej cichy, płaczący jęk cierpienia, lecz hałaśliwe wejście lekarza zagłuszyło go.

Kiedy wkroczyli do pokoju chwilę później, jej twarz była wykrzywiona i blada jak ściana. Żelazny pogrzebacz leżał płasko na podłodze, jakby sam przewrócił się pod własnym ciężarem.

— Zobaczmy — rzekł doktor.

Zaczął delikatnie macać stopę palcami, a ona skrzywiła się i wydała krótki, nieartykułowany okrzyk. Lekarz mlasnął językiem.

— Widzę tu paskudne stłuczenie, o tak! Ale kostka nie jest skrzywiona; bardziej wygląda mi to na zbitą chrząstkę, jak gdyby spadło na nią coś ciężkiego. Niech ją pani okręci watą. I trzeba oszczędzać tę nogę przez jakiś dzień lub dwa, żeby się dobrze zgoiła.

Nawet gdy łyzy bólu, które wezbrały w jej oczach, popłynęły z kącików, spojrzenie, jakie rzuciła Holmesowi, zdawało się prawie triumfalne. Później, gdy lekarz wyszedł, Holmes powiedział: — Nie wiem, co teraz zrobimy. Stacja kolejowa znajduje się jakieś czterdzieści minut drogi stąd, a nie wiem nawet, czy dziś odjeżdżają z niej jeszcze jakieś pociągi. Mógłbym odwieźć panią aż do miasta, ale nie dotrzemy tam prędzej niż o świcie. — A czy nie mogę zostać? — spytała smutno. — Nie będę panu przeszkadzać. — Nie w tym rzecz. Jestem kawalerem i poza mną nikogo w tym domu nie ma. Nawet Sam śpi nad garażem. — Och. — Zabrzmiało to jak odgłos towarzyszący rozdeptaniu purchawki. — Za przyzwoitkę wystarczy nam pies. — A... czy... pani rodzina nie będzie się martwić, jeśli nie wróci pani na noc? Z jej gardła wydobyło się coś na kształt zduszonego śmiechu. — Och, jasne. Za jakieś trzy dni. Są teraz w Nowym Meksyku. Zanim dowiedzą się, że nie było mnie w domu, ja będę już dawno 1 z powrotem. Spojrzał na Sama, a Sam na niego. — Przygotuj dla pani pokój na parterze, Sam, ten z rozkładanym łóżkiem — odezwał się w końcu. — Freddy Cameron, tak się nazywam — przedstawiła się wtedy, usadowiona w fotelu, ta dziecinnie wyglądająca postać. — No, wie pan, Freddy w skrócie od Frederiki.

Siedzieli w ciszy, czekając, aż Sam przygotuje pokój. Holmes wpatrywał się w podłogę, a ona w niego z całą tą swoją nietajoną dziecięcą szczerością.

— Po co trzyma pan tam w kącie wszystkie te strzelby i pistolety?

— Bo sporo poluję, kiedy nie piszę.

— Są naładowane?

— Oczywiście, że tak. — Odczekał chwilę, po czym dodał: — Okropnie odrzucają, kiedy się z nich wystrzeli.

— Branoc, panie Holmes. Branoc pani — zawołał Sam, wychodząc. Wejściowe drzwi zamknęły się za nim.

Cisza stała się prawie namacalna, niemal czuć było jej smak w ustach.

— Może byśmy porozmawiali? — zaproponowała po jakimś kwadransie.

Na moment przeniósł na nią spojrzenie, po czym wbił je z powrotem w podłogę; to była jego odpowiedź. Była w jego wzroku jakaś nieufność.

Skuliła ramiona, jak gdyby się czegoś przestraszyła, i obejrzała się za siebie. — Jest w tym domu coś niepokojącego. Jakby... jakby coś się miało wydarzyć.

— Taki już jest — odparł krótko, wstał i opuścił ją, nie odzywając się więcej.

Szedł po schodach na piętro z niemal bolesną ostrożnością, skłaniając przy tym głowę, jakby nasłuchiwał. Stygnąca kłoda strzeliła w palenisku; jego barki skuliły się, po czym na powrót się rozluźniły. Ciężka, przytłaczająca cisza znów spowiła wszystko i krótki dźwięk poszedł w zapomnienie. Gdzieś na górze stuknęły jego drzwi. **Sam** wszedł i zastał ich siedzących razem przy stole. — A to co? — wykrzyknął tonem udawanej złości, w którym jednak pobrzmiwała nutka autentycznej urazy.

— Nowa pomoc kuchenna przygotowała naprędce posiłek. Ale nie miała szczęścia: nasz pan nic nie je.

— Zastanawia się nad intrygą — wyjaśnił Sam.

Holmes rzucił mu wystraszone spojrzenie, jak gdyby była to jakaś niepokojąco dwuznaczna uwaga. Nalał ze swego kubka trochę mleka na spodek i postawił na podłodze. Owczarek podszedł i głośno wychleptał wszystko.

— A czy już wiadomo, jak zakończy się ta intryga? — zapytała zaraz.

— Jeszcze nie — odparł Holmes. Przez cały czas obserwował psa. — Ale będę to wiedział już wkrótce.

Podniósł kubek, wychylił jego zawartość i podał, by nalała mu jeszcze.

Wstał, rzucił jej krótkie: — Do zobaczenia wieczorem. — I przeszedł do pokoju dziennego.

— Co to znaczy, do zobaczenia wieczorem? — spytała Sama w osłupieniu. — Czy do tej pory mam być niewidzialna?

— Będzie teraz tworzył. — Sam ruszył za Holmesem, jakby jego obecność była niezbędna, by wszystko grało.

Obserwowała ich z przejścia. Sam przesunął „fotel natchnienia”, przechylił głowę, ustawił mebel z zegarmistrzowską precyzją.

— Czy za każdym razem musi stać dokładnie w tym samym miejscu? — spytała z niedowierzaniem.

— Pewnie gdyby znalazł się o dwa centymetry dalej lub bliżej niż zwykle, pan Holmes nie mógłby się skupić... — Ćśś! — uciszył ją Sam. — Jeśli fotel nie stoi dokładnie na przekątnej dywanu, pan czuje się rozproszony. Holmes stał, wyglądając przez okno, już nieobecny dla świata. Nagle machnął w tył ręką, odprowadzając ich. — Wychodzimy! Zaczyna się praca. Sam wyszedł na palcach z absurdalnym wręcz pośpiechem, gorączkowo popychając ją przed sobą. Zatrzymała się na chwilę przy zamkniętych drzwiach, bezwstydnie podsłuchując. Głos Holmesa sączył się śpiewnie i monotownie, gdy mówił do dyktafonu: — Chinook brnął przez śnieżne pustkowie z twarzą zastygłą w mściwym grymasie pod futrzanym kapturem... Sam nie zamierzał zostawić jej w spokoju nawet tam: — Niech pani nie stoi tak blisko. Jeszcze zaskrzypi pod panią podłoga.

Odwróciła się niechętnie, kuśtykając na jednej obutej w kapeć nodze.

— A więc tak to się odbywa. I nigdy nie może się zmienić choćby jeden szczegół, nawet ustawienie fotela...

Sam znieruchomiał z zegarkiem w dłoni przed drzwiami, z pięścią uniesioną jak do pukania.

Zaczekał, aż sekundowa wskazówka dotrze do dwunastki, po czym uderzył:

— Siedemnasta! — powiadomił.

Holmes wyszedł półprzytomny, z włosami w nieładzie, koszulą rozpiętą aż po pępek, z nie zapiętymi mankietami, rozsznurowanymi butami, a nawet rozpiętym paskiem.

Poważna, niepozorna kobietka w średnim wieku, siedząca pod wieszakiem z jelenich rogów w pobliżu drzwi, podniosła się. Miała na sobie źle leżący tweedowy kostium, okulary w stalowych oprawkach i siwiejące włosy ściągnięte mocno z tyłu w szpetny mały koczek tuż nad karkiem.

— Jestem nową maszynistką, panie Holmes. Pan Trent ma nadzieję, iż okażę się bardziej kompetentna niż poprzednia osoba, którą panu przysłał.

Dziewczyna, ta utrapiona Cameron, podeszła do drzwi swego pokoju naprzeciwko nich, zwabiona odgłosem świadczącym o pojawieniu się jej bożyszczka.

— Obawiam się, że pewnych szkód nie da się już naprawić — rzekł, ledwo na nią zerkając. — Czy jest pani gotowa zostać już dziś? — Tak. — Wskazała na szacownie wyglądającą walizkę na podłodze u swych stóp. — Pan Trent uprzedził mnie, że będę pracować u pana w domu.

— Cóż, cieszę się, że pani przybyła. Podyktowałem już sześć rozdziałów do dyktafonu. Nie wiem, jak szybko pani pracuje, ale spisanie tego zajmie co najmniej trzy, cztery dni.

— Moimi atutami są dokładność i skrupulatność, a nie prędkość — wyznała skrypczynie. — Szczyć się tym, że w żadnym z moich maszynopisów nie opuściłam nawet przecinka.

Splotła ręce i zwiesiła je bezwładnie przed sobą.

— Sam, zanieś walizkę panny... jak pani godność?

— Kitchener.

— Zanieś walizkę panny Kitchener na górę do pokoju od frontu.

Gdy tylko zostali sami, ta utrapiona Cameron podeszła do niego z wyrazem dezaprobaty na naburmuszonej buzi. — A więc będzie u nas gościć Panna Skrupulatność.

— Wydaje się pani wzburzona.

— Bo jestem wzburzona. — Wcale nie żartowała, po prostu kipiała ze złości. — Każda kobieta lubi władać niepodzielnie takim miejscem. Do tej pory było idealnie.

Posłał jej przeciągłe, spokojne spojrzenie. — Jasne — rzekł chłodno, odwracając się w końcu.

Sam powiedział później: — Chyba zjeżdża się tu za dużo kobiet, panie Holmes. Może powinien pan popracować w mieście, gdzie w porównaniu z tym domem będzie cicho i spokojnie.

- Coś mi się wydaje, że wkrótce zaczną wyjeżdżać — odparł

Holmes, przeczesując włosy przed lustrem.

Cała trójka, Holmes i obie kobiety, odsunęła się nieco od stołu, gdy Sam zbierał talerzyki po deserze. Freddy Cameron wciąż miała naburmuszoną minę. Podczas posiłku przez cały czas usiłowała sprawić wrażenie, że ma prawo rządzić się w tym domu.

— Sam — zawołał Holmes, a gdy kolorowy mężczyzna wrócił do drzwi, zapytał: — Kiedy ostatnio miałeś wolny wieczór?

— Dość dawno. Ale co mi po wolnym wieczorze, skoro tu nie ma dokąd wyjść.

— Powiem ci, co zrobimy. Zafunduję ci noc w mieście. Odwiozę cię na stację, gdy wybiorę się na mą codzienną przejażdżkę. Chcę, żebyś wpadł do mojego mieszkania i przywiózł parę rzeczy, jak już tam będziesz. — To mi się podoba! Ale czy poradzi pan sobie beze mnie, panie Holmes?

— A czemu nie? Wrócisz około południa. Panna Cameron może przygotować mi śniadanie, tak jak to zrobiła dzisiaj. Jej twarz rozjaśniła się chyba po raz pierwszy od przybycia maszynistki. — Bardzo chętnie! — A ogień sam mogę rozpalić, zanim zacznę rano pracę. Dopilnuj tylko, bym miał dosyć drewna pod ręką...

Była prawie jedenasta, gdy wracał powoli, samotnie do domu po odwiezieniu swego wiernego służącego na stację. Owczarek, wynio-

sły jak zawsze, siedział obok niego. Dokoła panowała grobowa cisza. Droga była pusta, tego wieczora nie minęła go żadna pędząca taksówka.

Samodzielnie wstawił samochód do garażu, otworzył drzwi domu własnym kluczem. Czuł się dziwnie, przywykł do tego, że Sam robił wszystkie te rzeczy za niego. Utrapiona Cameron stała u stóp schodów, nasłuchując.

Uśmiechnęła się zagadkowo, kciukiem wskazała na górę. — Stara nudziara pana opuszcza.

— Co to znaczy?

— Pakuje się i wyjeżdża. Ma cykora. Ktoś wrzucił jej kamień przez okno z ostrzeżeniem, żeby się wynosiła.

— Dlaczego nie poszła pani do niej i przynajmniej jej nie pocieszyła?

— Wcale nie musiałam. Pędem zbiegła tu na dół w przepastnej koszuli nocnej i dosłownie wskoczyła mi na kolana, szukając pociechy. To, co pan teraz słyszy, to tylko popłuczyny po płaczu. Dowiedziałam się, o której ma pociąg, skoro już tak bardzo chce wyjechać.

— Bardzo bym się zdziwił, gdyby pani tego nie zrobiła. Zignorowała tę uwagę. — Pewnie to robota jakichś psotnych dzieci, nie sądzi pan?

— Bez wątpienia — odparł, ruszając na górę. — Tak się tylko składa, że w promieniu kilku kilometrów stąd nie ma żadnych dzieci.

Panna Kitchener pakowała swe rzeczy do walizki, w międzyczasie wachając trzeźwiące sole z buteleczki. Na stoliku leżał kamień wielkości pięści, a obok kartka papieru, którą był owinięty, pokryta niezgrabnym pismem. Przeczytał wiadomość:

Wynoś się z tego domu, najpóźniej do rana albo nie dożyjesz chwili, by pożałować.

Jedna z małych szybek w oknie miała dziurę w kształcie gwiazdy.

— Chyba nie da się pani przepłoszyć przez takie głupstwo, prawda? — powiedział.

— Och, nie zmrzyłabym oka przez całą noc po czymś takim! — odparła, siorbiąc nosem. — I bez tego boję się nocy, nawet w mieście.

— To tylko głupi wybryk.

Przerwała niepewnie to swoje pakowanie. — K-k-kto pańskim zdaniem...?

— Nie mam pojęcia — odpowiedział zdecydowanie, jakby chciał zapobiec dalszym dociekaniom. —

Czy wyjrzała pani na zewnątrz, próbowała zobaczyć, kto jest na dole?

— Skądże! Zbiegłam jak szalona na dół, gdy tylko skończyłam to czytać. Cz-czuję się o wiele lepiej, odkąd pan wrócił, panie Holmes. Z mężczyzną w domu jest jakoś tak całkiem inaczej...

— Cóż — powiedział — nie chcę pani zmuszać do pozostania, jeśli miałyby się pani przez to bać czy czuć nieswojo. Chętnie odwiozę panią na stację, bez trudu zdąży pani na pociąg kwadrans przed północą. Książkę może pani przepisać w przyszłym tygodniu w mieście, kiedy wrócę. Decyzję pozostawiam pani. Możliwość ucieczki, jaką jej przedstawił, najwyraźniej zrobiła na niej wrażenie. Zobaczył, jak rzuca niemal tęskne spojrzenie ku otwartej walizce. Wzięła głęboki wdech, chwyciła obiema dłońmi za ramę łóżka, jakby chciała dodać sobie odwagi.

— Nie! — rzekła. — Zostałam tu wysłana, by wykonać dla pana pewną pracę, a jeszcze nigdy nie zawiodłam pokładanych we mnie oczekiwań. Zostanę tu, dopóki nie wykonam swego zadania! Popsuła jednak wrażenie niezłomnej odwagi, jaką starała się udowodnić, rzucając ukradkowe spojrzenie w stronę rozbitego okna.

— Nie uważam, by mogło się tu coś pani stać — rzekł cicho, uśmiechając się lekko jednym kącikiem ust. — Pies stanowi dostateczną gwarancję, że nikt z zewnątrz do domu się nie dostanie. Ąmój pokój znajduje się na końcu tego korytarza. — Wychodził już, lecz w drzwiach obrócił się do niej raz jeszcze. — Gdzieś w jednej z szuflad komody płacze mi się mały rewolwer; czy poczułaby się pani lepiej, gdybym go poszukał i zostawił go pani na noc?

Pisnęła ze wstrętem i zasłoniła się przed nim dłońmi. — Nie, nie, napędziłby mi jeszcze więcej strachu niż ten kamień! Nie znoszę widoku jakiegokolwiek broni palnej, śmiertelnie się jej boję!

— W porządku, panno Kitchener — rzekł łagodnym tonem. — To bardzo szlachetne z pani strony, że zgodziła się pani zostać... chociaż naprawdę nie ma się tu czego bać... Nie zapomnę też wspomnieć o pani w jak najlepszych słowach panu Trentowi.

Utrapiiona Cameron w odległym kącie pokoju dziennego obracała w dłoniach strzelbę, gdy kilka minut później stanął niespodziewanie w drzwiach. Jego kroki na schodach musiały być cichsze, niż mu się zdawało.

Założył ręce za plecami, unosząc tył marynarki, by mu nie przeszkadzał.

— Nie bawiłbym się tym na pani miejscu, chyba już pani mówiłem wczoraj wieczorem, że są nabite. Obejrzała się na niego i zawahała przez chwilę, zanim odłożyła broń, a nawet obróciła się twarzą do niego, wciąż ściskając strzelbę w dłoniach, tyle że przyłożoną w poprzek własnej klatki piersiowej. Nie poruszył się. Jego wzrok zdawał się tańczyć, jak gdyby koordynował mięśnie, przygotowując je na wypadek, gdyby musiał podjąć jakąś gwałtowną akcję, ona jednak nie zmieniła położenia broni. Odstawiła strzelbę pod ścianę, ostentacyjnie otrzepując ręce.

— Przepraszam. Zdaje się, że wszystko robię nie tak.

Jego ręce rozplotły się, marynarka opadła. — Och nie, tego bym nie powiedział. Zdaje się, że dobrze pani wie, co robi. Zasiadł w „fotelu natchnienia”. Podeszła niepewnie od tyłu.

— Czy ja przeszkadzam? — W tej chwili czy w ogóle?

— W tej chwili. W ogóle to przeszkadzam, nie trzeba mi o tym mówić.

— Nie, w tej chwili mi pani nie przeszkadza. Nie mam nic przeciwko pani obecności tutaj...

— Gdzie może pan mieć na mnie oko — dokończyła za niego, śmiejąc się z sarkazmem. Jej wzrok powędrował ku krokwiom sufitu. — Czy ona postanowiła zostać?

— Ku pani rozczarowaniu, tak.

Westchnęła przeciągle. — Albo rozumiemy się za dobrze, albo nie rozumiemy się wcale.

To było ostatecznie zdanie, jakie między nimi padło. Ogień skurczył się do rozmiarów czerwonego żaru, ciemnego jak porto. Reszta po-

koju zatoneła w granatowym mroku. Wyróżniały się tylko ich dwie twarze, blade owale na tle ciemności. Jakiś świerszcz zacykał na zewnątrz w aksamitnej ciszy, która napierała na dom, spowijając go w puchową kołdrę.

Stanął wreszcie na nogi, a widać było przy tym jedynie wznoszący się jasny owal, reszta jego ciała wtopiła się już w ciemność. Wyszedł z pokoju ku schodom i słychać było, jak powłócząc nogami, stąpa po nich wolno na górę. Ona została w towarzystwie czerwonych węgielków i strzelb.

Zamknął za sobą drzwi swego pokoju, lecz nie zapalał światła. Trudno go było dostrzec w granatowej czerni. Biel zajaśniała nagle blado przy wejściu w dwóch podłużnych kolumnach z małym trójkątnym klinem, gdy zdjął marynarkę, nie ruszając się od drzwi. Przysunęło się krzesło, a białe kształty obniżyły się na nie. I tak już pozostały, blisko drzwi. Jeden but spadł z wysokości kilku centymetrów z typowym dla tej czynności odgłosem, a zaraz po nim drugi.

Na zewnątrz trwał w swym cykaniu świerszcz, wewnątrz trwała cisza, a i na zewnątrz, i wewnątrz trwała ciemna noc. Jakiś czas potem, na godzinę przed świtem, wydało mu się, że słabe, ledwo wyczuwalne poruszenie powietrza nawiedziło pokój, lecz nie od strony okna, a od strony drzwi — jak gdyby uchylono je odrobinę, chociaż klamka nie wydała najdrobniejszego dźwięku. Gdzieś w oddali skrzypnęła podłoga, gdzieś na parterze. Może po prostu drewno kurczyło się w szybko stygnącym nocnym powietrzu. A może to ktoś się skradał.

Potem nie było słychać już nic. Po dłuższej chwili powietrze też znieruchomiało. Na zewnątrz sowa zahukała gdzieś na drzewie i gwiazdy zaczęły blaknąć.

Utrapiiona Cameron była przy śniadaniu nadzwyczajnie ożywiona, może dlatego, że sama je zrobiła. Pogwizdywała sobie bez troski, gdy zszedł Holmes, wyglądając jak wrak człowieka z zapadniętymi policzkami i worami pod oczyma. Panna Kitchener też już była na dole przed nim, lśniła czystością od wody i mydła, a jej nocna bojaźliwość najwyraźniej należała już do przeszłości — przynajmniej do nadejścia kolejnej nocy.

— Będziecie musiały mi panie wybaczyć — rzekł, przeciągając dłonią po chropawej twarzy, gdy siadał.

— Ostatecznie jest pan przecież u siebie — zauważyła Freddy Cameron.

Panna Kitchener pozwoliła sobie jedynie na skąpy uśmiech, jak gdyby brak schludności nie znajdował usprawiedliwienia w absolutnie żadnych okolicznościach.

Owczarek podszedł, trącając go nosem, najwyraźniej pamiętając, co wydarzyło się wczoraj. Holmes zignorował go. Freddy Cameron szepnęła tak cicho, że ledwo ją usłyszał:

— Dziś testu na truciznę nie będzie?

Odsunął swe krzesło. — Sam wróci około południa i wszystkim się zajmie. Zamierzam teraz popracować i oczekuję, że nikt nie będzie mi przeszkadzał.

— Ja pójdę na górę i zacznę przepisywanie — powiedziała panna Kitchener. — Chyba stąd, z parteru, nie będzie mnie pan słyszał.

— A ja pomaluję wielkanocne pisanki — rzuciła zrzędliwie Freddy Cameron.

Zamknął za sobą drzwi pokoju dziennego, wrzucił kilka szczap drewna do paleniska, podłożył pod nie złożoną gazetę. Zdjął pokrowiec ze stojącego na stoliku dyktafonu i nastawił go najlepiej, jak potrafił, lecz towarzyszyło mu przy tym zmieszanie i niepewność, jakby to Sam zwykle dopełniał tego obowiązku, podobnie jak wielu innych. „Fotel natchnienia” stał nieco krzywo w stosunku do przekątnego wzoru na dywanie. Przesunął go lekko, uśmiechając się blado do siebie na myśl o własnych dziwactwach. Następnie wziął do ręki dołączoną do dyktafonu tubę, do której mówił, rozparł się wygodnie, gotów na cały dzień twórczej pracy. Wszystko było gotowe, tylko...

Maszyna furkotała cicho w oczekiwaniu. Niezbędny zalew myśli nie chciał go jednak nawiedzić.

Natchnienie zdawało się zablokowane. Bezradnie podniósł wzrok na rząd własnych książek na półce, jakby zastanawiając się, jak on to wcześniej robił.

Niespodziewanie gdzieś w pobliżu zaskrzypiała podłoga. Obrócił się w fotelu ze zmarszczonym gniewnie czołem, spodziewając się, że zaraz ktoś mu przeszkodzi.

W pokoju jednak nikogo poza nim nie było, drzwi pozostawały bezpiecznie zamknięte. Płomienie za jego plecami podskoczyły wyżej, wypełniając wnękę kominka gorącym i szkarłatną poświatą. Pięć minut później utrapiona Cameron obróciła głowę i spostrzegła, że stoi w drzwiach, świdrując ją wzrokiem.

— C-co się stało? — spytała niepewnie. — Dziś nie obowiązuje kwarantanna?

— Chyba trafiłem na inspiracyjną próżnię. Mogłaby pani tu przyjść? Chcę z panią porozmawiać. Może dzięki temu łatwiej mi będzie potem zacząć.

— Na pewno pan chce, żebym weszła do tego najświętszego ze świętych miejsc? — zdziwiła się niemal lęklwym tonem.

— Na pewno — odparł dobitnie.

Ruszyła przodem, przez cały czas oglądając się na niego przez ramię. Gdy już oboje weszli do pokoju, zamknął drzwi. — Proszę usiąść.

— W *tym* fotelu? Myślałam, że nikomu nie wolno...

— To tylko Sam tak mówi. — Jego wzrok przeszywał ją cały czas. — W końcu czym może różnić się ten fotel od innego? — Zdawało się, że rzeczywiście chce się tego dowiedzieć.

Osunęła się na wskazane miejsce, nie protestując. On przycupnął obok, dorzucając parę szczap do kominka, który zaczynał akurat porządnie ciągnąć; wyglądało na to, że rozpałał go drugi raz.

Następnie usiadł naprzeciwko niej w fotelu, który ilekroć znalazła się w tym pokoju, zawsze zajmowała ona. Zdawał się obserwować ją tak, jakby jej nigdy wcześniej nie widział.

— O czym będziemy rozmawiać? — spytała po chwili.

Nie odpowiedział, tylko nadal się jej przyglądał. Upłynęła tak minuta, może dwie; w pokoju słychać było jedynie nieprzerwany, coraz głośniejszy szum ognia. — Cóż za głęboka zaduma — rzuciła tonem kpiny. — Proszę podać mi na chwilę swą rękę — rzekł nieoczekiwanie. Opieszale spełniła jego prośbę. Dłoń była całkowicie sucha. Nadgarstek absolutnie nieruchomy.

Odrzucił jej rękę z tak niespodziewaną siłą, że uderzyła ją w pierś. Zerwał się na nogi.

— Niech pani natychmiast wstaje z tego fotela — rzucił chrapliwie. — Ależ dałem się nabrać. Kim pani właściwie jest, co?

Nim zdążyła odpowiedzieć, był już przy drzwiach, otworzył je i kciukiem pokazywał, że ma wyjść, z przyprawiającą niemal o ciarki zapalczywością.

— Co się w ogóle z panem dzieje? — wycodziła z urazą, gdy już dotarła do drzwi własnego pokoju naprzeciwko.

— Przez jakiś czas proszę się trzymać ode mnie z daleka; niech pani tu nie wchodzi, choćby nie wiem co pani usłyszała. Zrozumiano? — Jego głos złagodniał nieco i zawołał w górę schodów z nagle odzyskaną kurtuazją: — Panno Kitchener, czy mogę przez chwilę z panią porozmawiać tu^ na dole? Skrzętny stukot jej maszyny, który brzmiał jak uderzające o dach krople słabego deszczu, urwał się nagle i panna Kitchener zeszła natychmiast na dół swym zwykłym, zdecydowanym, drobnym kroczeniem. Zaprosił ją do pokoju. — Ile już pani przepisała? — spytał, zamykając drzwi.

— Jestem w połowie pierwszego rozdziału — oznajmiła, promieniejąc z samozadowolenia.

— Proszę usiąść. Zawołałem panią, bo chcę zmienić imię głównego bohatera na... Nie, proszę usiąść tam... tam, gdzie pani stoi.

— Ale to przecież pana fotel, nieprawdaż?

— Och, co za różnica. Proszę usiąść, bo muszę to z panią omówić.

Zmusił ją do zajęcia fotela przy kominku, zawczasu siadając w drugim.

Przycupnęła na samym brzegu, zajmując najwyżej centymetr siedziska, sztywna jak tyczka.

— Czy ta zmiana imienia przysporzy pani dodatkowej pracy? Czy padło ono już w tej części, którą pani spisała?

Zerwała się na nogi, zwarta i gotowa. — Chwileczkę, zaraz pójde to sprawdzić...

Pokazał jej, że ma usiąść. — Proszę się nie kłopotać. — A po chwili trochę zdziwiony dodał: —

Właśnie pani nad tym pracowała; jak to możliwe, że nie może pani sobie przypomnieć? To nic, tak czy inaczej przyszło mi do głowy, że w opowieściach z Północy czytelnicy-

cy zwykle utożsamiają francuskojęzycznych Kanadyjczyków z czarnymi charakterami, dlatego może warto byłoby... Panno Kitchener, czy pani mnie słucha? Co się dzieje, jest pani chora?

— Za gorąco mi w tym fotelu przez ten ogień na kominku. Nie mogę go znieść.

Bez ostrzeżenia wyciągnął rękę i ujął jej dłoń tak, że nie zdążyła jej cofnąć.

— Chyba się pani pomyliła. Jak może pani mówić, że w tym fotelu jest pani za ciepło? Pani dłoń jest lodowata... drży z zimna! — Zmarszczył brwi. — Proszę przynajmniej pozwolić, że skończę to, co mam pani do powiedzenia.

Jej oddech stał się chrapliwy i głośny jak u astmatyczki. — Nie, nie!

Oboje równocześnie poderwali się na nogi. Nacisnął na jej bark, stanowczo, lecz nie brutalnie, tak iż osunęła się z powrotem na fotel. Usiłowała wymknąć się z niego bokiem. Znowu złapał ją i posadził. Jej okulary spadły.

— Dlaczego jest pani taka blada? Czego się pani tak śmiertelnie boi?

Zdawały się nią targać spazmy hysterii, zupełnie nie była w stanie rozsądnie myśleć. Raptem gdzieś błysnął nóż — wysunięty prawdopodobnie z jej rękawa — i sunął w jego stronę od oparcia fotela.

Była szybka, lecz on okazał się szybszy. Chwycił ją za nadgarstek, przygważdżając do wierzchu oparcia; dłoń skrzyła się lekko i nóż wypadł, ześlizgnął się po niskiej osłonie paleniska za jej plecami i wpadł do ognia.

— Jak na maszynistkę nosi pani przy sobie dziwne akcesoria; używa pani noża w swojej pracy?

Walczyła z nim teraz niemal jak maniaczka, coś zdawało się doprowadzać ją do szaleństwa.

Wykorzystywał własną siłę pasywnie, więząc ją w fotelu jedną ręką przyciśniętą do gardła. Trzymał się nieco z boku, nie bezpośrednio przed nią. Zaś ona sama znajdowała się dokładnie na wprost kominka.

— Niech mnie pan puści... proszę puścić!

— Nie, dopóki nie zacznie pani mówić — mruknął.

Skuliła się nagle, jakby zapadła w sobie, zmieniając się w bezwładną szmacianą lalkę.

— W kominie, nad cynkową przegrodą jest strzelba... wycelowana w ten fotel! Lada chwila wysoka temperatura spowoduje...! To strzelba z obciętą lufą, nabita...!

— Kto ją tam umieścił? — pytał, nie zważając na nic.

— Ja! Szybko, niech mnie pan puści!

— Dlaczego? Proszę powiedzieć, dlaczego?

— Bo jestem wdową po Nicku Killeenie... i przybyłam tu, by pana zabić, Holmes!

— To wystarczy — rzekł krótko i odstąpił od niej.

Cofnął rękę odrobinę za późno. Gdy tylko dłoń straciła kontakt z gardłem, nastąpił za plecami kobiety oślepiający błysk, który oświetlił jej twarz, huk, a potem gęsta chmura dymu zawirowała dokoła, jakby w kominku zadziałał zwrócony w stronę pokoju miech.

Dźwignęła się konwulsyjnie, jakby wiedzona czystym instynktem raz jeszcze próbowała uciec, po czym opadła z powrotem na fotel, wpatrując się w niego poprzez dymną mgiełkę, która ją spowijała.

— Dobrze się pani domyśla — zapewnił ją cicho. — Opróżniłem strzelbę, zanim ponownie rozpałem ogień, zostawiłem tylko nieco prochu. Dyktafon mnie ocalił; musiała pani przypadkowo potrącić go i uruchomić, będąc tu w nocy. Nagrało się wszystko, od pierwszego ostrzegawczego skrzypnięcia podłogi aż po odgłos umieszczania z powrotem na miejscu cynkowego daszka w kominie. Nie wiedziałem tylko, która z was to zrobiła, dlatego musiałem przeprowadzić tę próbę z fotelem.

Drzwi otworzyły się nagle i ukazała się w nich blada ze strachu twarz utrapionej Cameron. — Co to było?

To dziwne, ale przemówił do niej dwa razy bardziej ostro i gbu-rowato niż do kobiety w fotelu, tak jak mówi się do szczenięcia lub dziecka, które nie ponosi jeszcze odpowiedzialności za własne czyny.

— Trzymaj się stąd z daleka — ryknął — ty utrapiona łowczyni autografów, ty szukająca bohatera gówniario, albo wyjdę z tego pokoju, przełożę cię przez kolano i sprawię takie lanie, że będziesz musiała robić sobie okłady nie na kostce, tylko całkiem gdzie indziej!

Drzwi zamknęły się dwa razy szybciej, niż się otworzyły, i dało się słyszeć sapnięcie wywołane szokiem i niedowierzaniem.

Odwrócił się z powrotem do bezwładnej, opadłej z sił postaci wciąż kulącej się w fotelu. Zdawała się wisieć w próżni; straciła właśnie jedną tożsamość, a nie odzyskała jeszcze poprzedniej. Jego głos przybrał znowu barwę godną normalnej, dorosłej konwersacji.

— A co zamierzała pani zrobić z *nią*, w razie gdyby pani plan się powiódł? — zapytał z ciekawości. Wciąż była w szoku, lecz zdobyła się na słaby uśmiech. — Najzupełniej nic. Nie była na mojej liście. Nie mogła mi zagrozić. Mogłabym co najwyżej ją związać, by swobodnie uciec, to wszystko.

— Przynajmniej jest pani sprawiedliwa w ferowaniu swych wyroków śmierci — przyznał niechętnie. Przyglądał się jej przez chwilę, po czym odszedł i nalał jej drinka, ani na moment nie stając do niej plecami.

— Proszę. Wygląda pani jak ruina człowieka. Lepiej niech się już pani pozbiera.

Chwiejnie i niepewnie usiadła znów prosto, odpychając się jedną ręką od oparcia fotela. Następnie powoli, stopniowo zaczęły w niej zachodzić zmiany. Na jego oczach zdawała się nabierać wyrazistości i barw, całkiem jak obrazki, które kolorowało niegdyś pewne dziecko, Cookie Moran. Siła życia, ta nieokreślona energia, poczęła ją wypełniać na nowo. Nie była to jednak chłodna, staropa-nieńska rzeźkość panny Kitchener, lecz coś cieplejszego, jaśniejszego. Mimo że jej włosy wciąż były równo przyprószone siwizną i związane ciasno z tyłu, resztki afektowanej powłoki panny Kitchener zdawały się z niej złuszczać, zwijać się jak przezroczyste foliowe opakowanie. Była teraz kobietą znacznie młodszą, znacznie pełniejszą życia. Kobietą, która nie znała strachu, która wiedziała, jak z wdziękiem przyjąć porażkę. Wdzięk ów jednak pełen był wrogości, nawet teraz.

— Cóż, dostałam ich wszystkich prócz pana, Holmes. Nick mi to wybaczy, w końcu jestem tylko kobietą. Proszę bardzo, niech pan dzwoni na policję, jestem gotowa.

— To ja jestem z policji. Holmes został wywieziony w bezpieczne miejsce kilka tygodni temu, ukrył się na Bermudach. Od tamtej pory żyłem jego życiem, zdzierając okładki z jego starych książek

i dyktując je ponownie do magnetofonu, czekając, aż się pani pojawi. Bałem się tylko, że pies mnie zdradzi; jego zachowanie nie pozostawiało wątpliwości, że to nie ja jestem jego panem.

— Powinam była to zauważyć — przyznała. — Zbytnią wiara w siebie uczyniła mnie pewnie nieostrożną. Z całą resztą poszło mi jak w zegarku — z Blissem i z Mitchellem, z Moranem i z Ferguso-nem.

— Proszę uważać — przestrzegł ją ironicznie — to Wszystko się nagrywa. — Wskazał kciukiem na dyktafon, który znów zaczął cicho furczeć w pokoju.

— Uważa mnie pan za jednego z tych drobnych złodziejasków, którzy próbują zatuszować to, co zrobili, którzy próbują się ze wszystkiego wykić? — Spojrzenie, jakie mu posłała, pełne było niewy-słowionej pogardy. — Musi się pan o mnie jeszcze wiele dowiedzieć! Ja się swoimi uczynkami szczycę! Chciałabym krzyczeć o nich na cały świat, by wszyscy się dowiedzieli! — Zrobiła szybki krok w stronę dyktafonu, a jej głos zagrział triumfalnie w tubie. — To ja zepchnęłam z tarasu Blissa! To ja podałam cyjanek Mitchellowi! To przeze mnie Moran udusił się w schowku! To ja przeszyłam strzałą serce Fergusona! To ja, Julie Killeen. Słyszysz mnie, Nick? Twój dług został spłacony — wszystkim, prócz jednego. Proszę, panie detektywie, ma pan rozwiązanie swojej sprawy! Teraz czas na *pańską* zemstę. Dla mnie to powód do dumy!

— Proszę usiąść na chwilę — powiedział. — Nie ma pośpiechu. Namierzenie pani zajęło mi dwa i pół roku, tak więc kilka minut zwłoki nie robi większej różnicy. A gdy już usiadła, powiedział:

— Była pani na tyle uczynna, by nagrać to wszystko. Wszystko poza jednym. Zapomniała pani dodać, dlaczego, co to był za niezwykły dług. Tak się składa, że ja to wiem — już wiem. Choć przez ponad dwa lata nie wiedziałem. Właśnie to nie pozwoliło mi wcześniej rozwiązać tej sprawy. Dowiedziałem się w samą porę — przynajmniej dla Holmesa. Gdyby nie to, Holmes — ten prawdziwy — byłby teraz tam, gdzie pozostali.

— Tak się składa, że *pan* to wie! — powtórzyła. Z jej oczu zdawały się strzelać iskry. — Pan nie może tego wiedzieć, pan ani ktokolwiek inny! Czy pan to przeżył? Czy widział pan to na własne

oczy? Widział pan tylko suchą linijkę, może dwie, z dawno zapomnianego, pokrytego kurzem policyjnego raportu! A ja wciąż mam złamane serce. Minęło już sporo czasu, bo czas szybko płynie, a jednak wystarczy, że zamknę oczy, by on znów był przy mnie, Nick, mój mąż. I ból znów poczyna wokół mnie wzbierać, i nienawiść, i wściekłość, i mdłości, i chłód tęsknoty. Wystarczy, że zamknę oczy, i znów jest wczoraj, to dawno minione, niezapomniane wczoraj...

Rozdział 3

Retrospekcja: śmierć,
Która przyszła zza rogu.

...na dobre i złe, w chorobie i zdrowiu, dopóki śmierć was nie rozłączy?

— Tak.

— Ogłaszam was teraz mężem i żoną. Co Bóg złączył, tego człowiek niech nie rozdziela. Proszę pocałować pannę młodą.

Nieśmiało zwrócili się ku sobie. Zdjęła z twarzy delikatną woalkę. Powieki jej opadły, gdy ich usta spotkały się w sakramentalnym pocałunku. Oto była teraz panią Killeen, nie Julie Bennet — już nie. Zaproszeni na ślub goście stłoczyli się wokół nich, porwała ich fala kłaniających się głów, klepiących po plecach dłoni, składających życzenia głosów.

Tęczowe, szyfonowe kapelusze drухen jeden po drugim omiatały jej twarz jak kolorowe płatki galaretki, barwiąc ją, lecz jej nie zasłaniając, gdy każda chciała złożyć wraz z życzeniami całusa na szczęście ńa jej policzku. W całym tym zamieszaniu jego oczy i jej wciąż szukały się nawzajem, jakby chcieli sobie przekazać: „Tylko *ty* się w tym wszystkim dla mnie liczysz, tylko *ty*”.

Potem znów byli razem, jedno u boku drugiego, państwo Killeen, ona posłusznie dająca się prowadzić pod rękę w rytm jego kroków, z sercem bijącym w rytm jego serca. Szli długą, wysoko sklepioną nawą kościoła ku drzwiom, które otwierały się szeroko na przyszłość, ich przyszłość. Za nimi zaś w parach podążały drухny, jak grządka przemieszczających się kwiatów, żółtych, lazurowych, liliowych i różowych.

Apsyda cofnęła się nad ich głowami, ukazując nocne niebo, gładkie jak aksamit, ozdobione tylko jedną gwiazdą — gwiazdą wieczorną. Obiecywała tak wiele: długie życie, szczęście i wesołość; obiecywała jednak to wszystko jakby z przymrużeniem oka.

Goście zostali nieco z tyłu jak psotni spiskowcy, podczas gdy główni bohaterowie wieczoru, niczego nie podejrzewając, ruszyli w dół po krótkich, lecz szerokich schodach kościoła. Pierwsze z krótkiej kolejki samochodów czekających w gotowości w nieznacznym oddaleniu zaczęły ruszać i powoli toczyły się naprzód, by zabrać weselników. Wśród stłoczonych w drzwiach gości przeszedł poszum ukradkowego chichotu. W dłoniach zaszleściły papierowe torebki, a na stopnie posypały się pierwsze ziarna ryżu. Panna młoda podniosła rękę, by chronić się przed bombardowaniem, wtuliła się w swego ukochanego. Dało się słyszeć piski uciechy, powietrze pobieleało od padających ziaren. Raptem rozległ się histeryczny pisk hamulców i wielki, czarny kształt, zamazany przez nagłość swego pojawienia się, wyskoczył zza rogu kościoła. Zahaczył o krawężnik i przez moment zdawało się nawet, że wjedzie na schody. Wtedy jednak szalencie siedzący za kierownicą jakimś cudem zdołał nad nim zapanować, niewyraźny kształt objawił się jako czarny sedan i pomknął naprzód, znów rozmywając się wraz ze wzrostem prędkości. Seria ogłuszających wybuchów zaznaczyła jeszcze jego niewiarygodną, upiorną obecność, a dalszą drogę zdradziły błyski odbijane od kolejnych szyb najniższych pięter domów, ciągnących się po drugiej stronie ulicy. Nim zniknął całkiem, ohydna chmura czarnego dymu zasnuła stopnie kościoła i tych, którzy tam stali, jakby przemknął obok nich jakiś zły duch, i zaczęła rzednąć dłuższą chwilę po tym, jak błyski z rury wydechowej zgasły za zakrętem na końcu ulicy. Śmiech i radosne pokrzykiwania ustąpiły miejsca zduszonemu pokaśływaniu i odchrząkiwaniu. Potem nastąpiła nagła, nie zwiastująca niczego dobrego cisza. I w tej ciszy padło imię. Panna młoda zawołała swego męża.

— Nick!

Tylko raz, niskim, przerażonym głosem. Jeszcze przez moment stali nieruchomo na najniższym stopniu, bok w bok, tak jak wyszli

z kościoła. Moment minął, a ona stała już sama, gdy on legł u jej stóp.

Goście poruszyli się, rzucili się w dół po stopniach i otoczyli ją. Pośrodku nich wszystkich jego twarz zwrócona była ku niej jak biały kamień na dnie głębokiego basenu. Na dole jej śnieżnobiałego welonu widniała mała, czerwona plamka, przecinek, rzecz by można. Wpatrywała się w nią jak zahipnotyzowana. Jego twarz nawet nie drgnęła. To nie przecinek, nie; to była kropka.

Mijały minuty, które nie miały już żadnego znaczenia. Była jak posąg w bieli. Jedyna nieruchoma, jedyna zastygła w zawirowaniu i zamieszaniu dokoła. Głosy wykrzykujące rady dochodziły do niej jak z innego świata, nic dla niej nie znaczyły.

— Rozepnijcie mu koszulę! Zabierzcie stąd te dziewczęta, wsadźcie je do samochodów i wyślijcie do domu! Wyciągnęły się ku niej ręce, próbując odprowadzić na bok.

— Moje miejsce jest tutaj — szepnęła bezgłośnie.

— Jest w szoku — ktoś orzekł. — Nie pozwólcie jej tak tu stać, spróbujcie ją stąd zabrać.

Odsunęła się nieco, mechanicznie, a oni zostawili ją w spokoju.

W powodzi głosów dał się słyszeć żałosny dźwięk syreny, który zbliżał się, przemierzając ulice.

Wtem zamilkł. U jej stóp stanęła otwarta czarna torba.

— Nie żyje — oznajmił niski głos.

Jakaś kobieta krzyknęła gdzieś blisko. Lecz to nie była ona. Czarna torba znalazła się bliżej.

— Proszę, podam pani...

Odsunęła wszystkich na bok jedną ręką, tą, na której tkwiła nowa, złota ślubna obrączka.

— Pozwólcie mi przez chwilę potrzymać mego męża w ramionach. Pozwólcie mi tylko się pożegnać.

Uklękła przy nim, tonąc w białym tiulu jak w zaspie przyniesionego z wiatrem śniegu. Ich głowy połączyły się tak, jak się miały połączyć, lecz tylko jedna z nich darzyła pieśczęcią. Ci, którzy byli najbliżej, usłyszeli cichy szept.

— Nie zapomnę.

Po chwili już znowu stała, najprościej spośród wszystkich, jak lodowa góra, jak biały płomień.

Pochlipująca drużna pociągnęła ją bezradnie za rękaw.

— Proszę, chodź już, *proszę*, Julie. Zdawała się nie słyszeć. - Ilu ludzi było w tym samochodzie, Andrea?

— Widziałam chyba pięciu.

— Mnie też się tak zdawało, a wzrok mam dobry.

— Jaki był numer rejestracyjny tego wozu, Andrea.

— Nie wiem, nie zdążyłam...

— Ja wiem. D3827. Pamięć też mam doskonałą.

Julie przestań, przerażasz mnie. Dlaczego ty nie płaczesz? Płacę tam gdzie nie widać. Chodź ze mną, Andrea, wracam do kościoła.

— Żeby się pomodlić?

- Nie, żeby coś przysiąc. Przysiąc coś jeszcze Nickowi.

Rozdział 4

Po śmierci Nicka Killeena

A więc to tak, spłaciła pani dług — mówił w zadumie Wanger — i nic z tego, co bylibyśmy w stanie zrobić, nie odbierze pani satysfakcji z powodu tego osiągnięcia, mam rację? Żadna kara, jaką pani wymierzmy, nie zdoła pani poruszyć — tam w głębi, gdzie miałyby to jakieś znacznie, czy tak? Nie odpowiadała.

— Tak, właśnie tak sądziłem przez cały ten czas, a teraz widzę, że miałem rację. Oczywiście, więzienie nie będzie dla pani żadną karą, nie, ani nawet krzesło elektryczne, gdyby panią na nie skazano. W pani oczach ani razu nie błysnęła skrucha, w pani sercu nie ma cienia strachu.

— To prawda. Rozszyfrował mnie pan.

— Prawo nie może pani ukarać, prawda? Ale ja mogę. Proszę posłuchać, Julie Killeen. Wcale pani nie pomściła Nicka. Tylko się pani tak wydaje, ale to nieprawda. Tego wieczora, gdy Bliss, Mitchell, Ferguson, Holmes i Moran z rykiem silnika po pijanemu minęli schody kościoła, pewien mężczyzna kuczał przy oknie na pierwszym piętrze pensjonatu naprzeciwko, czekając na was dwoje, z bronią w ręku. Czekając, aż wyjdziecie. Z niewiadomego powodu nie dosięgną! Killeena, gdy ten wchodził do kościoła; może taksówka, którą przyjechał, stanęła na linii ognia, może było wokół niego za dużo ludzi, może sam strzelec zjawił się na posterunku zbyt późno. W każdym razie pozostał już tam do końca; nie zamierzał pozwolić, by Killeen wymknął mu się, wychodząc. I nie wymknął się. Strzelec uniósł broń, gdy Nick z panią u boku opuszczał kościół. Namierzył go i pociągnął za spust. W tej samej chwili pojawił się pędzący samochód z wybuchającą co chwila rurą wydechową. Kula jednak do-

sięgła celu, przemykając nad dachem auta. Taka zbieżność w czasie nie mogłaby się zdarzyć przez następne sto lat, nie mogłaby mieć miejsca, nawet gdyby ktoś sobie to wszystko dokładnie zaplanował. Odbijające się w oknach błyski z rury wydechowej pomogły ukryć błysk broni. Oto pani kara, Julie Killeen. Uśmierciła pani czterech niewinnych ludzi, którzy nie mieli nic wspólnego z zabójstwem pani męża.

Nie poruszył jej swą opowieścią, to było widać; wciąż chowała się w tej samej skorupie lodowatej nieczułości. Jej oczy wypełniało niedowierzanie.

— Tak, pamiętam — rzekła ze wzgardą — gazety próbowały wtedy sugerować, że coś równie nieprawdopodobnego miało miejsce, zapewne karmione tą wydumaną historyjką przez was, policjantów usiłujących zatuszować własny brak kompetencji. Były już wcześniej sprawy, które nigdy nie znalazły rozwiązania — Elwell, Dorothy King, Rothstein — a powód był zawsze ten sam: łapówkarstwo, przekupność jednych i pieniądze służące przekupywaniu innych. Ale nigdy w historii policji nie było sprawy, która przeminęłaby równie niezauważona jak ta. Od początku do końca nie przeszłuchaliście w niej ani jednego podejrzanego. Jakby to jakiś pies został zastrzelony na ulicy!

— Jeśli chodzi o to, co mówiliśmy gazetom, to było zupełnie na odwrót. Robiliśmy wszystko, by nie wspominały o człowieku po drugiej stronie ulicy, specjalnie podsuwaliśmy im mylącą historyjkę o zabłąkanej kuli wystrzelonej z jakiegoś dachu w nadziei, że zamilkną, bo gdyby ten nieznany strzelec myślał, że nie jest podejrzewany, łatwiej byłoby go schwytać.

— Nie wierzyłam w to wtedy i nie wierzę teraz! Widziałam na własne oczy...

— To, co pani widziała, to było złudzenie optyczne. Gdyby przyszła pani wówczas do nas, zapytała, co wiemy, udowodnilibyśmy to pani ponad wszelką wątpliwość. Ale nie, pani wołała napawać się swą prywatną zemstą, pielęgnować swą gorycz, zamiast porozmawiać z policją. Celowo zatrzymała pani dla siebie informację, której nikt inny nie miał — choćby i nie do końca właściwą — i wykorzystała ją pani w swym morderczym planie.

Błysnęła w jego stronę pełnym satysfakcji spojrzeniem.

— Na firankach w pokoju naprzeciw kościoła odkryto wypalone prochem dziury. Piętro wyżej znaleźli się ludzie, którzy wyraźnie słyszeli pod sobą strzał, zupełnie różny od wybuchów z rury wydechowej na dworze. A oni mogli to osądzić lepiej niż pani. Znaleźliśmy nawet łuskę tego samego kalibru co kula wyciągnięta z ciała pani męża, wciśniętą w szparę pomiędzy deskami podłogi. Wiedzieliśmy od samego początku, skąd padł śmiertelny strzał, dlatego nie uganialiśmy się po mieście za szalejącymi autami. Wiedzieliśmy wszystko poza tym, kto strzelał. Dowiedzieliśmy się tego dopiero teraz, niedawno. Nie chce pani wiedzieć, kto to taki? Nie pragnie pani przynajmniej poznać jego nazwiska?

— Dlaczego miałabym chcieć słuchać o wszystkich królikach, które wyczaruje pan z cylindra, byle tylko mnie zmylić?

— Dowód na to, że mówię prawdę, jest w naszych aktach. Zdobyliśmy go zbyt późno, by ocalić Blissa, Mitchella, Morana czy Fergusonsona. Ale już tam jest. Namacalny dowód, którego nie sposób zlekceważyć. Dowód na piśmie; spisane zeznanie — w tej chwili mam w kieszeni jego kopię. Ten człowiek od trzech tygodni siedzi w areszcie.

Pierwszy raz nie miała na podorędziu gotowej prowokacyjnej odpowiedzi.

— Spotka go pani wkrótce, jak tylko pani tam ze mną wróci. Myślę, że będzie go pani pamiętała. Na ochronnej skorupie pojawiła się pierwsza powierzchowna rysa. W oczach błysnęła iskierka wątplenia i strachu. Z ust dobyło się pytanie: — Kogo?

— Coreya. Czy to nazwisko coś pani mówi? Odpowiedziała z bolesną powolnością: — Tak, pamiętam tego nieszczęsnego Coreya. Nasze ścieżki skrzyżowały się dwukrotnie, tylko na moment. Raz na tarasie podczas przyjęcia przyniósł mi drinka. Tak łatwo byłoby go wtedy... Ale odprawiłam go, by oczyścić horyzont przed...

— Morderstwem Blissa, mam rację?

— Kogoś, kto, jak pan twierdzi, nigdy mnie nie skrzywdził, nigdy nawet mnie wcześniej nie widział.

— Przez chwilę pottrzymała się za czoło, po czym podjęła: — A drugi i ostatni raz to było w jego

własnym mieszkaniu, gdzie spędziłam z nim kilka minut. Poszłam do niego, bo to był najprostszy sposób, by się go pozbyć. Pamiętam nawet, że trzymałam go na muszce, żeby tylko bez przeszkód wyjść. Trzymałam go na muszce jego własnego pistoletu. — Pistoletu, z którego zabił pani męża. Pistoletu, którego kula trafiła Nicka Killeena. Przez pomyłkę pewnego młodego policjanta trafił on do laboratorium balistycznego zamiast do pracowni badającej odciski palców, gdzie miał zostać sprawdzony pod kątem *pani* śladów, bo w tym właśnie celu Corey tak chętnie nam go użyczył. Pamiętam, że wyżywałem się akurat na chłopakach od odcisków palców za to, że nie przysłali mi raportu na temat pistoletu, którego nigdy nie otrzymali, gdy zadzwonił ktoś z balistyki i powiedział: „Ten pistolet, który przysłał nam pan do zbadania, pasuje do kulki wyjętej z Nicka Killeena; przypuszczamy, że o to panu chodziło, bo pańskie polecenie nie było zbyt precyzyjne”. Musiałem zobaczyć to na własne oczy, zanim im uwierzyłem. Niemal w tej samej chwili, jak na ironię, przychodzi Corey, by dowiedzieć się, czy skończyliśmy badać jego pistolet i czy może go już odebrać. Już od nas nie wyszedł! Zgodził się nam pomóc z własnej, nieprzymuszonej woli. Miał pozwolenie na broń, z największą chęcią użyczył jej nam, byśmy ewentualnie mogli pobrać należące do pani odciski palców. Przypuszczam, że zbyt wiele czasu upłynęło od zabójstwa Nicka Killeena, jego poczucie nietykalności wydawało mu się wręcz nadprzyrodzone, uważał, że nikt nie zdoła... Trochę to trwało, ale w końcu go złamaliśmy. W międzyczasie pracowałem nad czymś, co, jak mi się zdawało, całkiem nie miało związku z Coreym, i natknąłem się na niejasną sprawę w starej bibliotecznej gazecie z datą jednego z piątków, kiedy po mieście szalały Biesy Piątkowej Nocy. Było to coś, co zwykle ludzi ciekawi, co mocno dotyka osoby bezpośrednio zaangażowane, ale poza tym nie ma większego znaczenia. Pan młody ginie trafiony zabłąkaną kulą, wystrzeloną prawdopodobnie z jednego z pobliskich dachów, na schodach kościoła, gdzie dopiero co wziął ślub. Dla mnie ta historia stanowiła jedyny możliwy powód morderstw dokonanych na Biesach Piątkowej Nocy, którzy już stracili trzech ze swych członków i barmana ciąganego na rajdy po mieście razem nimi. Złożyłem wszystko do kupy. Nigdzie nie znalazłem wzmianki na temat pogrążonej w żałobie panny młodej, ale przecież

musiała jakaś być, człowiek nie żeni się ze samym sobą. Nie nagłaśnialiśmy więc aresztowania Coreya, trzymaliśmy go w odosobnieniu, żeby pani niczego nie zwietriła i nie przystąpiła do ostatniego uderzenia. Nietrudno było odgadnąć, gdzie ono nastąpi, więc po prostu zająłem z góry upatrzoną pozycję. Nie potrafię jednak odgadnąć, co robiła pani pomiędzy tymi swoimi „wizytami”, że się tak wyrażę. Jak zdołała pani zniknąć tak bez śladu za każdym razem, dokonać tak szybkich zmian fryzury i osobowości. Wiedziałem, że pani przyjdzie, lecz do ostatniej chwili nie miałem pojęcia jak ani skąd. To było tak, jakbym próbował rozprawić się ze zjawą. Kobieta odparła z roztargnieniem:

— Nie było w tym nic niezwykłego. Pewnie szukał mnie pan w kryjówkach gdzieś na uboczu, w pensjonatach, tanich hotelach. Tymczasem ja dzień w dzień stykałam się z dziesiątkami ludzi, którzy nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi. Żyłam w szpitalu. Podam panu jego nazwę, jeśli pan chce, to jeden z największych szpitali w mieście. Pracowałam tam i mieszkałam, nie musiałam nigdzie wychodzić. Włosy miałam prawie zawsze zakryte, więc od początku do końca nikt nie wiedział — czy może nikogo to nie obchodziło —jaki był ich kolor. Kiedy nie miałam dyżuru, przesiadywałam w pokoju, nie starałam się nawiązywać przyjaźni z nikim z personelu. Gdy nadchodził czas, by znowu... uderzyć, brałam krótki urlop, wyjeżdżałam i po kilku dniach wracałam. I na co mi było to wszystko? Na nic. Oddychała znów z trudem, tak jak wcześniej w fotelu. Całkiem tak, jakby coś rozpadało się w jej wnętrzu i blokowało tchawicę.

— Pomyśleć, że miałam w dłoni pistolet, z którego on zabił Nicka! Trzymałam go bezbronnego na muszce, po czym odłożyłam broń, wyszłam i zamordowałam niewinnego człowieka. — Zaczęła dygotać spazmatycznie, jakby miała dreszcze. — Teraz dopiero słyszę ten okropny krzyk Blissa, gdy spadał z tarasu. Wtedy go nie słyszałam. Teraz słyszę jęki Mitchella. Słyszę ich wszystkich! Spuściła głowę tak gwałtownie, jakby jej szyja złamała się niczym gałązka. Zaczął nią wstrząsać potężny, choć cichy szloch, równomierny jak pulsowanie dynamo. Jakiś czas potem, gdy się uspokoiła, podniosła znowu wzrok.

— Dlaczego on... to znaczy, Corey... dlaczego on to zrobił? — spytała. — Muszę to wiedzieć.

Pod marynarką Wangerera zaszeleścił papier. Wyjął kopię zeznania, rozłożył ją, podał.

Zerknęła tylko na sam początek i na podpis na dole ostatniej strony. Oddała mu dokument.

— Niech pan mi powie — rzekła. — Teraz już panu wierzę. Jest pan uczciwym człowiekiem.

— Łączył ich niezbyt legalny interes. Milutki, korzystny dla obu, intratny geszefcik. Szczegóły są w tym zeznaniu. — Urwał. — Czy Killeen kiedykolwiek o tym pani wspominał? — spytał.

Skinęła głową. — Tak, mówił mi. Wiedziała. Wyjawiał mi wszystko... oprócz nazwisk. Powiedział też, co się stanie, jeśli się wycofa. Nie uwierzyłam. Wtedy jeszcze nie wiedziałam o przemocy tyle, co dziś. Postawiłam mu warunek: albo ten interes, albo ja. Nie przypuszczałam, że to aż tak poważna sprawa, nie wierzyłam, by było to możliwe. Widzi pan, ja go kochałam. Postanowił to przemyśleć przez tydzień czy dwa, aż w końcu wybrał. Mnie.

Pierwszy raz Julie Killeen spojrzała prosto na Wangerera. Mówiła spokojnie, jakby opowiadała mu historię jakiejś innej kobiety.

— Zmienił adres. Zaczęliśmy spotykać się ukradkiem. Zaproponowałam, żebyśmy poszli na policję, poprosili o ochronę, ale powiedział mi, że siedzi w tym równie głęboko jak ten, kogo się boi. Mówił, że wyjedziemy. Wyjedziemy natychmiast, prosto z kościoła na statek. To była jeszcze jedna rzecz, na którą się uparłam: kościelny ślub. — Uśmiechnęła się ponuro. — Sam pan widzi, to ja go w pewnym sensie zabiłam. I przez to czułam się tym bardziej zmuszona zrobić to, co zrobiłam.

Zamilkła na chwilę, znużona, po czym kontynuowała.

— Powiedział, że nie wrócimy tak od razu. Nie będzie nas może nawet bardzo długo. I miał rację.

Odeszliśmy stamtąd, to fakt — ale nie razem. I żadne z nas już nigdy nie wróciło. Od początku wiedziałam, że albo przyjmę go na takich warunkach, albo nie będę go miała wcale. Nigdy nie miałam większego wyboru w tej kwestii. A tak bardzo chciałam z nim być. Boże, jak ja tego pragnęłam. Ileż to razy leżałam nocą, nie śpiąc, licząc minuty i sekundy do naszego kolejnego spotkania. W ten sposób czas mijał szybciej. A co do tych

interesów — wzruszyła ramionami — obiecał, że z nimi skończy, a memu sumieniu to wystarczyło. — Błąd was obojga polegał na tym — odezwał się Wanger w zamyśleniu, prawie jakby mówił do siebie — że wierzyliście, iż z gry, jaką prowadził, w ogóle można się wycofać. Na koncie tego ich „interesu” było kilka zabójstw. No i pozostawała jeszcze kwestia ostatecznego podziału zysków, co zawsze okazuje się wielką kością niezgody. Corey nie mógł pozwolić mu odejść, byli ze sobą nierozzerwalnie połączeni.

Kobieta przerwała mu. W jej spokojnym głosie pogrzmiewała furia:

— Ale przecież *on* się wycofał. Nie tylko się wycofał, ale stał się zupełnie innym człowiekiem. Szykowny pan Corey, wielkomijski dzentelmen. Oto, kim się stał! Dlaczego nie mógł pozwolić Nickowi zwyczajnie odejść? Dlaczego musiał go zabić?

Po raz pierwszy w swej karierze Wanger odpowiadał na pytania, zamiast je zadawać. Była w Julie Killeen jakaś beznadziejność, która zatarła między nimi już dawno granice relacji między ścigającym i ściganym.

— Tak, Corey się wycofał. Ale proszę nie zapominać, że gdy się na to zdecydował, nie było już nikogo, z kim musiałby się liczyć. Kiedy tego samego próbował Killeen, wciąż miał na karku Coreya, a sposób, w jaki to zrobił, też absolutnie nie mógł zagwarantować mu spokoju. Nagle zerwał wszelkie kontakty, usunął się z pola widzenia — pewnie zresztą słuchając rady, którą dyktowały pani najlepsze intencje — lecz mając na Coreya tyle, że z łatwością mógł go posłać na krzesło elektryczne. Nie wspominając już kilkunastu tysięcy dolarów, które według Coreya miał właśnie zarobić. Corey miał swoje powody, oj, miał. Od tej pory nie zaznałby chwili spokoju. W każdej sekundzie swego życia miałby topór nad głową. Postanowił dorwać Nicka, gdy jeszcze była ku temu sposobność, zanim Killeen dorwałby jego. Kościół wydawał się jedyną pewną zasadzką. Wcześniej Nick najwyraźniej nigdzie mu się nie pokazał.

— Był ostrożny, był bardzo ostrożny... — rzekła spokojnie, niemal obojętnie.

— Nick się wyprowadził. A Corey nie wiedział, kim była jego wybranka ani gdzie mieszkała.

— Spotykaliśmy się w ciemności kina, zawsze zajmując dwa miejsca w ostatnim rzędzie.

— W końcu jednak wpadł na pomysł. Obszedł wszystkie kościoły, zadając to samo pytanie. Wreszcie ktoś się wygadał, a on dowiedział się, gdzie i kiedy ma zostać zawarte to małżeństwo. Wtedy wynajął pokój z widokiem na boczne wejście do świątyni. Wiedział, że Killeen z niego właśnie skorzysta.

Wziął ze sobą pistolet, zapas jedzenia i nie ruszał się z tego okna przez całe czterdzieści osiem godzin.

Wykombinował, że godzina rozpoczęcia uroczystości może zostać w ostatniej chwili zmieniona, że Nick może podjąć taki środek ostrożności.

W pokoju zapadła cisza. Wanger myślał o kuli, która zabiła Nicka Killeena, o kuli, która przeleciała nad głowami pięciu innych mężczyzn, z których czterech w końcu uśmierciła. Westchnął i popatrzył na Julie Killeen.

— Pani... Corey od początku do końca nie wiedział, kim pani jest. Była pani tylko nieistotną laleczką w bieli stojącą przy jego celu. A on... Pani też nie wiedziała, kim on jest, prawda? Nie przypuszczała pani, że człowiek, który pewnego wieczoru zabrał panią do swego pokoju, to ten sam, który zabił pani męża?

Kobieta nie odpowiadała, zdawała się nie słyszeć.

— Kiedy już było po wszystkim, posłał przez kościelnego wieniec na pogrzeb.

Kobieta wzdrygnęła się i zasłoniła się ręką, jakby Wanger ją uderzył.

Widział, że w końcu ją przekonał.

Wstał, założył jej na nadgarstki obręcze kajdanek, zamykając je niemal delikatnie, jak gdyby starał się nie zakłócić jej gorzkiej zadumy. Wyglądało na to, że w ogóle go nie dostrzega.

— Chodźmy — rzucił szorstko.

Wstała, nagle uświadomiła sobie obecność żelaza na swoich przegubach. Spojrzała na Wanger'a i potaknęła ponuro.

— Tak — rzekła Julie Killeen — pora już iść.